

CZY PANI CIMOSZEWICZ NADAJE SIĘ NA PIERWSZĄ DAMĘ?

• GRY WOJENNE:
pułapka na rekrutów

s. 50

• JEAN-MICHEL JARRE - portret
lekko złośliwy

s. 46

UWAGA!
MASZ WYBÓR:
MOŻESZ KUPIĆ „PRZEKRÓJ”
BEZ GRY KOMPUTEROWEJ
ZA 4,50 ZŁ

PRZE KRÓJ

33 / 3139
sierpień 2005
za 12,90 zł
(w tym 7% VAT)

ARTYSTUB pyta
eterana bojęw
prezydenturę
musza Korwin-
Mikkego

• Dlaczego
nie chce
być krową
w społeczeństwie
krów



ISSN 0033-2488

770033 248519

34

Indeks 371424

FAKTY LUDZIE OPINIE

UWAGA!

PEUGEOT

OBNIŻYŁ CENY

SWOICH

SAMOCHODÓW

NAWET O 14%.

www.peugeot.pl



206 JUŻ OD 31 800 zł



307 JUŻ OD 46 900 zł



407 JUŻ OD 71 900 zł

Sprawdź nasze ceny i przekonaj się, że Peugeot jest teraz jeszcze bardziej dostępny. Wszystkie osobowe modele są tańsze nawet o 14%! Taka obniżka to nie przelewki. Najwyższy czas spełnić swoje marzenia. Przymierz się do nowego Peugeot! Zapraszamy!

PEUGEOT REKOMENDUJE TOTAL

PEUGEOT. ZAPROJEKTOWANY, BY CIESZYĆ.



PEUGEOT

Szczegóły w salonach Peugeot. 206 – zużycie paliwa: 4,3 l/100 km, emisja CO₂: 113 g/km, dla silnika 1.4 HDi 70 KM; 307 – zużycie paliwa: 4,8 l/100 km, emisja CO₂: 126 g/km, dla silnika 1.6 HDi 110 KM; 407 – zużycie paliwa: 5,5 l/100 km, emisja CO₂: 145 g/km, dla silnika 1.6 HDi 110 KM.

PRZE
KROJ

RACZKOWSKI na Czwartek



Wymyślił i narysował MAREK RACZKOWSKI

W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY:

...o zdrowiu księdza Henryka Jankowskiego. W kazaniu podczas mszy w katedrze Świętej Brygidy, odprawionej z okazji 25. rocznicy rozpoczęcia strajku w Stoczni Gdańskiej, ksiądz prałat wyznał, że go „zgroza ogarnia, gdy narzucane nam są prawa wymyślone w gabinetach wrogich katolikom masonów, żydowskich bankierów czy ateistycznych socjalistów z piekła rodem”. Bo z tego, że powtarza stare swoje myśli, wynika, że nic mu się nie poprawiło, a szkoda.

...o błędach, do których popełnienia przyznał się Władysław Frasyniuk, przewodniczący Partii Demokratycznej. Samokrytyka dotyczyła kampanii billboardowej, która – jak wykazały sondaże – nie uświadomiła ludziom, że demokraci.pl to partia „Władysława Frasyniuka,

Tadeusza Mazowieckiego i Jerzego Hausnera”. Bo hołdując zasadzie, by nie kopać leżącego, nie piszemy też o błędach, do których Frasyniuk przyznać się nie chce, choć o nich wie, ani tych, o których jeszcze nie wie, a już je popełnił.

...o niespodziewanej argumentacji, jakiej dostarczył prezydent Kwaśniewski tym, którzy wahają się, czy w wyborach prezydenckich głosować na Włodzimierza Cimoszewicza. Podczas uroczystości Święta Wojska Polskiego na placu Piłsudskiego w Warszawie Kwaśniewski bez zająknięcia mówił: „W sierpniu 1920 roku nasz kraj, broniąc swojej niepodległości, uchronił Europę przed pochodem bolszewizmu. 60 lat później, w sierpniu 1980 roku, ruch Solidarności upomniał się o godność

człowieka i prawa ludzi pracy”. Bo nieprzekonanym trzeba by przypomnieć marksofską tezę o historii, która lubi się powtarzać, ale zwykle już jako farsa, i że byłoby wysoce niestosowne, żeby za rok kolejny były członek PZPR wypowiadał się o bolszewizmie w imieniu niepodległego państwa.

...o rosnących szansach Donalda Tuska w wyborach prezydenckich. Nawet górale uznali go za swego i podczas Sabałowej Nocy pasowali na zbrojnika. „Pan Donald Tusk mógł zostać zbrojnikiem, bo Kaszubi to górale, którzy nie zdążyli na statek do Ameryki”, a jego imię jest „popularne wśród górali szkockich” – wyjaśnił PAP Bartłomiej Koszarek z Domu Ludowego w Bukowinie Tatrzańskiej. Bo nie lubimy być stronnicy, a w tej sprawie chyba jesteśmy.

CYTAT tygodnia

Pytanie, gdzie jest prezydent, oczywiście jest też pytaniem tendencyjnym

– JOLANTA SZYMANEK-DERESZ, szefowa Kancelarii Prezydenta RP, pytana, gdzie jest Aleksander Kwaśniewski, dlaczego milczy, gdy tak wiele dzieje się na Białorusi





38

Izrael:
rząd
kontra
osadnicy

POWIEKSZENIE

6 POD SPECJALNYM NADZOREM

NAJSZTUB PYTA

12 ZROBILI ZE MNIE BŁAZNA
– uważa odwieczny
kandydat na prezydenta RP
Janusz Korwin-Mikke

A WŁAŚCIWIE TO...

18 KOMENTARZE
PIOTRA NAJSZTUBA
I WAWRZYŃCA
SMOCZYŃSKIEGO

KRAJ

20 PRZEKRÓJ TYGODNIA
22 KRAJOWA RADA TEGO
I OWEGO WIE
...jak nas bronić przed
telewizją. Danuto Waniek,
dziękujemy!
26 SENATOR I PADLINA
Ostatnie wybryki
senatora Stokłosy
28 CZY STOJ, CZY LEŻY,
POŚŁOWI SIĘ NALEŻY
Nawet i po śmierci

ALE O CO CHODZI...

30 SONDAŻEM WOJUJĄ,
OD SONDAŻY GINĄ
Kto u nas rządzi? Politycy.
A nimi sondaże

ZAGRANICA

32 PRZEKRÓJ TYGODNIA
34 KOBIETĘ TRZEBA ZABIĆ
Turczynki giną z rąk ojców,
mężów i braci. Czy zanim
Turcja wejdzie do Unii,
jej rząd zdoła położyć kres
„honorowym mordom”?
38 ŻYDZI ŻYDOM...
Dramat w Strefie Gazy

LUDZIE

40 BARBARA, DAMA DOMOWA
Pani Cimoszewicz musi
wyjść z cienia, choć wcale
jej się to nie uśmiecha
44 ANTYPUTINKI
Rosyjskie panny z dobrych
domów idą na wojnę
z Putinem
46 JARRE AMBICJI
Obchody rocznicy Sierpnia
'80 to poważna sprawa.
A czy poważna jest ich
największa atrakcja, czyli
Jean-Michel Jarre?

SPOŁECZEŃSTWO

BIZNESMAGAZYN MOSZA

48 MUSIMY, POWINNIŚMY,
POTRZEBA, BRRR...
Od gadania miejsc pracy
nam nie przybędzie

OBYCZAJE

50 NIE DAJ SIĘ OGRAĆ ARMII
Sprzed ekranu do koszar

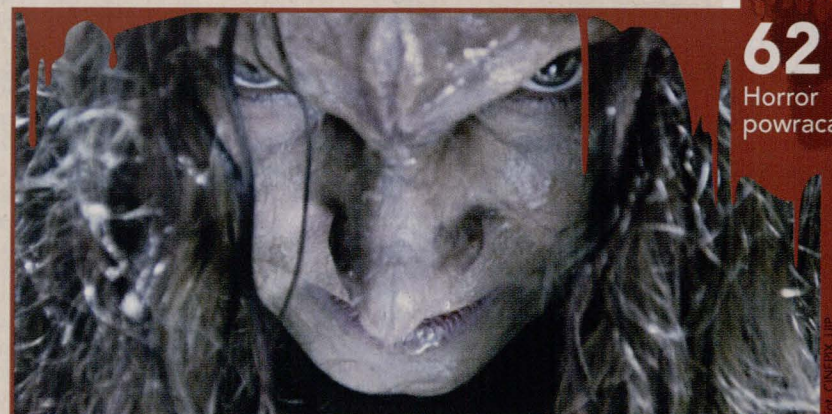
NAUKA

56 PLAŻOLOGIA
Czego możemy się
dowiedzieć na plaży?
Mnóstwa ciekawych rzeczy58 ŚWIATŁA NIE? BEZPIECZNE
Jeździć na światłach
w dzień? Oto jest pytanieTYDZIEŃ – KULTURALNIE
POLECAMY62 WYDARZENIE Strachy na lato
64 FILM „Dark Water”
66 MUZYKA Sopot potrojony
68 KSIĄŻKI „Sanatorium”
70 KOMIKS „Kingdom Come”

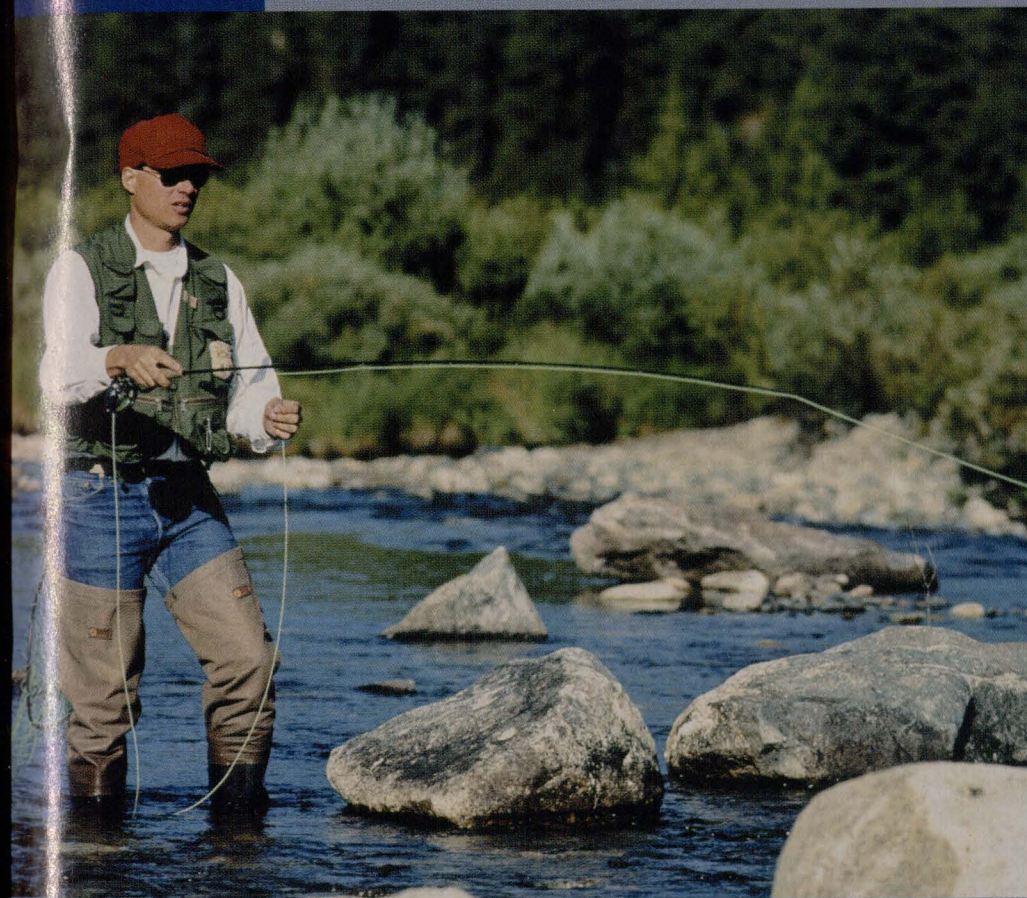
ZAWSZE CZYTAJ

3 NA CZWARTEK RACZKOWSKI,
W TYM TYGODNIU NIE PISZEMY
16 TECZKI OSOBOWE I ZALEWAJKA
KAZIMIERZA KUTZA
54, 60 ŻEBYŚ WIEDZIAŁ
72 EKSTRA
73 LISTY, KRZYŻÓWKA
74 RACZEJ RACZKOWSKI
76 ROZMAITOŚCI

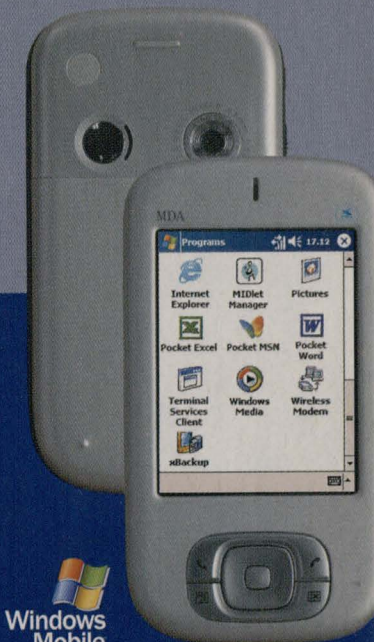
44

Rosja: córki
przegranych
polityków
łakną zemstyOkładka:
Ilustracja
MARCIN MACIEJOWSKI
Reprodukcja
MAREK SZCZEPAŃSKI

62

Horror
powracaBIURO
Z NIEOGRANICZONĄ
POWIERZCHNIĄ

TYLKO W ERA BIZNES

TYLKO ERA BIZNES POZWALA CI PRZENIEŚĆ TWOJE BIURO TAM, GDZIE
AKURAT SIĘ ZNAJDUJESZ. MAŁY I PORĘCZNY TELEFON MDA COMPACT
Z WBUDOWANYM APARATEM FOTOGRAFICZNYM, DZIĘKI SYSTEMOWI
WINDOWS MOBILE, UMOŻLIWIA PRACĘ Z APLIKACJAMI TAKIMI JAK
POCKET WORD I POCKET EXCEL, A TAKŻE DOSTĘP DO INTERNETU
I ZASOBÓW MULTIMEDIALNYCH. JESZCZE WIĘCEJ MOŻLIWOŚCI
W ERA BIZNES.Windows
Mobile

MDA COMPACT

BIZNES
MOŻESZ WIĘCEJ

SPRAWDŹ WWW.ERA.PL LUB DZWOŃ 0 801 602 602

OPŁATA ZGODNA Z CENNIKIEM OPERATORA SIECI, Z KTÓREJ WYKONYWANE JEST POŁĄCZENIE.
SZCZEGÓŁY WARUNKÓW OFERTY PROMOCYJNEJ W REGULAMINIE DOSTĘPNYM W PUNKTACH SPRZEDAŻY SIECI ERA.

Tysiące pielgrzymów modlących się na Jasnej Górze jak zwykle chroniła Matka Boska, ale po raz pierwszy pomagali jej antyterroryści

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

Grupa pielgrzymów z 294. Warszawskiej Pielgrzymki Pieszej. Ze stolicy przyszło w sumie 18 469 osób w pięciu pielgrzymkach (także Akademicka, Praska, grupy „17” oraz niepełnosprawni)

POD SPECJALNYM NADZOREM





Pątnicy leżący krzyżem na błoniach pod murami klasztoru. Słowo „pielgrzym” pochodzi od peregrinus, czyli tego, który pozostaje z dala od domu, przechodzi przez „pola”



pielgrzymi, którzy nie uczestniczyli akurat we mszach pod murami jasnogórskiego klasztoru, szli po pielgrzymie pamiątki na ulicę Świętej Barbary. Ta zamieniła się w olbrzymie targowisko:

do straganów trudno się dopchać, kupić można wszystko. Głównie obrazki z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej lub Jana Pawła II. Tych ostatnich jest mnóstwo – Jan Paweł II uśmiechnięty podpira się ręką, błogosławi, modli się lub łagodnie spogląda.

W tym roku po raz pierwszy pielgrzymi zamiast o zdrowie i siły dla Papieża Polaka modlili się o jego beatyfikację. To ponoć dlatego na

poniedziałkową sumę przybyło aż 200 tysięcy ludzi – o kilkadziesiąt tysięcy więcej niż rok temu. Byłoby więcej, ale właśnie rozpoczęły się w Kolonii Światowe Dni Młodzieży.

KIESZONKOWCY SIĘ PODDAJĄ

Niektórzy pielgrzymi – jak ci z Helu czy z Ustki – pokonali grubo ponad pół tysiąca kilometrów. Kilkaset osób – jak Zenon Nowakowski z Piekara Śląskich – postanowiło do Najświętszej Panienki przybiec („Bo to daje powera”), inni przyjechali na rowerach. Byli i tacy, którzy dotarli na Jasną Górę konno lub w żołnierskich kamaszach.

Właśnie grupy żołnierzy, choć szli już 14. raz, wzbudzały najwięcej emocji. Oprócz Polaków na Jasną Górę przyszli tym razem żołnierze

z krajów natowskich zaangażowanych w wojnę w Iraku. Witali ich dowódcy z ojczystych krajów, a także zastępca szefa armii USA w Europie generał Colby Broadwater.

Nie tylko obecność żołnierzy sprawiała, że na półtorakilometrowym odcinku alei Najświętszej Maryi Panny można było poczuć się jak na głównej ulicy Bagdadu. Na dachach antytektorycy z bronią gotową do strzału, w każdej kramie policjant, a wokół komandosi z jednostki w Lublińcu. Obowiązywał absolutny zakaz postoju, a w powietrzu – zakaz lotów.

Mało który z decydentów odpowiedzialnych za bezpieczeństwo odważył się mówić wprost, skąd takie środki bezpieczeństwa. Na pytanie: „Londyn?” zazwyczaj padała odpowiedź: „To pan powiedział”.

Pielgrzymka żołnierzy wkracza do miasta. Pierwszy z prawej generał Colby M. Broadwater, zastępca dowódcy sił zbrojnych USA w Europie, obok Halina Rozpondek, wiceprezydent Częstochowy, i biskup połowy armii słowackiej František Rabek



Ludzi w kominiarkach przestraszyli się nie tylko terroryści, ale i kieszonkowcy, którzy w święto nie wykazali prawie żadnej aktywności. Doszło do tego, że zastępca komendanta straży miejskiej żalił się na brak zajęcia („Pięć radiowozów stoi bezczynnie”), a szef wydziału zarządzania kryzy-

sowego z czystym sumieniem zajął się pstrykaniem zdjęć z jasnogórskich wałów.

NASZ ŚWIAT TO SODOMA

Tylko w poniedziałek między godziną 6 a 19 na Jasnej Górze odprawiono cztery msze. Na

każdej były tłumy. Największe na sumie, podczas której prymas Józef Glemp ganił ruchy feministyczne, bo są „wyzyskiem kobiet przez same kobiety dla władczych pomysłów mężczyzn”. Tylko trochę mniej ludzi słuchało rankiem homilii przeora Jasnej Góry ojca Bogdana Waliczka, który grzmiał ze szczytu klasztoru, że „współczesny świat stał się Sodomą”, bo przybywa ślubów homoseksualistów, a heteroseksualni coraz częściej się rozwodzą. Dostał rżęsiste oklaski.

Ci, którzy nie bili brawa, stali w kolejkach – do Cudownego Obrazu, do spowiedzi, by zamówić mszę albo poświęcić medalik czy obrazek. Bo prawdziwy pielgrzym nie może wyjść z Częstochowy bez nowego medalika lub różańca. Połowa sierpnia to pod Jasną Górą czas wielkich żniw. Handlarze od bladego świtu czekają na zyski, choć i z nimi ostatnio gorzej. – Zarobię ze 300, 400 złotych. Więcej nie – narzeka pani Helena, starsza kobieta w okularach, o siwych włosach i łagodnym uśmiechu. Ludzie co roku są biedniejsi – oceniają sprzedający.

Dlatego tak jak tysiące częstochowian żyjących z handlu pod Jasną Górą z rozrzewnieniem pani Helena wspomina dawne czasy: – 20, 15 lat temu było inaczej. Towaru mało, ale ludzi z pieniędzmi dużo. Teraz jest odwrotnie.

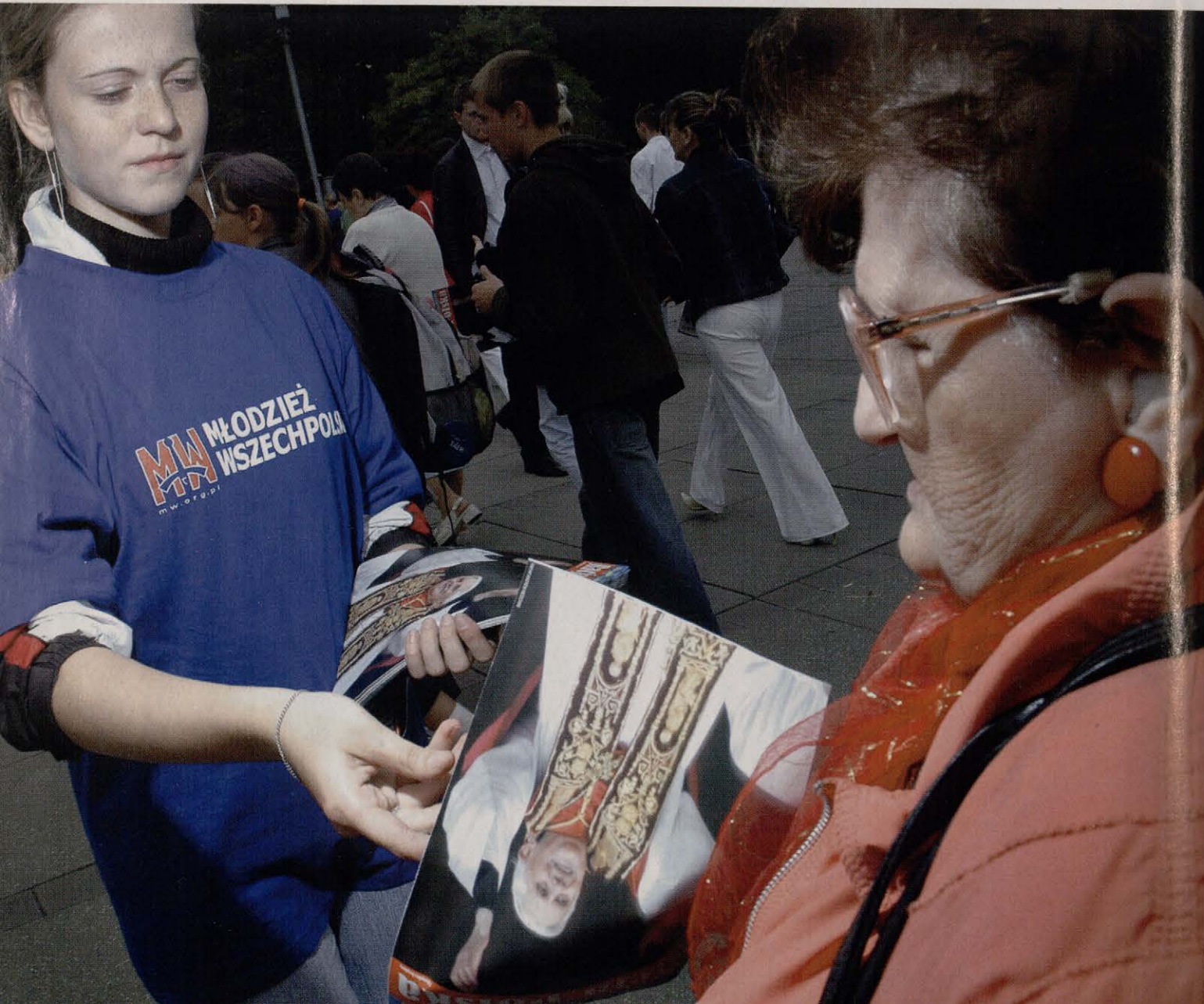
MŁODZIEŻ WSZECHROZDAJĄCA

Ceny są przystępne. Akurat na kieszeń pielgrzyma. Za 50 złotych można mieć obrazek Ojca Świętego (do wyboru Jan Paweł II lub Benedykt XVI), Matki Boskiej Częstochowskiej, a do tego jeszcze różaniec, medalik i modlitewnik. Był i droższy asortyment – na przykład za obrazek z ukrzyżowanym Chrystusem, który zamyka jedno oko lub oboje oczu, trzeba było wyłożyć sto złotych.

Coś dla siebie znaleźli także wielbiciele mocniejszych wrażeń. Za 40 złotych można się było uzbroić niczym Rambo: w łuk, granaty, pistolet, karabin maszynowy, kajdanki i walkie-talkie. Do tego nieśmiertelna ciupaga za pięć złotych. Jednak takie zabawki nie szły najlepiej. Podobnie jak flagi Unii Europejskiej za 30 złotych sztuka czy flagi papieskie za 32 złote.

Problemów nie mieli tylko ci, którzy oferowali swoje produkty za darmo. W poniedziałek pod Jasną Górą tygodnik „Niedziela” rozdawał archiwalne numery o Janie Pawle II, zaś Liga Polskich Rodzin przypuściła ofensywę godną szwedzkiego potopu. O ile Szwedów ojcowie paulini przegonili, o tyle kolportujących na każdym kroku przedwyborczy biuletyn chłopców i dziewczyn z Młodzieży Wszechpolskiej nie czepiał się nikt. Marcin Kubiński, szef Wszechpolsaków, który skrupulatnie wszystkiego doglądał, wytłumaczył mi to tak: – Skoro kampania wyborcza obecna jest w całej Polsce, to również i tu.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI, JASNA GÓRA



Z lewej: Olbrzymie zgromadzenie potencjalnych wyborców stało się okazją do politycznych manifestacji. Młodzież w niebieskich koszulkach co kilka metrów rozdawała materiały Ligi Polskich Rodzin, a na klasztornych murach podczas mszy stał kandydat tej partii na prezydenta Maciej Giertych

Obok: Polska rodzina w Częstochowie na tle transparentu Ligi Polskich Rodzin

W

Wygląda na to, że jest Pan najbardziej upartym kandydatem na prezydenta. Kandydował Pan we wszystkich wyborach. Dlaczego jest Pan tak uparty?

– Dlatego że trzeba na przykład zrobić porządek ze służbami specjalnymi, które obecnie Polskę rozkradają.

Powtarza Pan to w wywiadach jak mantrę. A ja szukam Pańskiego osobistego powodu, bo zakładam, że jest pan człowiekiem rozsądnym i wie pan, że po raz kolejny nie ma Pan większych szans.

– Ależ najmocniej Pana przepraszam: każdy zawodnik, który startował w wyścigach, na ogół przedtem nie wygrywał! Tak by mógł Pan powiedzieć każdemu kandydatowi!

Może w tym Pańskim uporczywym kandydowaniu chodzi o to, żeby przy okazji coś publicznie powiedzieć?

– Oczywiście, ale nie tylko. W Polsce poza moją partią nie istnieje Prawica; cała reszta to: narodowi socjaliści, socjalliberałowie, eurosocjaliści, chrześcijańscy socjaliści.

To może świadczyć o tym, że Polacy prawicy nie potrzebują.

– Być może, ale niektórzy chcą zagłosować na Prawicę i koniec. No to niech Pan powie wyraźnie, że nie chodzi o to, żeby wygrać.

– Zdecydowanie protestuję przeciw temu, żeby Pan mi impetował, po co startuję! Nie będę odpowiadał na takie pytania.

Pytam, po co naprawdę Pan startuje, bo odpowiedź: „żeby zrobić porządek ze służbami specjalnymi”, uważam za wybieg, wykręt.

– Jak to: wykręt?! To jest jedyna, rozpaczliwa szansa na porządek! Niech Pan sobie zda sprawę, że służby specjalne kon-

ZROBILI ZEMNIE BŁAZNA

To nie ja mam się podlizywać wyborcom, to oni muszą mieć na mnie ochotę – uważa JANUSZ KORWIN-MIKKE, weteran kampanii prezydenckich, który pilnie śledzi spiski państwowych służb oraz państwowej telewizji i gotów jest zostać prezydentem państwa, by zmienić ustrój, którego nie znosi

JANUSZ KORWIN-MIKKE, 62 LATA, LIBERALNY KONSERWATYSTA, OJCIEC SZĘŚCIORGA DZIECI. KARIERĘ POLITYCZNĄ ROZPOCZĄŁ, PRZYSTĘPUJĄC DO STRONNICTWA DEMOKRATYCZNEGO W 1962 ROKU. STUDIOWAŁ MATEMATYKĘ, PSYCHOLOGIĘ, PRAWO, SOCJOLOGIĘ. RELEGOWANY Z UCZELNI W 1968 ROKU. TYTUŁ MAGISTRA FILOZOFII UZYSKAŁ EKSTERNISTYCZNIE. W 1978 ROKU ZAŁOŻYŁ PODZIEMNĄ OFFICYNĘ LIBERAŁÓW. W ROKU 1980 BRAŁ UDZIAŁ W STRAJKU STOCZNIOWCÓW SZCZECIŃSKICH. W STANIE WOJENNYM BYŁ INTERNOWANY. ZAŁOŻYCIEL UNII POLITYKI REALNEJ, REDAKTOR NACZELNY „NAJWYŻSZEGO CZASU”. JAKO POSEŁ TEJ PARTII W MAJU 1992 ROKU BYŁ POMYSŁODAWCĄ UCHWAŁY LUSTRACYJNEJ, KTÓRA DOPROWADZIŁA DO UPADKU RZĄDU JANA OLSZEWSKIEGO. W 1990 NIE ZEBRAŁ ODPOWIEDNIEJ LICZBY PODPISÓW I NIE ZOSTAŁ KANDYDATEM NA PREZYDENTA, KANDYDOWAŁ W 1995 (2,4 PROC. GŁOSÓW) I W 2000 ROKU (1,43 PROC.). JEGO POWIEDZENIE „RZĄD RZĄDNIEM GŁUPA” WYGRAŁO ROK TEMU GŁOSOWANIE INTERNAUTÓW NA ZDANIE, KTÓRE NAJLEPIEJ ODDAJE KLIMAT OSTATNICH 15 LAT POLSKI. JEST MISTRZEM BRYDZA SPORTOWEGO.

I Pan naprawdę wierzy, że mu się uda?

– To jest absolutnie pewne. Nie mówię nawet, że ja go rozwałę. Ten ustrój sam bankrutuje. W tej chwili ZUS musi podnieść stawki, bo nie ma pieniędzy, rząd też ich nie ma. Państwo bankrutuje, to jest kwestia kilku, kilkunastu lat. I tak się dzieje nie tylko w Polsce. To samo jest we Francji, w Niemczech, nawet brytyjski system emerytalny, który jest względnie najzdrowszy, zbankrutuje, cała Wspólnota Europejska jest bankrutem i trzeba sobie z tego zdać sprawę.

I jak te przyszłe bankructwa odnosi Pan do własnej sytuacji, do swojej pozycji politycznej?

– Moja osobista sytuacja jest tu zupełnie obojętna, ja pracuję dla Polski, a nie dla mojej osobistej sytuacji. Ma Pan do czynienia z człowiekiem, który mówi – niech Pan to powtórzy Czytelnikom – że to nie w moim interesie jest kandydowanie. Nie mam żadnego interesu, żeby być prezydentem. To jest przecież straszna harówka! Więc jeżeli wyborcy mnie nie będą chcieli, to się nie obrażę.

I to mnie w panu fascynuje, że Pan się nie obraża.

– Porażkę przeżyję, tym bardziej że im jest gorzej, tym chętniej ludzie czytają to, co piszę. Pytanie tylko, czy zwykły, prosty człowiek to przeżyje.

Dlaczego nie chce Pan prowadzić gry z wyborcami?

– Jakiej gry?

Takiej, jaką prowadzą inni politycy – uwodzenia elektoratu. Pan robi odwrotnie, mówi na przykład: należy ograniczyć prawa wyborcze, ponieważ głupcy, a tych jest większość, nie powinni wybierać.

– Oczywiście.

W ten sposób to Pan nigdy nie wygra.

– A to dlaczego?

Bo musiałaby zagłosować na Pana większość, która najpierw musiałaby się przyznać do tego, że jest głupia.

– Przeciwnie! Jeszcze nie słyszałem nikogo, kto by się uskarżał na brak rozumu. Przecież nikt się za głupca nie uważa, w związku z tym może na mnie głosować, myśląc, że stanowi rozsądną mniejszość. Dlaczego ja mam wyborców uwodzić? Powtarzam: moja prezydentura jest w ich interesie, nie w moim. Dla mnie bycie prezydentem czy posłem to jest ciężka praca, ja naprawdę wolę się umówić z dziewczyną w restauracji, niż przyjmować ambasadorów. Idę tam, bo może coś się da zrobić. Ja nie mam ochoty być prezydentem, to wyborcy muszą mieć ochotę, to jest ich problem, nie mój.

Ale to jednak Pan kandyduje!

– Po to, żeby wyborcy dać szansę! Pan przywykł do rozmowy z politykami lewicowymi, którzy traktują władzę jako łup. Oni ją zdobywają i mają z tego takie czy inne korzyści. Ja zarabiam więcej, niż wynosi dieta poselska.

Nie, ja przywykłem do rozmów z politykami, którzy jak czegoś chcą, na przykład prezydentury, to są gotowi wiele zrobić, użyć wielu technik, żeby tę prezydenturę zdobyć. Tym się Pan, między innymi, od nich różni. Bo przecież polityka to nie tylko posiadanie poglądu, programu, który coś zmieni, ale też dysponowanie skutecznym sposobem dojścia do władzy.

– Jeżeli Pan mi powie, że dostanę dwa razy więcej głosów, kiedy zapuszczę sobie grzywkę w lewą stronę, to ja nie zapuszczę tej grzywki, bo nie jestem od tego, żeby wygrywać wybory dzięki grzywce na lewo. Czy to jest jasne?

Z grzywką tak, ale może wygrałby Pan te wybory, gdyby ostatnie cztery lata poświęcił na to, by tydzień w tydzień jeździć po miastach, miasteczkach, wsiach, organizować mityngi i przekonywać do swojego programu?

– Problem polega na przykład na tym, że telewizja jest reżymowa. W naszym programie postulujemy likwidację abonamentu

trochu jedynie sejmowa komisja do spraw służb specjalnych. Ale by być członkiem tej komisji, trzeba mieć certyfikat tajności wydawany przez te służby. Koło się zamyka. Służb więc nikt już nie kontroluje, a dobry prezydent może. Prezydent ma dostęp do teczki.

Pozwoli Pan, że zachowam swoją niewiarę.

– Dobrze, ale ja nie pozwolę, żeby Pan mnie zarażał swoją niewiarą. Jest takie stare powiedzenie, że wszyscy wiedzą, że czegoś nie da się zrobić – aż w końcu przychodzi ktoś, kto nie wie, że nie da się tego zrobić... i on to robi.

Skąd Pan w takim razie bierze siłę, żeby po raz kolejny walić głową w mur?

– Mur burzą w końcu ci, którzy walą w niego często głową.

i jak najszybszą prywatyzację telewizji, a pieniądze z niej trzeba przeznaczyć na fundusz emerytalny. Jak Pan się domyśla, telewizja mnie w związku z tym bardzo nie lubi. Mogę podać konkretny przykład. Miałem spotkanie na rynku w Kaliszu, przyszło 300 osób. Tłumaczyłem pewnemu panu, jak działa podatek dochodowy (bo my chcemy go zlikwidować). Mówiłem: umówię się z panem, że pan będzie mi płacił sto złotych za to, że będę uczył pańskie dziecko języka chińskiego, a ja będę panu płacił sto złotych za skopanie mi ogródka. Płacę więc panu sto złotych, pan mi płaci sto złotych i dziecko już zaczyna mówić po chińsku, a ja mam zadbane ogródki. A jak rząd nałoży 20-procentowy podatek, to ja panu płacę sto złotych i dla rządu 20 złotych, pan też skądś wyciąga dodatkowe 20 złotych dla rządu. Dokładamy przez jakiś czas te 20 procent, ale po jakimś czasie obaj siedzimy bezrobotni, bo nie mamy pieniędzy. Ogródek zarasta, a córka się nie uczy chińskiego. W tym momencie mojego tłumaczenia odzywa się jakaś pani (wiek balzakowski, bardzo zadbane, pierścionki i tym podobne) i mówi: proszę pana, jestem emerytką, nie mam pieniędzy, ja bym z chęcią panu ten ogródek skopała. Odpowiadam jej, że po pierwsze, chyba nie nadaje się Pani do kopania ogródków, a po drugie, mój ogródek jest w Józefowie, a teraz jesteśmy w Kaliszu, więc mogłaby Pani co najwyżej umyć mi samochód za 10 złotych. Wtedy włączył się młody jegomość – nie menel: ubogi chłopak – że on by ten samochód umył za 10 złotych. Powiedziałem: OK, tu są kluczyki. Umył, wytarł własną koszulą, żeby się świecił, dostał 15 złotych. A telewizja zrelacjonowała to tak: na spotkaniu w Kaliszu Korwin-Mikke oświadczył, że rozwiązaniem problemu niskich emerytur jest to, że emeryci będą myli mu samochód za 10 złotych.

To może świadczyć o głupocie, niekoniecznie o złych intencjach.

– Pan chyba żartuje, jest to celowa, zimna robota łajdaków, którzy wiedzą doskonale, że dostają o połowę wyższe pensje niż w Polsce czy TVN, po to żeby kłamać i oszukiwali.

To nie jest prawda. Znam pensje dziennikarzy w Polsce, w TVN i TVP. Były wybory parlamentarne, prezydenckie, wiele ich minęło już w Pańskim życiu politycznym i jakoś Polacy jednak nie chcą Panu zawierzyć. Przecież nie dlatego, że mamy reżymową telewizję.

– W dużej mierze tak. Da mi Pan telewizję na dwa tygodnie, to zobaczy Pan, jakie będą wyniki. Gdyby Adolf Hitler miał telewizję, to do dzisiaj Niemcy by nie wiedzieli, że przegrali II wojnę światową. Niech się Pan nie śmieje! Kiedy wojska amerykańskie weszły do Iraku, to zobaczyły, że większość Irakijczyków wierzyła w to, że 12 lat wcześniej w Wojnie Zatokowej wojska Saddama Husajna rozbiły w puch Amerykanów, wrzuciły do morza ich dywizje. Dziwili się więc, dlaczego tak się nie stało i tym razem. Wierzyli w fikcję, bo Husajn miał telewizję. Dlatego jestem wrogiem demokracji, bo w demokracji decydują głupie masy, a masami steruje telewizja. I tyle.

Dlaczego nie próbuje Pan zbudować wielkiej partii?

– Ale co to jest wielka partia?

Z dużą liczbą członków, z dużym poparciem, bo wtedy Pańskie pomysły miałyby większą szansę na realizację.

– Żyjemy w czasach odpływu ideologii, ludzie patrzą tylko, gdzie by tu ukraść pieniądze. I w związku z tym ludzi ideowych jest nie wiem czy więcej niż pół procent. Nawet u mnie w partii – a to jest partia parotysiężna ludzi naprawdę ideowych, oddających partii swój czas, pieniądze – mogą się trafić czarne owce. Poza tym i w partiach działają służby specjalne, więc w wielkiej trudniej nad tym zapanować.

Ważnym punktem mojego programu jest kara śmierci. Ludzie, którzy ją znieśli, mają krew na rękach i ja tym ludziom staram się ręki nie podawać. To są dla mnie mordercy



Fot. MACIEJ DEBALANCA/STUDIO

Pan znowu to samo!

– Bo jaka jest zasadnicza różnica ustrojowa między PRL a III RP?

Jest wiele.

– Bardzo niewiele, więc jaka jest?

Wyborca ma prawo wybrać i ma prawdziwy wybór.

– Wtedy też mógł wybrać.

Nie, bo wybierał tylko spośród członków jednej partii i jej przybudówek ideologicznych.

– Wyborcy mogli wybierać. Były różne odłamy w partii, różnice były takie jak dziś między Unią Wolności a LP.

To czysta demagogia, bo w sposób oczywisty pewna grupa ludzi była w PRL wyłączona z możliwości czynnego i biernego udziału w wyborach, nie mogła też startować.

– Dlaczego, wystarczyło się do partii zapisać i można było startować.

W tej partii nie można było pewnych poglądów głosić.

– Pan chyba żartuje! Słynny docent Kossecki w imię Marksa, Engelsa i Dmowskiego zapisał się do partii i głosił poglądy całkowicie endeckie. Partia to był klub ludzi, którym wolno było mówić o polityce.

Pod warunkiem że pewnych rzeczy się nie mówi.

– Na tym polega cała arystokracja, że nie wolno o pewnych rzeczach mówić. Ale wracając do różnic, jest tylko jedna różnica. W PRL bezpieka była kontrolowana przez partię, potem przez pana Kiszcza. Natomiast dzisiaj nikt nie kontroluje bezpieki. Bezpieka robi teraz, co chce, ostatnio się kłóci między sobą. Przecież afera z panem Cimoszewiczem to jawne i oczywiste uderzenie ABW w WSI. Wiadomo dokładnie, że pan Cimoszewicz jest powiązany z WSI, mógł założyć, że jest po prostu agentem WSI. Tylko niech pan sobie zdaje sprawę, że...

...ale na jakiej podstawie Pan formułuje takie zdania?

– Pan wybaczy, jeżeli szef ABW mówi w „Polityce”, że w otoczeniu pana prezydenta jest 30 wyższych rangą oficerów WSI... Byłem wtedy w Lublinie na spotkaniu publicznym i powiedziałem: zobaczmy, jaka będzie odpowiedź WSI. Na drugi dzień z pomocą TVN WSI donosi, że ABW w Szczecinie handlowała paliwem do spółki z mafią. Te walki między służbami, walka buldogów pod dywanem i w tej chwili jest to z całą pewnością uderzenie ABW w WSI, nie ma żadnych wątpliwości.

Ale skąd w tym Cimoszewicz?

– Jestem przekonany, że jest związany z WSI. Niestety, IPN nie ujawnia tych agentów służb specjalnych, którzy nadal pracują dla tych służb. Nikt nie spyta na przykład byłej asystentki społecznej Cimoszewicza, czy jest agentką ABW. A moim zdaniem jest. Czy ona sfalszowała te dokumenty i kłamie, bo...

...niech Pan nie zapomina, że to ABW przeszukała jej dom w styczniu tego roku.

– A dlaczego? Agencja mogła dostać od niej cynk, że warto przeszukać jej dom i coś tam znaleźć. Szanowny Panie, Pan jesteście dzieckiem po prostu!

Być może jestem dzieckiem, ale dzięki temu nie widzę takiego niewyobrażalnego spisku.

– Szanowny Panie, przecież dla człowieka służb specjalnych tego typu spiskowanie jest chlebem powszednim.

Może ja jestem dzieckiem, a Pan ma obsesję?

– Jaką obsesję?

Służb specjalnych, niezmiennienia się Polski po 1989 roku, oprócz oczywiście utraty kontroli nad służbami.

– Niech Pan spyta ludzi starszych wiekiem, jaka zmiana była większa: w 1956 czy w 1989 roku? Szedłem ulicami Warszawy po ogłoszeniu wyniku wyborów w czerwcu 1989 roku, szli ludzie ulicami Warszawy i wcale się nie cieszyli.

nie radowali, szli z niepewnymi minami. A w 1956 roku był wybuch entuzjazmu.

Ja pamiętam entuzjazm w 1989 roku.

– Nie widziałem nigdzie entuzjazmu. Może dlatego, że Warszawa jest miastem biurokracji?

To jakie są Pańskie główne hasła oprócz okleizniania służb specjalnych?

– Pan mówi: trzeba uwodzić wyborców. Nie uwodzę wyborców mówię prawdę, że ZUS bankrutuje i że trzeba utworzyć fundusz emerytalny, już ani jedna złotówka z prywatyzacji nie może pójść na inne cele niż fundusz emerytalny. Oczywiście to hasło jest tępione, bo ta banda złodziei, która rządzi Polską, chce te pieniądze rozkradać w dalszym ciągu, nawet nie dla siebie, ale na przekupywanie wyborców. A la-da chwila emeryci zostaną z ręką w nocniku. Raz mi się udało powiedzieć coś na ten temat w reżymowej telewizji, ale to było 12 lat temu.

Może Pana tam nie zapraszają, bo ma Pan opinię politycznego błazna, a nie poważnego polityka?

– A pokazują nawet panią Bochniarzową, która wygaduje kompletne banały, panią Szyszkowską opowiadającą takie rzeczy, że boki zrywać?!

Służby, telewizja, fundusz emerytalny. Co jeszcze?

– Ważnym punktem mojego programu jest kara śmierci. Chcę powiedzieć jasno: ludzie, którzy ją znieśli, mają krew na rękach i ja tym ludziom staram się ręki nie podawać. To są dla mnie mordercy. Weźmy przypadek świętej pamięci Afrodyty, córki pani Eleni. Zabił ją jej chłopak, z którym chciała zerwać, w końcu takie prawo kobieta ma nawet w najbardziej terrorystycznych ustrojach. On ją po prostu wywał, nawet wziął świadka, nie bał się, kupił pistolet, sznurek i nóż, zamordował ją z zimną krwią. On sobie zaplanował tak: za 10 lat wyjdę i żadna dziewczyna mi już nie odmówi.

Pan wierzy w to, co powiedział?

– Oczywiście, on ją zamordował z zimną krwią i już jest na wolności. Rozumie Pan? Gdyby była kara śmierci, to Afrodyta by żyła. Ci, którzy znieśli karę śmierci, mają Jej krew na rękach. Za komuny siedziałem w więzieniu parę razy. I byłem na przykład świadkiem takiej sceny. Facet wychodzi jutro na wolność i kolega spod celi mówi mu: słuchaj – nie wiem, dokładnie co, bo on to mówił po cichu – ty mi coś tam załatw. Tamten mu odpowiada: to ci zrobię, bo za to jest „dwójka”, a tego nie, bo za to jest „piątka”. Oni kalkulują, jeżeli za coś byłaby „czapa”, to oni tego na ogół by nie robili, boby się bali. Teraz się nie boją.

A co z tym Pańskim błazeństwem, dlaczego nie postara się Pan...

– ...ja jestem błaznem?!

Tak jest Pan postrzegany.

– To jest robota telewizji.

Nawet jeśli, to powinien Pan z tym jakoś rozsądnie walczyć, a nie tylko mówić: oni są na usługach reżymu.

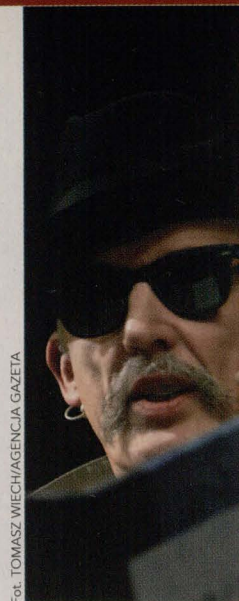
– A jeżeli są sługusami?

To jako rozsądny człowiek powinien Pan znaleźć sposób, żeby to zmienić.

– Nie, to ludzie muszą chcieć coś zmienić. Jak nie chcą, to znaczy, że jest im z tym dobrze. Ja będę tak sobie żył. Zapewniam Pana: dam sobie radę.

Wiem, że pan da sobie radę, tylko nie zrealizuje Pan tego, co chciałby zrobić.

– Jeszcze raz mówię: żyjemy w ustroju, w którym teoretycznie rządzi lud. I jeśli lud będzie mnie chciał, to dobrze; jeśli nie chce, nie obrażam się. A co do błazeństwa... Jak ktoś mieszka cały czas w domu wariatów, to wydaje mu się, że wszystko wokół jest dziwaczne i błazeńskie, że ludzie powin-



Fot. TOMASZ WIECHAGNIA GAZETA

Da mi Pan telewizję na dwa tygodnie, to zobaczy Pan, jakie będą wyniki. Gdyby Adolf Hitler miał telewizję, to do dzisiaj Niemcy by nie wiedzieli, że przegrali II wojnę światową

ni chodzić w kaftanach bezpieczeństwa. I jak widzi kogoś machającego rękami, to uważa go za błazna. A tak nie jest.

Pan uważa, że mieszka w domu wariatów, a część tych wariatów uważa, że to Pan jest wariatem.

– Oczywiście. I to jest ich problem, mnie to nie przeszkadza. Poprzedni prezes UPR był w Stanach Zjednoczonych i po powrocie mówi tak: Kiedy w Polsce mówię, czego chcemy, to jest to traktowane jako dziwactwo, natomiast w Ameryce Republikanie nie chcą na te tematy ze mną rozmawiać, bo one są dla nich oczywistym, nudnym banałem.

Jak długo Pan będzie próbował, jeśli się teraz nie uda? Dożywno Pan będzie kandydował?

– Myślę, że się uda, w tej czy innej formie. Tak szczerze mówiąc, to bardziej nam zależy na obecności w Sejmie niż na prezydenturze.

To tym bardziej musi Pan, UPR musi, jakoś inaczej do Polaków przemawiać.

– Nie, proszę Pana. Jest inny problem. W każdym społeczeństwie ludzie się orientują na elity, nawet strajków nie robi biedota robotnicza, tylko robią to narzędziowcy, najlepiej zarabiający robotnicy. A polskie elity najpierw ginęły w powstaniach, potem emigrowały, potem zostały wymordowane przez narodowych socjalistów, bolszewików i stalinowców, potem znów emigrowały... Dzisiaj zwolennicy wolnego rynku, na przykład jedna piąta członków UPR, siedzą w Singapurze, na Tajwanie, w Malezji, w Chinach, tam gdzie jest wolny rynek. Nie zostaną w tym naszym komunizmie, gdzie ludzie traktują mnie cały czas jak błazna.

Naszym komunizmem?

– A w czym? Jeżeli żyłby Pan 200 lat temu i ktoś by Panu powiedział, że państwo będzie decydowało o tym, czego się uczy Pańskie dziecko w szkole, toby Pan krzyczał w protest. Jak chciano uczyć dzieci religii po niemiecku, to był wielki krzyk, a przecież chodziło tylko o język jednego przedmiotu. Natomiast dzisiaj państwo uważa za stosowne, nie znając mojego dziecka, decydować o całym jego programie szkolnym. To właśnie jest dowód totalitaryzmu, w którym żyjemy. To jest niewolnictwo, jeżeli rząd zajmuje się wszystkim, między innymi edukacją moich dzieci. W ustroju niewolniczym właściciel niewolników decydował o tym, czego się będzie uczyć dziecko niewolnika, bo to dziecko pracowało nie na ojca, tylko na właściciela. Właściciel niewolników miał prawo powiedzieć niewolnikowi: masz się zapinać pasem w samochodach, bo mi się zabijesz, a ja za ciebie zapłaciłem. W normalnym państwie, jeżeli człowiek wolny się zabije, to jest problem tylko jego i jego rodziny.

Może Pan jest typem wiecznego buntownika?

– Dopóki ktoś każe mi płacić ćwierć moich zarobków na fundusz emerytalny (a ja w dodatku wiem, że tej emerytury nie dostanę, bo ZUS zbankrutuje), to ja się buntuję, bo to jest rabunek. Trzeba natychmiast znieść przymus składki emerytalnej, żeby młodzi ludzie nie musieli płacić na ZUS. Czy Pan wie, że są ludzie chorzy na takie choroby genetyczne, że wiadomo, że umrą w wieku lat 40, 42, i oni też płacą składkę na ZUS? To jest bandycki ustrój, nienawidzę tego ustroju i ja z tym państwem będę walczył! To nie jest moje państwo. Rządy się wtrącają w to, czy jestem tusty, czy chudy, i układają moją dietę! To jest społeczeństwo krów. Być może ludzie chcą być krowami, byle im tylko do żłoba dużo nasypiano, i z politowaniem patrzą na jelenie, które chcą same zdobywać sobie pokarm. Ale ja stoję na czele tych, którzy nie chcą być krowami!

ROZMAWIAŁ PIOTR NAJSZTUB
WARSZAWA, 12 SIERPNI 2005 R.

Monika Pyrek:
**SREBRO
NA URODZINY**

Nasze czołowe tyczkarki – Monika Pyrek i Anna Rogowska – dzielnie walczyły podczas lekkoatletycznych mistrzostw świata w Helsinkach. Ale tylko jedna z nich zdobyła medal. Monika Pyrek już od kilku lat należy do światowej elity tyczkarek. Srebro wywalczyła dzień po swoich 25. urodzinach.

W Helsinkach obie Polki sprawnie zaliczyły wysokość 4,20 i 4,35, ale przy 4,50 metra zaczęły się schody. Konkurentki też miały problemy przy tej



Fot. JASTER JUNIENAP

wysokości. Niewykluczone, że powodem był dość silny wiatr, który istotnie utrudnia bieg z długą tyczką.

Właśnie na 4,50 odpadła Rogowska. **Pyrek pokonała 4,60 w pierwszej próbie, choć minimalnie traciła poprzeczkę.** Przy 4,70 nie miała jednak szans – w trzeciej próbie podniosła poprzeczkę na 4,75, aby ewentualnie zaliczyć rekord życiowy; jednak bez powodzenia. Przegrała tylko z rekordzistką świata Jeleną Isinbajewą. Niedosćgniona Rosjanka zaczęła skoki dopiero od 4,60. Kolejne wysokości pokonywała w pierwszych próbach. Pobiła rekord świata na wysokości 5,01.



Fot. ZBIGNIEW NATUSZEWSKI/PAP

Kuba Gorgolewski i Wojtek Jaśkowski:
POLSCY INFORMATYCY W NATARCIU

Najlepszy na świecie algorytm sztucznej inteligencji stworzyli studenci informatyki Politechniki Poznańskiej. Kuba Gorgolewski i Wojtek Jaśkowski **zwyciężyli dzięki temu w największym międzynarodowym konkursie dla młodych komputerowców – Imagine Cup 2005 w Japonii.** Ich algorytm, zawierający aż pięć tysięcy linii kodu, kieruje poczynaniami bohatera gry strategicznej. Polska drużyna występująca pod nazwą AI@PUT, sterując nanorobotami i białymi krwinkami, miała za zadanie uratować przed złośliwymi wirusami organizm profesora Hoshimiego. Polacy pokonali dwa tysiące drużyn z całego świata. W nagrodę dostali osiem tysięcy dolarów. – Ci młodzi ludzie w przyszłości zapewnią innowacyjność i rozwój nowym technologiom – chwalił zwycięzców Bill Gates, szef Microsoftu. Trzecie miejsce w japońskim konkursie zajęła również polska drużyna – LORD of the BOTS – którą stworzyli studenci z Łodzi Rafał Gliszczyński i Przemysław Makosiej. (SZCZEP)

Andrzej J.:
SYN PREMIERA ZATRZYMANY

Najsłynniejszy syn najsłynniejszego premiera PRL znowu zagościł w mediach. Tym razem nie z powodu sukcesów rajdowych. W środę 10 sierpnia, kilka minut po szóstej wieczorem, do ogródka restauracji Esplanada w Łodzi wpadła grupa uzbrojonych mężczyzn z napisami „Rutkowski patrol” na plecach. Dopadli i obezwładnili dwóch siedzących w lokalu mężczyzn. Jednym z nich był, jak zagadkowo pisały niektóre gazety, „Andrzej J., syn byłego premiera”. Chodzi oczywiście o syna Piotra Jaroszewicza, zamordowanego wraz z żoną Alicją w 1992 roku premiera PRL z lat 70. Na Andrzej J. ciąży zarzut próby wyłudzenia od jednego z łódzkich biznesmenów 50 tysięcy euro prowizji za rzekome załatwienie kredytu. **Ludzie Rutkowskiego zatrzymali go na gorącym uczynku – gdy odbierał pieniądze** – i wraz z jego pochodzącym z Chorwacji kompanem przekazali łódzkiej policji. 59-letni dziś Andrzej J. był określany jako „król życia” w czasach PRL. Jego pasją zawsze były szybkie wozy. Siadał za kierownicą samochodów, o których 30 lat temu przeciętny Polak mógł tylko pomarzyć – prowadził słynną lanię stratos i fiata 124 abarth. Startował w rajdzie Monte Carlo, był jednym z kierowców, którzy w 1973 roku pobili fiatem 125p rekord prędkości na autostradzie pod Wrocławiem. (MAX)



Paweł Moczydłowski:
Z LISTY WILDSTEINA DO SĄDU

Przed Sądem Łustracyjnym rozpoczął się proces Pawła Moczydłowskiego. Były szef więziennictwa **złożył wniosek o autostrację, gdy znalazł swoje nazwisko na liście Wildsteina**, a Instytut Pamięci Narodowej odmówił mu wydania jego teczek (IPN postępuje tak wobec osób, które w jego archiwach figurują jako pracownicy lub współpracownicy służb specjalnych PRL). Moczydłowski zdecydowanie zaprzecza, że kiedykolwiek współpracował z bezpieką. Jest pierwszą osobą z listy Wildsteina, która poprosiła o lustrację.

Paweł Moczydłowski z wykształcenia jest socjologiem. Ma tytuł doktora. W latach 1990–1994 był szefem Centralnego Zarządu Służby Więziennej. Sympatyk Lecha Wałęsy. Po odejściu ze stanowiska pracował między innymi jako doradca prezydenta Wałęsy, był też w radzie jego fundacji. Potem zakładał Ruch Stu, działał też w sztabie wyborczym Andrzeja Olechowskiego, gdy ten pięć lat temu startował w wyborach prezydenckich. Od tego czasu nie uczestniczył w życiu publicznym. (GREG)



Robert Sołtyk:
**ZMIANA
NEOCZEKIWANA**

Dziennikarz „Gazety Wyborczej” zdecydował się przejść na drugą stronę barykady. W drugiej połowie września **został rzecznikiem prasowym komisarz Dalii Grybauskaite w Komisji Europejskiej.** Sołtyk, który jest uważany za jednego z najlepszych znawców tematyki unijnej wśród polskich dziennikarzy, nową posadę zdobył przez przypadek. – Zaproponowano ją mojemu koledze Marcinowi Grajewskiemu z Reutera, ale on nie czuł się na si-



Fot. WOJCIECH SURDZIEL/AG

łach i ofertę przekazał mnie. Postanowiłem spróbować – opowiada Sołtyk. Transfer zaskoczył Bartosza Węglarczyka, zastępcę szefa działu zagranicznego „Gazety”. – Szkoda tracić tak dobrego dziennikarza, ale pocieszamy się tym, że jak do nas wróci, będzie miał niezłe tematy.

Sołtyk ma 39 lat, z „Gazetą Wyborczą” związany jest od jej powstania. Był korespondentem w Paryżu i w Brukseli. Przez pewien czas szefował działowi sportowemu, potem został zastępcą szefa działu zagranicznego. Jest uważany za frankofila i znawcę win. Jest żonaty (z pisarką Agatą Areszkiewicz), ma dwa buldogi. (SYLV)

Déjà vu, Panie Boże...

Czy po minionym ćwierćwieczu nie byłoby stosowniejsze nakręcić film pod tytułem „Człowiek z tragedii” i nim uczcić cud Solidarności?

Po 25 latach z okazji rocznicy powstania Solidarności wraca mit łączenia się inteligencji warszawskiej z ludem. Na wezwanie Andrzeja Wajdy 13 reżyserów zrobiło krótkie filmy o wydarzeniach w Stoczni Gdańskiej. W myśl „sprawdzenia się ideałów sztuki, której czuję się spadkobiercą” – powiada ładnie zasłużony reżyser. W ten sposób odgrzany zostanie historycznie najnowszy mit salonu warszawskiego, który znów – po 25-letniej menopauzie – będzie się bratał z ludem, którego już nie ma. Tym razem wirtualnie, wszak inaczej dziś nie można, a nawet nie wypada. Film pójdzie w całości, ale później będzie go można pociąć na 13 kawałków i w zależności od okoliczności pokazywać jako „dobranoc” o wspaniałej legendzie bratania się inteligencji z ludem. Utrwali się legenda, która stanie się kolejnym kompendium legend – po legendzie powstania warszawskiego – w którym prawda rozplynie się w popiołach wypolerowanych wspomnień i obrzędowych rocznic. Po to są legendy. Z głupich i nieodpowiedzialnych oficerów zrobiono bohaterów narodowych. Dlaczego niby nie można uwznioślić zbratania się inteligencji z robotnikami? Data jest po temu, a media są do dyspozycji. Tak więc inteligencja będzie się medialnie „bratać z ludem”, gdy tymczasem lud już dawno ożenił się z nędzą. Po Stoczni Gdańskiej pozostały zgłiszczka, podobnie jak po wielu kopalniach. Nasi dzisiejsi portowcy klepią biedę w stoczni francuskiej, oszukani przez pośrednika wchodzą w głódówkę. Do XIX-wiecznych osiedli górniczych zlikwidowanych kopalń, czyli do famiolków, zawiłała nę-

dza, jakiej od stu lat na Górnym Śląsku nie było, bo na poziomie afrykańskich wertepów. Czy po minionym ćwierćwieczu nie byłoby stosowniejsze nakręcić film pod tytułem „Człowiek z tragedii” i nim uczcić cud Solidarności?

A może wpadnie ktoś na pomysł, by w rocznicę podpisania 21 postulatów gdańskich młodzieżowe sztafety wyruszały spod pomnika gdańskiego i biegly pod krzyże przy kopalni Wujek. A w następnym roku odwrotnie: w rocznicę zamordowania górników sztafeta narciarska wyrusza spod Wujka i pędzi przez całą Polskę pod stoczniove krzyże. Wnuki zredukowanych stoczniovców i zredukowanych górników mogłyby honorowo biec na czele sztafet. Po drodze, na Jasnej Górze, można by ich zetknąć na wspólnej mszy z weteranami wydarzeń gdańskich i katowickich. Tam mogliby sobie poopowiadać o legendzie walki z komunizmem.

Choć nie należy wykluczyć, że wśród 13 filmików moich młodszych kolegów znajdują się i doręczne. Liczę na Jana Jakuba Koloskiego, który na kanwie rocznicy wórnego fraternizowania się powiedział: „Z idei Sierpnia przetrwało wszystko, co dało radę oprzeć się naszej skłonności do marnowania szans, to znaczy niewiele. Mamy piękną, unurzana w gównie ojczyznę. Tak w sferze idei, zaś w sferze materii... No cóż, mamy w Polsce więcej Ameryki, niż możemy udźwignąć”.

„Mamy piękną, unurzana w gównie ojczyznę” – to najmądrzejsze hasło wyborcze, na jakie się natknąłem!

www.przekroj.pl/kutz



Rys. MAREK RACZKOWSKI



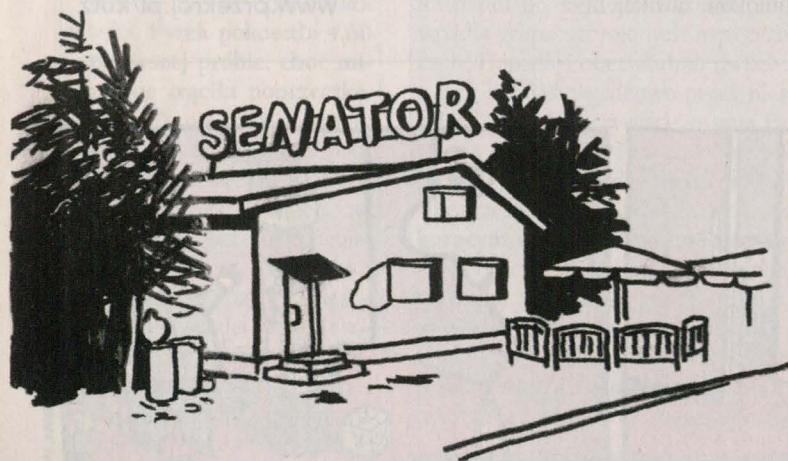
Rocznica dawania

25.

rocznica Sierpnia '80 wylewa się z gazet, telewizorów, radia i nawet – z tego, co słyszałem, przechodząc koło jednego z nich w Gdańsku – ogródków piwnych. „Karnawał Solidarności”, czyli strajki i rok wolności po nich, znalazł się wreszcie w oficjalnym panteonie historii Polski, a kolejni historycy przed kamerami licytowali się, jaki numer ek mu przyporządkować, numerując najważniejsze wydarzenia w XX-wiecznej historii Polski. Sztandary, hymny i zagraniczni goście, którzy obowiązkowo (już o naszych nie mówię) muszą wygłosić zdanie, że bez Solidarności nie runąłby mur berliński, nie rozpadłby się ZSRR, a na Ukrainie nigdy nie byłoby mody na kolor pomarańczowy. Jednym słowem mitologizacja, teatralizacja i sakralizacja w jednym. To oczywiście nic złego, tak, trzeba „karmić się” własną historią, ma to szczególne znaczenie dla ludzi młodych i jeszcze młodszych, którzy tych wydarzeń i tamtej atmosfery nie mogli zaznać. Ale żyje w Polsce co najmniej kilka milionów ludzi (w pewnym momencie do Solidarności należało dziewięć milionów osób), dla których tamte czasy to też ważny element osobistej biografii, niektórzy z nich wtedy po raz pierwszy poczuli smak wolności, inni mogli wreszcie głośno i wielokrotnie publicznie mówić to, co myślą (wcześniej królowała jednorazowość takich oświadczeń, bo po jednym razie trafiało się do aresztu milicyjnego lub więzienia). Doświadczenie „karnawału Solidarności” polegało też na tym, że jego uczestnicy, na każdym szczeblu, na kilkanaście miesięcy stali się też lepszymi ludźmi. Solidarność, co dziś słabo pamiętamy, była nie tylko niezależnym związkiem zawodowym, ale też wypełniała – w tym swoim drugim znaczeniu – przestrzeń między ludźmi. Między nami, bo piszę ten komentarz dla tych, którzy mieli wtedy 18 i więcej lat. My porzućmy mitologizację, teatralizację i sakralizację, a zamiast tego przypomnijmy sobie samych siebie. Na co nas było stać, na czym nam zależało, jak często udawało nam się nie być samolubnymi i jak zadziwiająco często – patrząc z naszej dzisiejszej, osobistej perspektywy – byliśmy gotowi coś poświęcić dla większej – od naszego ego – sprawy. Jeśli to sobie przypomnimy, to nie zarobią już na nas solaria. I bez nich będziemy cały czas czerwoni. Ze wstydu, jak bardzo sami się zmieniliśmy i nie potrafiliśmy zatrzymać w sobie tych naszych lepszych wersji. Już pomijam to, że gdyby ta pamięć była stale obecna, to nazwisk wielu dzisiejszych polityków w ogóle byśmy nie znali, bo oni pierwsi spaliliby się ze wstydu. Ogłaszam więc nowy projekt uczczenia wydarzeń sprzed 25 lat: spróbujmy być przez kilkanaście miesięcy tacy sami jak wtedy. Może z tego być niezła rewolucja, w końcu jest nas kilka milionów.

PIOTR NAJSZTUB

MACIEJOWSKI



© MARCIN MACIEJOWSKI

ZAPRASZAMY.

Spirala blefu

W

listopadzie 2002 roku Ariel Szaron wezwał społeczność międzynarodową, by „zajęła się Iranem, gdy tylko skończy z Irakiem”. Już niebawem jego życzeniu może stać się zadość. Nowy prezydent Iranu idzie na konfrontację z USA, Teheran wbrew prośbom państw europejskich wznowił prace nad wzbogacaniem uranu, a George Bush zadeklarował, że w ostateczności jest gotów rozbroić Iran siłą. Co ciekawe, powiedział to zaledwie miesiąc po przyjęciu w Białym Domu na cześć premiera Indii, które również nielegalnie zbudowały bombę, i tydzień po tym, jak Pakistan, kolejna „czamorynkowa” potęga atomowa i sojusznik USA, przetestował rakietę do przenoszenia głowic jądrowych.

Ale rosnące napięcie wokół irańskiego programu atomowego jest zaskakujące z innego powodu. Na początku sierpnia „Washington Post” ujawnił fragmenty oficjalnego raportu wywiadu przygotowanego dla Białego Domu. Wynika z niego, że nie ma żadnych dowodów na to, by irańskie badania nuklearne wykraczały w tej chwili poza cywilny program jądrowy, a od bomby atomowej dzieli Teheran 10 lat badań, a nie pięć, jak powtarza od lat amerykańska administracja (gdyby wierzyć ostrzeżeniom Białego Domu, Iran powinien już dwa razy zakończyć budowę bomby jądrowej). Bo nie o bombę tu chodzi. Teheran blefuje, bo wie, że nie grozi mu amerykańska okupacja, a na Bliskim Wschodzie liczyć się będzie ten, kto postawi się Amerykanom. Białe Domy świadomie ulega blefowi, bo groźby pasują do wizerunku Iranu jako państwa „osi zła” bardziej niż fakty, a z czasem mogą stać się dobrym pretekstem do obalenia irańskiego reżimu. Kłopot w tym, że ajatollahowie kalkulują lepiej niż Amerykanie. Jeśli uda im się sprowokować naloty na własne laboratoria, w południowym Iraku wybuchnie szybkie powstanie przeciw Amerykanom, co da Iranowi dobry pretekst, by w odwecie wkroczyć na te roponośne tereny „w obronie braci szyitów”. Świat uzna to za powściągliwą reakcję („Na szczęście nie wystrzelili rakiet na Tel Awiw”), a USA raczej nie ruszą na Teheran. Iran zyska silną pozycję względem Izraela, a trzymając rękę na naftowym kurku świata, będzie mógł spokojnie budować bombę i rządzić na Bliskim Wschodzie. Jeśli Amerykanie nie chcą do tego dopuścić, powinni już projektować świat z atomowym Iranem.

WAWRZYNIEC SMOCZYŃSKI

Mamy wiele pasji...



Jacek Tokarz
pracuje od 14 lat
w Punkcie Obsługi Klientów w Opolu.

...jedną z nich jest pomnażanie Twoich pieniędzy...

GIELDA - FUNDUSZE - OBLIGACJE
www.cdmpekao.com.pl
infolinia: 0 804 140 490
CDM Pekao SA działa na podstawie zezwolenia KPWiG



Centralny Dom Maklerski
PEKAO SA

Pomagamy w wyborze dobrej inwestycji

Karol nr 2



SCENAMI POSIEDZENIA
PLENUM KC PZPR
ROZPOCZĘTO
W KRAKOWIE KRĘCENIE
SERIALU O JANIE
PAWLE II. KRZYSZTOF
PIECZYŃSKI (Z LEWEJ)
JAKO TOWARZYSZ
CZERNY

W Nowej Hucie ruszyły zdjęcia nowej produkcji filmowej o Janie Pawle II. Telewizyjny miniserial jest koprodukcją włoskiej telewizji RAI, amerykańskiej CBS i polskiej TVP1. Reżyseruje go John Kent Harrison, który jest również współautorem powstającego od kilku lat scenariusza.

W rolę Karola Wojtyły wcielił się zagraniczny aktorzy: Brytyjczyk Cary Elwes zagra bohatera przed konklawe, a Amerykanin Jon Voight (znany z filmu „Nocny kowboj”, prywatnie ojciec Angeliny Jolie) – papieża Jana Pawła II. Początkowo postać Ojca Świętego miał zagrać Ian Holm, odtwórca roli Bilbo we „Władcy pierścieni”, ale nie pozwoliła mu na to choroba. W roli kardynała Sapiehy wystąpi James Cromwell. W filmie pojawiają się również aktorzy polscy: Krzysztof Pieczyński, Robert Goner i Maciej Marczewski.

Film przedstawia życie papieża od początku wojny aż do jego śmierci – to zasadnicza różnica w stosunku do filmu „Karol – człowiek, który został papieżem” – mówi Krzysztof Grabowski, kierownik produkcji ze strony polskiej. Scenariusz pisano we współpracy z watykańskimi historykami. Roboczy tytuł to po prostu „Papież Jan Paweł II”. Film będzie można zobaczyć w polskich kinach jesienią tego roku, a wiosną przyszłego trafi do telewizji w pięciu 40-minutowych odcinkach. (AR)

W śmiecie pomysłu osiemnastu Paweł Karol
Cimoszewicz o tym, że weimondzie popetui-
pomysłu w osiemnastu Majstkomu ze 100 m
jest weimondzie.
Anna Janucha

Fot. FAKT

ROZGRYWKI PREZYDENCCKIE

„GAZETA” I „TRYBUNA” BRONIŁY MARSZAŁKA, ZAŚ BRUKOWCE WZGARDZIŁY REWELACJAMI BYŁEJ ASYSTENTKI WŁODZIMIERZA CIMOSZEWICZA

Zanim dowiemy się, czy za informacją, jakoby marszałek miał nakazać swojej byłej asystentce społecznej Annie Jaruckiej zmianę oświadczenia majątkowego z 2002 roku, stoją jakieś fakty, warto zanotować, jak sprawę potraktowały gazety. Najmocniej „podkreśliło” ją „Życie Warszawy”, które oskarżyło kandydata na prezydenta tytułem „Cimoszewicz złamał prawo”. Według dziennika marszałek mógł się zdecydować na fałszerstwo, bo jego córka, jako na stałe mieszkająca w USA, nie miała prawa kupować akcji Orleń. Poza suche zrelacjonowanie sprawy nie wyszła „Rzeczpospoli-

ta” – swój tekst zatytułowała po prostu „Nowe kłopoty Cimoszewicza”. Jednym głosem przemówił „Gazeta Wyborcza” i „Trybuna”. Odpowiednio: „Nagle uderzenie w Cimoszewicza” oraz „Atak na Cimoszewicza”. Oba dzienniki zdecydowanie broniły marszałka. „Gazeta”: Jarucka miała wcześniej kłopoty w pracy, bezpodstawnie też oskarżyła dziennikarzy „Metra” o posiadanie tajnych depeš MSZ. „Trybuna”: zamiana oświadczenia też oskarżyła dziennikarzy „Metra” o posiadanie tajnych depeš MSZ.

Zadziwiająco łagodnie potraktowały marszałka „Super Express” („Czy to koniec snu marszałka

o prezydenturze?”) i „Fakt” („Cimoszewicz w matni”). Artykuły o rewelacjach Jaruckiej ukazały się tam na odległych stronach.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

ONI są nawet w kosmosie

Na kilka godzin zamilkło tydzień temu Radio Maryja. Nie było go słychać na całym świecie, bo zepsuł się satelita. Nie byłoby to dziwne, gdyby tego wieczoru, w „Rozmowach niedokończonych”, nie rozmawiano o aferze Orleń. A rozmawiano, lecz świat tego nie usłyszał. I jak tu uwierzyć w przypadek?

KNEBEL KIERESA

PREZES IPN LEON KIERES WPADŁ NA POMYŚL, JAK SKUTECZNIE ZAMKNAĆ ARCHIWIA IPN PRZED DZIENNIKARZAMI, A JEDNOCZEŚNIE NIE ODMAWIAĆ IM DOSTĘPU DO AKT

Dotychczas gdy dziennikarz występował o udostępnienie akt Instytutu Pamięci Narodowej, wystarczyło wypełnić wniosek, mieć rekomendację redakcji i czekać kilka miesięcy na akta. No, chyba że prezes sam chciał się pochwalić wykrytym agentem – wtedy akta można było zobaczyć jeszcze tego samego dnia i nie potrzeba było rekomendacji redakcyjnej (tak było z teczką Małgorzaty Niezabitowskiej). Teraz do każdego wniosku dziennikarze muszą dołączyć listę artykułów, które potwier-

(CZAR)

PRACOHOLICY DO KLASZTORU

ZA PIENIĄDZE UNII
W KLASZTORZE
W RYTWIANACH MOŻE
POWSTAĆ OŚRODEK
TERAPEUTYCZNY
DLA PRACOHOLIKÓW

Telefony komórkowe i laptopy trzeba będzie zostawić na klasztornej furcie, w ośrodku nie będzie też radia i telewizji. W zamian oferujemy spokój i ciszę pustelni. Będzie można polepić garbki, wypłatać koszyki – opowiada ksiądz Wiesław Kowalewski, gospodarz pokamedulskiego klasztoru w Rytwianach. Inicjatorem projektu jest działający tam Diecezjalny Ośrodek Kultury i Edukacji „Źródło” oraz Stowarzyszenie Miłośników Pustelni Złotego Lasu. Zajęcia terapeutyczne prowadzą pracownicy kieleckiej Pomidni Profilaktyki i Terapii Uzależnień.

Koszt przedsięwzięcia szacowany jest na siedem milionów złotych. 75 procent tej kwoty ma wyłożyć Unia Europejska. – Modlimy się o środki – zapewnia ksiądz.

Fot. JAROSŁAW KUBALSKI/AGENCJA GAZETA



WĘDRUJĄCY
KORTARZAMI TEGO
KLASZTORU
W RYTWIANACH
PRACOHOLIK
MA WYCISZYĆ SIĘ
I PRZYGOTOWAĆ
DO WYDAJNIEJSZEJ
PRACY

Kameduli Erem Złotego Lasu opuścili w 1819 roku, po rządowej kasacie zakonu. Położony na uboczu klasztor przyciąga dziś wielu turystów. Po rewitalizacji klasztor będzie mógł zarabiać na organizacji sympozjów, seminariów, szkoleń.

NFZ nie będzie dofinansowywał klasztornych turnusów dla pracoholików – pracoholizm nie jest jednostką chorobową. – Liczymy na zainteresowanie i pomoc samych pracodawców – mówi ksiądz Kowalewski. – Oni sami coraz częściej zauważają, że pracoholik nie jest dobrym pracownikiem, pracuje niewydajnie i psuje atmosferę w pracy. (AJ)

ZLINCZOWANY POCHOWANY

NIKT NIE PALIŁ SIĘ
DO POCHÓWKU
ZLINCZOWANEGO
1 LIPCA
KRYMINALISTY
Z WŁODOWA

Józef C., zabity przez mieszkańców Włodowa, został pochowany dopiero 10 sierpnia. Rodzina nie kwapiła się odebrać ciała z kostnicy, długo nieznane było też miejsce pochówku – mieszkańcy Włodowa grozili sprofanowaniem grobu, a miejscowy proboszcz nie chciał poprowadzić uroczystości. W końcu mężczyzna spoczął na cmentarzu komunalnym pod Moragiem, kilkanaście kilometrów od Włodowa. W pogrzebie nie brał udziału ksiądz. O linczu na 60-letnim kry-

Fot. G. CZYŃSKI/AGENCJA OLSTYŃSKA



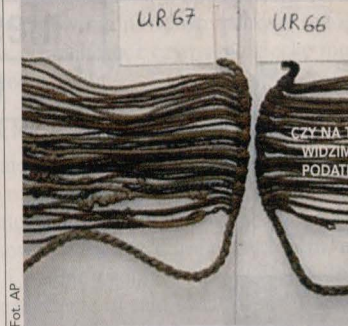
NAWET SIOSTRA
ZWLEKAŁA
Z ODEBRANIEM CIAŁA
BRATA Z KOSTNICY

minaliście Józefie C. podejrzewanych jest siedmiu mężczyzn. Wszyscy są w areszcie. W feralnym dniu Józef C. chodził po wsi i groził mieszkańcom. Gdy wzywana wielokrotnie policja nie reagowała, mężczyźni śmiertelnie pobili C. (GREG)

A może kipu to PIT

Świat obiegra sensacyjna wiadomość – naukowcy z Uniwersytetu Harvarda zdołali odszyfrować pozostające dotąd tajemnicą pismo węzełkowe, jakim posługiwali się Inkowie. Węzłki powiązane są w pęczki zwane kipu. Ponieważ przez wiele lat nie zdołano zbliżyć się do rozszyfrowania inkaskiego zapisu, specjaliści postanowili zaprząć do roboty komputery.

W elektronicznej bazie zgromadzono elektroniczne kopie ponad



300 kipu. Ich analiza wykazała, że zapis zawiera dokumentację podatkową oraz zarządzenia dotyczące gospodarki państwa Inków. To początek badań – wiadomo, co oznaczają poszczególne węzłki, ale wciąż nie jest jasne, czego dotyczą zapisane na kipu liczby.

Przy okazji odkrycia powróciła sprawa słynnego „polskiego” kipu, które rzekomo zostało odnalezione w 1946 roku w zamku w Niedzicy. Sprawa jest ze wszech miar podejrzana. Andrzej Benesz, człowiek podający się za spadkobiercę dawnych właścicieli zamku, twierdził, że ze skrytki pod schodami wydobyl ukryte w tubie kipu, które miało zawierać informację na temat miejsca ukrycia wielkiego skarbu Inków.

Fakty są jednak takie, że owego kipu nie widział na oczy nikt poza samym Beneszem i ośmioma świadkami. Jednak dawny dyrektorzy muzeum zamkowego podają w wątpliwość fakt, że owi świadkowie, w większości miejscowi chłopcy, byli zdolni do odróżnienia oryginalnego kipu od pęczka konopnych sznurków.

Mimo tego legenda żyje własnym życiem podsycana jeszcze śmiercią Benesza, który zginął w wypadku samochodowym. Ponoć dosięgła go klątwa inkaskiego złota. (PSTAN)

DIALOG POKOLEŃ
SENSOWNOŚĆ

WWW.
CO TO
ZNACZY
DLA CIEBIE.PL

uBook

©1997-2003
ALL RIGHTS RESERVED

gazeta

wp.pl

PRZEKROJ

tratoria FLUID

metropolis

click5



KRAJOWA RADA

Tego i Owego

Krajowa Rada
postanowiła lepiej
chronić dzieci
przed brutalnością,
seksem i przemocą.
Cel jak najbardziej
szlachetny,
niestety, gorzej
z wykonaniem

Za sprawą rozporządzenia z prawego dolnego rogu ekranów naszych telewizorów już powinny zniknąć żółty trójkącik („za zgodą rodziców”), czerwony kwadrat („tylko dla dorosłych”) i zielone kółko („dla wszystkich”). W ich miejsce w lewym górnym rogu pojawiły się lub pojawią (nadawcy mają miesiąc na wprowadzenie zmian) nowe symbole graficzne. O tym, że dany program albo film mogą oglądać wszyscy widzowie, dowiemy się dzięki zielonemu kółku, czerwone kółko to znak, że program dozwolony jest od lat 18, a więc pokazywać go można tylko po 23.00. KRRiT wprowadziła też podział na kategorie wiekowe: „dla małoletnich od lat siedmiu”, „dla małoletnich od lat 12” i „dla małoletnich od lat 16” (do pokazywania tylko po 20.00). O tym, do jakiej kategorii zalicza się konkretna telewizyjna audycja, informują nas żółte trójkąty z cyfrą 7, 12 lub 16 w środku.

LEPSZY RODZIC CZY ZNACZEK?

Oczywiście, niezależnie od tych zasad, nadal między 6.00 a 23.00 obowiązuje tak zwany czas ochronny, kiedy to w telewizji nie powinno być miejsca na seks, przemoc, eksponowanie nagości itp.

Nowe znaki graficzne nie znikają z ekranu przez cały czas trwania programu czy filmu, ba, muszą pojawiać się nawet w krótkich autopro-

mocyjnych reklamówkach stacji zapowiadających repertuar na kolejne godziny czy dni.

Skąd ta, z perspektywy widzów, dość nieoczekiwana zmiana? – Obowiązek wprowadzenia kategorii wiekowych nakłada na nas ustawa o radiofonii i telewizji – tłumaczy Maciej Wrzeszcz z KRRiT. Ale chodzi nie tylko o mechaniczne wypełnienie wymogów ustawy, zdaniem Macieja Wrzeszcza nowe oznakowanie pozwoli rodzicom lepiej orientować się w mediach telewizyjnych ramówek, lepiej ochroni dzieci przed płynącą z ekranów przemocą, a nadawcom utrudni sprytne i nałogowe omijanie prawa.

Czy rzeczywiście efekt będzie aż tak wspaniały? Zajmująca się dziećmi psycholog Anna Ciupa, dyrektor Ośrodka Badań i Usług Psychologicznych, jest zdania, że oczywiście lepiej wprowadzać ostrzeżenia, niż nie robić w sprawie małoletnich nic. Mówi to, co wszyscy powtarzamy jak mantrę: że przestrzeń medialna jest dziś wyjątkowo „zaśmiecona”, a telewizyjny program „marny”:

– Po pierwsze więc, media powinny zacząć dbać o jakość, po drugie, dzieci chronić powin-

ni przede wszystkim rodzice, których nie zastąpi żaden znaczek, i dopiero na trzecim miejscu możemy mówić o roli oznakowań.

SILNE PODNIECENIE

Pierwszy rzut oka na oznakowane wedle nowego rozporządzenia ramówki przynosi ciekawe spostrzeżenia. Lwią część swojego repertuaru TVN uznała za odpowiedni dla dzieci od 12. roku życia (w tym „Uwagę”, „Rozmowy w toku”, „W-11. Wydział śledczy”, „Ciao Darwin”). W planach na najbliższe tygodnie nie widać też ani jednego filmu uznanego za dozwolony od lat 18. Dzieci od lat siedmiu właściwie w TVN nie mają co szukać, chyba że są nocnymi markami i o 00.05 zasiądą przed ekranem, by zerknąć na program rozrywkowy „Siłacze”, wcześniej rzuciwszy okiem na swój ulubiony magazyn piłkarski „Idea Ekstraklasa” (23.20). Dla nich jest również „Taniec z gwiazdami” albo „Kierunek Sopot”.

TVP uznała z kolei, że jej repertuar w sposób szczególnie przyjazny jest dzieciom (fakt, w końcu to tu jest najwięcej programów edukacyjnych), i znaczną część ramówki oznakowała

Te znaczki znikają z ekranów naszych telewizorów. Co nie znaczy, że razem z nimi znikną wszelkie kontrowersje, a w telewizji będzie mądrze i pięknie

jako „dla małoletnich od lat siedmiu” lub „bez ograniczeń wiekowych”. Do tej ostatniej grupy należą choćby serial „Klan” i „Wybory Miss Polonia”. Wybory miss zapewne dlatego, że jak chce załącznik do rozporządzenia, pokazują „rywalizację prowadzoną w duchu sportowym o określonych regułach”.

Dopiero dzieci od lat 12 mogą zainteresować się „Podróżami kulinarnymi Roberta Makłowicza”. Czyżby gotowanie mogło powodować u maluchów „silne podniecenie, związane z obrazami przemocy i niebezpiecznych rozrywek” (a tego właśnie powinny unikać dzieci poniżej 12. roku życia)? A może chodzi tylko o konkretny odcinek: „Smak grzybów”?

Gdyby potraktować rozporządzenie dosłownie (choć Maciej Wrzeszcz przekonuje, że „to tylko kierunek myślenia, a nie wzorzec z Sévres”), gros ambitnego, trudniejszego, artystycznego kina, z którym kształtujący swój smak młody człowiek bez wątpienia powinien mieć kontakt, musiałoby paść ofiarą cenzor-

skich zapędów Rady i trafić na ekrany w godzinach późnowieczornych i nocnych, bo „Dym” Wanga i „Kawa i papierosy” Jarmuscha reklamują nałogi. Bo „Ojciec chrzestny” Coppoli pokazuje „nadmierną koncentrację na posiadaniu pieniędzy i dóbr materialnych”, a w „Czasie Apokalipsy” tegoż samego aż roi się od „obrazów przemocy i okrucieństwa”. Bo „Krótki film o miłości” Kieślowskiego pokazuje „aktywność seksualną w oderwaniu od uczuć wyższych”. A co z „Panem Wołodyjowskim” (okrutna scena wbijania na pal) czy „Ogniem i mieczem” (ścinanie trzech głów za jednym zamachem)?

Ciekawe, że w czasie chronionym nic nie chroni dzieci przed zalewem kiczu, bezguścia i głupoty – od mydlanych oper z ich prymitywną, fałszywą wizją świata, przez idiotyczne rozrywkowe programy pokroju „Ciao Darwin”, „Familiady” i wspomnianych wyborów miss, po tandetne muzyczne biesiady i głupawe sitcomy. Zwłaszcza że przy restrykcyjnym przestrzeganiu rozporządzenia właśnie tego typu

„bezpieczne” treści wypełniałyby ekran między 6.00 a 23.00.

Paradoksów jest więcej: z obowiązku znakowania ustawa wyłącza transmisje sportowe, telesprzedaż, reklamy i programy informacyjne, więc KRRiT nie miała tu nic do powiedzenia. Rzecz intrygująca i pouczająca zarazem: intrygująca, bo właśnie w programach informacyjnych „lejących” niemal co kilkanaście minut roi się od najkrwawszych scen, poszarpanych zwłok, obrazów katastrof itp. – przerażających tym bardziej, że prawdziwych. A pouczająca, bo to kolejny dowód na to, że zdawanie się na wadliwe dokumenty nie ma większego sensu, a opiekunowie dzieci liczyć powinni na własny zdrowy rozsądek w ocenie tego, z czym ich dziecko może mieć kontakt.

PRZEMEBLOWANIE Z POŚLIZGIEM

Krajowa Rada uszczęśliwiła nadawców nowym rozporządzeniem w środku wakacji, nic więc dziwnego, że w stacjach trwają gorączkowe narady dotyczące nowych oznakowań i panuje ogólna irytacja. Wprawdzie rozporządzenie ujrzało światło dzienne już 23 czerwca, jednak wiele stacji miało w tym czasie podopinane jesienne ramówki. – Nasze były gotowe dużo wcześniej – mówi Beata Ryczkowska z Cyfry+.

To wyprzedzenie jest konieczne ze względu na sprzedaż bloków reklamowych do konkretnych pozycji, której dokonuje się kilka miesięcy wcześniej.

Tryb wprowadzenia nowego rozporządzenia, które potraktowane poważnie prowadzi do znaczącego przemeblowania programu, wydaje się dziwny, jeśli weźmiemy pod uwagę, że KRRiT to instytucja działająca na rynku mediów, więc z rytmem ich funkcjonowania i niuansami medialnego biznesu powinna być obeznana jak mało kto.

Wprawdzie Rada dała nadawcom jeszcze dwa miesiące na wprowadzenie oznaczeń, a później zamierza spotkać się z nimi na konsultacjach, ale to oznacza jedynie, że sprawa będzie się ślimaczyć, i różni nadawcy zastosują się do nowych zasad w różnym czasie.

Ale dla nich kłopoty z rozporządzeniem na tym się nie kończą.

WADLIWA LUDZKA NATURA

– Nagle wszyscy mamy stać się ekspertami od wychowania, psychologii itp. Jeśli ktoś uzna, że źle zakwalifikowaliśmy dany film, będziemy mieć na głowie i rozwścieczonych rodziców, i Krajową Radę – mówi Beata Ryczkowska, przerażona ogromem odpowiedzialności, który spadł na nadawców.

– Załącznik do rozporządzenia posługuje się zawilumami i nieprecyzyjnymi określeniami z języka psychologii, a nie prawa. Brak precyzji zapisów



JAK JEST ZA GRANICĄ

FRANCJA

Tu są cztery kategorie wiekowe: nieodpowiednie dla widzów poniżej 10, 12, 16 i 18 lat. Francuzi ustalili to w 2002 roku, zmieniając poprzedni system, który zawierał jeszcze kategorię „bez ograniczeń” oraz „za zgodą rodziców”. Zmiana wiązała się też z tym, że do oznaczania programów używano kolorowych symboli (jak w Polsce), co uznano za dezorientujące. Teraz Francuzi mają czarno-białe piktogramy z liczbą wskazującą wiek. Podczas trwania audycji przeznaczonych dla 16-latków i starszych symbol powinien być ciągle widoczny.

NIEMCY

W Niemczech programy dla osób powyżej 16 lat poprzedza słowne ostrzeżenie lub nadawca znakuje taką audycję.

HOLANDIA

Holendrzy mają dość rozbudowany system piktogramów. Są to białe oznaczenia na tle czarnego koła. Kategorie wiekowe to: bez ograniczeń, 6, 12 i 16 lat. Dodatkowo dochodzą symbole oznaczające „brudną” zawartość programu: przemoc, seks, strach, nadużywanie alkoholu i narkotyków, dyskryminację i przeklinanie. Ostrzeżenia pokazywane są na początku audycji.

WIELKA BRYTANIA

Na Wyspach nie ma symboli, są jedynie słowne ostrzeżenia przed programami dla widzów od 15. roku życia.

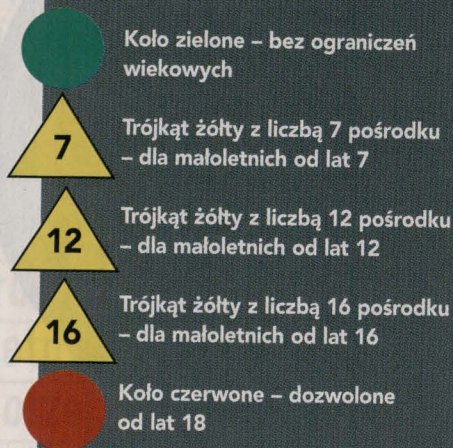
STANY ZJEDNOCZONE

System amerykański jest najbardziej złożony. Amerykanie, co ciekawe, nie odeszli od roli rodziców w tym, co ogląda ich dziecko. I tak system kwadratów z ostrzeżeniami obejmuje kategorie:

- wszystkie dzieci,
 - od 7 lat,
 - od lat 7 z nadmierną przemocą (na przykład jak w kreskówkach),
 - dla szerokiej publiczności,
 - zalecana obecność rodziców,
 - wymagana obecność rodziców,
 - tylko dorosła publiczność (czyli w USA powyżej 17. roku życia).
- Ponadto programy mogą być dodatkowo oznaczone ze względu na ich zawartość, jak: przemoc, seks, rzymszczyk język, podszyte seksem (sugerujące) dialogi i nadmierna przemoc. Symbole (kwadrat z oznaczeniem) są wyświetlane na początku programu.

(RAF)

WZORY NOWYCH SYMBOLI



powoduje, że to prawo ma charakter uznaniowy – dorzucą Bogusław Chrabota z Polsatu.

Z podobnymi opiniami nie zgadza się Mirosława Kątna, posłanka i szefowa Komitetu Ochrony Praw Dziecka: – Nie może być tak, że przemoc leje się z ekranu w sposób niekontrolowany. W końcu na lekach też się pisze wskazania: że nie mogą ich na przykład zażywać kobiety w ciąży czy karmiące piersią. Konieczna jest odpowiedzialność tego, kto dany lek czy telewizyjny program produkuje.

Niezależnie od tego, kto w sporze o odpowiedzialność ma rację (a pewnie i jedni, i drudzy), biura programowe stacji muszą się dziś zająć interpretowaniem załączników do rozporządzenia, które opisują poszczególne kategorie wiekowe oraz to, co w nich dozwolone, używając tak tajemniczych pojęć, jak: „łagodny klimat emocjonalny”, „neutralny obraz świata”, „pozytywne wzory miłości”, „wadliwe wzorce zachowań seksualnych”, „wadliwy obraz ludzkiej natury”, „podniecające obrazy”, które „sztucznie mogą rozbudzić potrzeby seksualne” dzieci poniżej 12. roku życia, czy sceny seksu w sąsiedztwie „uczuć wyższych”.

Kryteria są nie tylko niejasne, ale co gorsza, niebezpiecznie wkraczające w sferę wartości (która nie powinna być domeną rozporządzeń), więc nadawcy z pewnością będą mieli problem z klasyfikowaniem swoich audycji i dojdzie do sytuacji, że ten sam film w jednej stacji przeznaczony będzie dla dzieci od 12. roku życia, a w innej od 16. Krajowa Rada może dla odmiany uznać, że przeznaczony jest dla dorosłych, i upomnieć nadawców.

W innych krajach stacje nie kategoryzują własnego repertuaru – w Europie zajmują się tym zewnętrzne agencje, często z udziałem przedstawicieli nadawców. Jedynie brytyjska publiczna BBC, stacja dbająca o wysokie standardy programowe, jest sama sobie sterem, że-

glarzem i okrętem. W Stanach Zjednoczonych stacje dobrowolnie znakują swoje programy, jednak nad adekwatnością klasyfikacji czuwa już zewnętrzna organizacja TV Parental Guidelines Monitoring Board. I w USA, i choćby we Francji film trafiający na mały ekran z kina zachowuje kinową kategorię wiekową.

JAKA JEST, KAŻDY WIDZI

Rada ma wiele instrumentów do karania nieposłusznym nadawców, najczęściej jednak po prostu staje na upomnieniach i pouczeniach. Bary finansowe to ostateczność, mocno jednak dotkliwa, bo uzależniona od zysków z reklam poprzedzających program niesłusznie wyemitowany w czasie chronionym. Stacje mogą więc płacić nawet po kilkaset tysięcy złotych. Na pewno więc notoryczne lekceważenie i omijanie nowego rozporządzenia im się nie opłaci. Mogą jednak przez najbliższe miesiące tłumaczyć się „nierozumieniem” treści rozporządzenia, co akurat nie będzie trudne, i robić to co zawsze, czyli walczyć z Radą na eksperymencie i próbować obchodzić przepisy.

Już zastanawiają się, co zrobić z autoreklamami, które teraz mogą znaleźć się wyłącznie w czasie przeznaczonym na emisję promowanego filmu czy programu. Pojawił się pierwszy pomysł. – Skoro nie można w porze dla 12-latków pokazać Schwarzeneggera z bronią w ręku, to pokażemy go nad talerzem zupy – mówi przedstawiciel jednej ze stacji.

Telewizja, jaka jest, każdy widzi, i z powodu urzędniczych rozporządzeń nie stanie się piękniejsza ani mądrzejsza choćby dlatego, że naturalną jej pożywką jest wszystko to, co Krajowa Rada chciałaby usunąć głęboko w mroki nocy. Filmów ze Schwarzeneggerem nie zastąpią więc urocze filmy o delfinach, bo telewizja zarabia na sensacji, a nie edukacji. I generuje zyski w prime time, a nie o trzeciej nad ranem.

I nie ma co się łudzić, że nowe oznakowanie okaże się lekiem na całe telewizyjne zło, które jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki (w roli dobrej wróżki – Danuta Waniek!) zniknie z ekranu. Nie ma co się łudzić, że znaczki zastąpią rozsądnych rodziców, a ci nierozsądni dzięki nim doznają iluminacji. Nie ma co się łudzić, że ostra rywalizacja na rynku nagle zagości i nadawcy przestaną sięgać po sprawdzone metody przyciągania widowni (seks i przemoc). Wreszcie nie ma co się łudzić, że gra w kotka i myszkę nadawców z Krajową Radą wreszcie się skończy. Po prostu stanie się bardziej wyrafinowana.

Czy jest jakieś wyjście z tej beznadziejnej i patowej sytuacji? Owszem – oznakowanie wszystkich telewizorów czerwonym kołem z hasłem: „Tylko dla dorosłych”.

MAŁGORZATA SADOWSKA
WSPÓŁPRACA RAFAŁ MADAJCZAK

*OKREŚLENIE ZACZERPNIĘTE Z SATYRYCZNEJ RUBRYKI „Z ŻYCIA KOALICJI. Z ŻYCIA OPOZYCJI” TYGODNIKA „WPROST”

Podyskutuj o tym na **onet.pl**

Nie wszystko
jest takie,
jak się wydaje...

Oferty różnych banków obiecują Ci rewelacyjne efekty? Ile w nich prawdy, a ile mylących pozorów? Chcesz dokonać najlepszego wyboru? Zajrzyj na www.vwbankdirect.pl

VOLKSWAGEN BANK direct

Bankowość Bezpośrednia Volkswagen Bank Polska S.A.

Przejrzysta oferta, widoczny zysk

www.vwbankdirect.pl ☎ 0801 16 16 16

Całkowity koszt połączenia: 1 jednostka wg taryfy TP S.A.



Fot. JOLANTA KOPER (2)

08.08.2005

10.08.2005

Senator Henryk Stokłosa próbuje ukryć dowód przestępstwa wielkości boiska piłkarskiego – zakopaną w ziemi padlinę, która miała być utylizowana, a zatruwa glebę

SENATOR I PADLINA

ŚRODA, 10 SIERPNIA – ŚMIERDZI

W Śmiłowie, 12 kilometrów od Pili, śmierdzi bardziej niż zwykle. Normalnie wylazłyby z zakładu utylizacji Henryka Stokłosa wywołują tylko mdłości, tego dnia szczypią w oczy. W nocy ktoś zaorał i zalał gnojnicą pole kielkującego zboża na terenie zakładu, które przykrywa cmentarzysko padłych zwierząt. Prawdopodobnie zaorał dowód gigantycznego przestępstwa ekologicznego. Pięć dni wcześniej Komenda Powiatowa Policji w Pile wydała oświadczenie. Jest w nim mowa o szczątkach zwierzęcych znalezionych przez służby sanitarne w zakładach Stokłosa Farmutilu HS. Kończy się informacją: „Teren, na którym dokonano oględzin, jest w chwili obecnej zabezpieczany przez policję”. Teren zabezpieczony nie był.

PIĄTEK, 22 LIPCA – DOSTAWA PADLINY

Ta historia zaczyna się wieczorem. Ciężarówka Farmutilu prosto z trasy zwożą tony padliny na miejsce, gdzie wkrótce wejdzie zboże.

Pracownik firmy Stokłosa anonimowo: – Ciężarówki powinny jechać do zakładu utylizacji, jednak kierowano je na pole. Był taki moment, że senator robił to osobiście. Zdaje się, że w części zakładu była jakaś awaria.

W następnych dniach do Stowarzyszenia Ekologicznego Przyjaciół Ziemi Nadnoteckiej wpłynęły od pracowników Farmutilu sześć niezależnych doniesień o cmentarzysku padłych zwierząt.

– Otrzymaliśmy liczne potwierdzenia tych informacji. Kiedy byliśmy już pewni, postanowiliśmy działać – mówi Irena Sienkiewicz, prezes Stowarzyszenia.

SOBOTA, 30 LIPCA – MIĘSO NA DRODZE

Na ulicy Śmiłowskiej w Kaczorach z padlinowożu Farmutilu wypada padlina. Mieszkańcy Kaczor (chcą zachować anonimowość) robią zdjęcia.

NIEDZIELA, 31 LIPCA – BIJĄ NAUCZYCIELKĘ

Maria Malita, nauczycielka z Kaczor i członkini Stowarzyszenia Ekologicznego Przyjaciół Ziemi Nadnoteckiej, odbiera zdjęcia padliny od autorów. Kiedy wraca późnym wieczorem do domu, zostaje pobita przez dwóch mężczyzn. Zgłasza to na policję, robi obdukcję. – To było około północy, bo o tej godzinie w Kaczorach wyłączane jest uliczne oświetlenie. Obaj bili mnie po twarzy – opowiada.

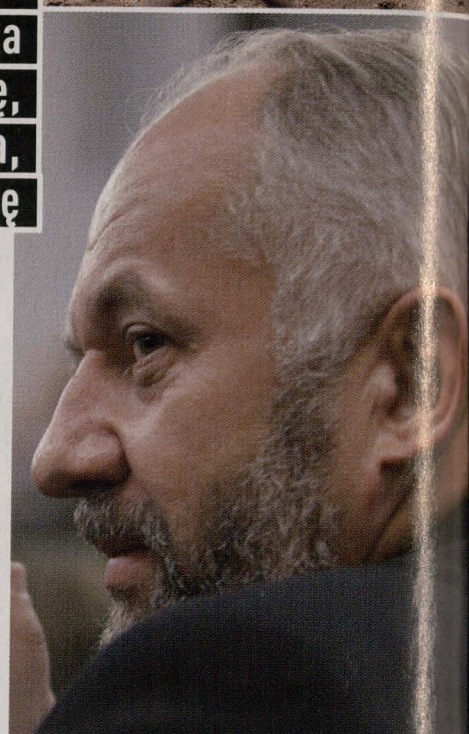
WTOREK, 2 SIERPNIA – JAK TAM WEJŚĆ?

Grupa ekologów zjawia się rano w Komendzie Powiatowej Policji w Pile. Irena Sienkiewicz składa doniesienie o popełnieniu przestępstwa ekologicznego. Komendant Mirosław Węgner nie chce spotkać się z ekologami. Dziennikarzom mówi: – Jeśli faktycznie miał miejsce taki przypadek, zostanie powołana specjalna grupa dochodzeniowa. Jeszcze dziś policjanci pojadą na miejsce wraz z wojewódzkim inspektorem ochrony środowiska, sanepidem i lekarzem weterynarii i dokonają oględzin. Być może weźmie w nich udział prokurator.

Policjanci jadą do Śmiłowa. Dowodzi zastępca komendanta powiatowego Wiesław Dobrzyński. Wyprawa kończy się przy bramie Farmutilu – senator dalej funkcjonariuszy nie wpuszcza.

Wpuszcza za to inspektorów sanepidu, wojewódzkiego inspektoratu ochrony środowiska (WIOŚ) oraz powiatowego lekarza weterynarii.

Policjanci nie upadają na duchu – występują do Prokuratury Rejonowej w Chodzieży o wyda-



nie nakazu przeszukania terenu Stokłosa. Nie dostaną go. Zastępca prokuratora rejonowego w Chodzieży Maria Rogacka: – Doniesienie o popełnieniu przestępstwa to zbyt mało na wydanie postanowienia o przeszukaniu.

ŚRODA, 3 SIERPNIA – TAM NIC NIE MA

Zastępca komendanta powiatowego policji Wiesław Dobrzyński mówi dziennikarzom: – Przedstawiciele służb sanitarnych na wskazanym terenie nie zauważyli świeżych śladów naruszenia ziemi. Rosła na nim trawa, drzewa, a zdarzenie, o którym mowa, miało mieć miejsce przecież niedawno. Dochodzenie wprawdzie trwa, ale w przypadku braku dowodów zostanie umorzone.

CZWARTEK, 4 SIERPNIA – ZIEMIA SIĘ RUSZA

Wiadomo, dlaczego inspekcja niczego nie wykryła. Dyrektor pilskiej delegatury wojewódzkiego inspektoratu ochrony środowiska Marek Duraj: – Tego dnia moi ludzie oglądali teren zza szyby samochodu, niewiele było widać. To nie była oficjalna kontrola i nie sporządziliśmy z niej protokołu.

Dopiero teraz rusza oficjalna kontrola z udziałem policji – nie w miejscu, gdzie rosną trawa i drzewa, ale tam, gdzie wcześniej posiano zboże. – Wykonane zostały próbne odwierty, które

potwierdziły zakopanie w tym miejscu szczątków zwierzęcych. Zalegają na głębokości od kilku do kilkudziesięciu centymetrów do około dwóch metrów – mówi nam Marek Duraj.

– Co tam leży? – pytamy.

– Tam jest wszystko. I kości, i szczecina, i mięska tkanka. Rozdrobniona masa.

Policjant z ekipy kontrolnej anonimowo: – Ta ziemia się rusza. Strach po tym chodzić. Przez odwierty wykonane dla pobrania próbek wydobywają się gazy.

PIĄTEK, 5 SIERPNIA – JEDNAK COŚ JEST

W Komendzie Powiatowej Policji w Pile narażają się policjanci i przedstawiciele służb sanitarnych. Marek Duraj, szef pilskiej WIOŚ, oświadcza: – To nie jest taczka ani dwie, ani nawet dwie wywrotki. Nie ma wątpliwości, że szczątki pochodzą z Farmutilu. Znajdują się na ogrodzonym terenie zakładu.

Prokurator Rogacka: – Według moich informacji to stare kości.

NIEDZIELA, 7 SIERPNIA – WIEŁBASA ZA ZŁOTÓWKĘ

Henryk Stokłosa, kandydat na senatora, funduje główną nagrodę – sześć tysięcy złotych – w konkursie hippicznym w nieodległym od Śmiłowa Dziembówku. Farmutil wystawia punkt gastronomiczny, w którym za złotówkę można kupić porcję kielbasy z musztardą i pieczywem.

– W każdej chwili szczątki padłych chorych zwierząt mogły zostać rozniesione po okolicy przez dziką zwierzynę. Tuż obok cmentarzyska płynie ciek wodny Radacznica, który wpływa do Jeziora Kopcze. Nie widać żadnych skutecznych działań odpowiednich służb – denerwuje się ekolog Marek Kąckowski z Polskiej Inicjatywy Agrosrodowskowej.

PONIEDZIAŁEK, 8 SIERPNIA – CHORĄGIEWKI W GÓRĘ

41 osób – ekologów i dziennikarzy – z różnymi dłońmi rusza drogą obok Farmutilu, żeby zobaczyć, co się dzieje z cmentarzyskiem. Drogę blo-

kuje 70 pracowników Stokłosa. Podobna grupa odcina ekologom i dziennikarzom odwrót. Krzyczą: – Przyszliśmy bronić szefa!

2,5 godziny później przyjeżdża sześciu policjantów – Stokłosa złożył doniesienie o wtargnięciu na prywatny teren. Przybywają kolejni policjanci – coraz wyżsi rangą – w końcu zjawia się sam komendant Dobrzyński. Mówi tak: – Nie wiadomo, co z tym zrobić. Może się okazać, że to prawdziwa bomba ekologiczna. Jej powierzchnia wynosi około sześciu tysięcy metrów.

Do ekologów dociera wieść, że inspektorzy WIOŚ nie zostali tego dnia wpuszczeni na teren Farmutilu. Wieczorem ekologdy pójść protestować przed Urząd Gminy w Kaczorach.

Protest pokazuje na żywo program TVP3. Ekologów wygwizdują zwieźieni autokarami pracownicy Stokłosa, nawet z odległych o sto kilometrów Koziegłówek. Są agresywni. Krzyczą, zaczepiają, prowokują zgromadzonych mieszkańców gminy. Machają chorągiewkami z logo Farmutilu.

– Z ewidencji gruntów w starostwie wynika, że działka, na której położona jest droga, gdzie zatrzymano dziennikarzy i ekologów, jest własnością gminy – mówi starosta pilski Leszek Partyka po znańskiemu „Teleskopowi”.

ZNOWU ŚRODA, 10 SIERPNIA – NIC SIĘ NIE STAŁO

Rzecznik prasowy Farmutilu Marek Barabasz: – Inspektorzy zadeptali uprawy, więc stały się bezużyteczne. Dlatego zaorałimy ten teren.

Marek Duraj nie chce już z nami rozmawiać. Senator Stokłosa złożył na niego skargę do głównego inspektora ochrony środowiska. Nieoficjalnie dowiadujemy się, że senator zarzucił Durajowi stronniczość oraz instruowanie współpracowników, jak należy pisać raporty. Doniósł też na niego do Prokuratury Rejonowej w Pile – na senatorskim papierze firmowym. Stokłosa pisze, że wykonując mandat senatora, z wiarygodnych źródeł dowiedział się o przekroczeniu przez Duraję uprawnień i działanie na szkodę interesu publicznego. Duraj miał przyznać jednej z pracownic nagrodę, której kwota została zawyżona.

Od lewej: Po zakopaniu padliny pole należące do firmy Henryka Stokłosa zaorano i obsiano. Gdy procederem zainteresowali się ekologdy, kielkujące zboże znów zostało zaorane.

Małe zdjęcia: Dowody zebrane przez inspektorów ochrony środowiska – spękana ziemia nad cmentarzyskiem, larwy much, rozkładające się szczątki zwierząt i kości.

Niżej: Senator Henryk Stokłosa na posiedzeniu Senatu 28 lipca 2005 roku

Inspektorzy WIOŚ znowu nie zostają wpuszczeni na teren Farmutilu. Nie pomaga asysta czterech policjantów z Komendy Powiatowej Policji w Pile. Kontrolerzy wycofują się i składają w komendzie doniesienie o popełnieniu przestępstwa – utrudnianiu wykonywania obowiązków służbowych. Senator składa w tym samym miejscu doniesienie na ekologów i dziennikarzy, że weszli na jego teren.

Anna Stokłosa, żona senatora, do grupy dziennikarzy: – Przede wszystkim to nie żadna padlina, nie żadne resztki, są to jakieś odpady, które kiedyś tam się składowało, bo nie było tego zakładu. Zakład już istnieje przeszło 20 lat, kiedyś można było to składować i się składowało. To są po prostu jakieś tam kości. Pewne rzeczy są po prostu kiedyś kopane – tak jak człowiek jest kopany w ziemi, tak i to było kopane.

CZWARTEK, 11 SIERPNIA – ZATRUTA WODA

Inspektorzy WIOŚ nie zostają wpuszczeni na teren Farmutilu. Pracownicy Stokłosa ogłaszają protest i wysuwają cztery postulaty: natychmiastowego zwolnienia z pracy szefa pilskiego WIOŚ Marka Duraję, przeprowadzenia kontroli bez udziału mediów i osób postronnych, publicznego odwołania wszystkich ocen i opinii przekazanych dotąd przez kontrolujących prasie, radiu i telewizji, przeprowadzenia kontroli działania Stowarzyszenia Ekologicznego Przyjaciół Ziemi Nadnoteckiej.

Sanepid w Pile znajduje bakterie chorobotwórcze w wodzie pitnej na terenie gminy Kaczory (leży tam Śmiłowo).

Pytamy rzecznika prasowego KPP w Pile Sebastiana Chabowskiego, dlaczego policja nie zabezpieczyła miejsca, gdzie zakopano padlinę. Mówi: – Kontrolę prowadzą inspektorzy WIOŚ. Ta sprawa nie leży w gestii policji.

PIĄTEK, 12 SIERPNIA – NIE TYLKO KOŚCI

Ewa Masternak-Juś, prokurator rejonowy w Chodzieży: – Znajdują się tam zarówno stare kości, jak i sierść oraz tkanki miękkie, o których informował WIOŚ.

Pracownicy Farmutilu protestują – oflagowali zakład. Na drogach nie widać ani jednego padlinowożu. Samochody przeznaczone do transportu zwierzęcych odpadów nie wyjeżdżają z terenu zakładu ani tam nie wjeżdżają.

– Mamy zapewnienie wojewody, że w dalszych czynnościach nie będą uczestniczyć inspektorzy z pilskiej delegatury WIOŚ. W związku z tym, że kontrolę będą prowadzić inspektorzy z Poznania i Leszna, nie będziemy wstrzymywać produkcji – mówi rzecznik firmy senatora Stokłosa.

Członkowie Stowarzyszenia Ekologicznego Przyjaciół Ziemi Nadnoteckiej nie mogą zbliżyć się do cmentarzyska – drogę, którą starostwo uznaje za publiczną, blokują auta i traktory Farmutilu.

– Jesteśmy przekonani, że oni będą chcieli wykopać padlinę. Teraz jest weekend. Przez dwa dni mogą to zrobić – mówi Marek Kąckowski.

MARCIN FABJAŃSKI
PIOTR GADZINOWSKI

Podyskutuj o tym artykule w wp.pl w serwisie www.media.wp.pl



CZY. STOI, CZY LEŻY, POSŁOWI. SIĘ NALEŻY

Posłowie,
którzy zasiadali
w PRL-owskim
Sejmie, też
mają prawo
do corocznych
zapomóg.
Na zdjęciu:
Sejmowe
posiedzenie
w 1957 roku

FOT. ZBYSZKO SIEMASZKO/FOTUM

**Gorycz rozstania z Sejmem osładzają
posłom zapomogi, po które sięgają
nawet po śmierci**

Zdobycie mandatu parlamentarzysty jest niczym dotknięcie raju. No bo tak: prawie 10 tysięcy złotych uposażenia, niemal 2,5 tysiąca diety, do tego 10 tysięcy na biuro i bezpłatny przejazd na posiedzenia. To minimum. Każda dodatkowa funkcja oznacza kolejne profity. Zatem gdy po czterech latach wyborcy pokażą czerwoną kartkę, dolce vita się kończy i rzeczywistość może zaskrzeczeć.

Jednak w przeciwieństwie do zwykłych zjadaczy chleba były poseł lub senator nie musi się bać, że nie będzie miał co do garnka włożyć. W razie czego może liczyć na to, że parlament sygnie groszem i poratuje nieszczęśnika bezwrotną zapomogą.

LEKKA RĘKA DAJE

Sezam otwiera się dziecinnie łatwo. Wystarczy mieć za sobą poselski epizod (nawet w czasach głębokiego PRL) i niską emeryturę. Gdy bieda zajrzy w oczy, trzeba usiąść i napisać podanie. A jeśli nawet eksparlamentarzysta nie może tego zrobić, bo umarł, wystarczy, że wniosek wypełnią członkowie najbliższej rodziny.

By raz w roku dostać od 2,2 do 3 tysięcy złotych, nie warto nawet szukać zbyt wyrafinowanych argumentów. Standardowe uzasadnienie brzmi mniej więcej tak: mam niską emeryturę,

a leki są drogie. Elżbieta Radziszewska z PO, jedna z siedmiorga członków sejmowego zespołu, który przyznaje zapomogi, uważa, że obecni posłowie są bardzo pobłażliwi dla byłych kolegów. – Rzadko odrzucają prośby o zapomogi – narzeka posłanka, która w tej komisji pełni, jak mówi, rolę cerbera. – Pieniądze rozdaje się lekką ręką.

Najłżejszą mają ponoć ci z lewicy i partii chłopskich, których starsi koledzy zasiadali w parlamencie przez lata PRL. Nie dziwi więc, że o zapomogę ubiegają się nawet tacy, co mają dwa tysiące złotych emerytury i obolałe stawy. Liczba osób korzystających z tego dobrodziejstwa rośnie z każdym rokiem. Gdy w poprzedniej kadencji zapomogi dostawało rocznie około 100 byłych posłów, to w obecnej grubo ponad połowę więcej. – Zasada jest taka: kto złożył wniosek w jednym roku, na pewno złoży i w następnym. Ponieważ dochodzą nowi, liczba próśb przyrasta niczym rafa koralowa – mówi Tomasz Nałęcz, wicemarszałek Sejmu i szef zespołu do spraw pomocy społecznej, który przyznaje zasiłki. Jak mówi, najwięcej podań dociera do Sejmu po artykułach prasowych krytykujących zapomogi.

Najwięcej biorą posłowie, którzy w sejmowych ławach zasiadali jeszcze w PRL, najstarsi za rządów Władysława Gomułki. Nie dziwi to senator Doroty Simonides, posłanki Stronnictwa Demokratycznego w latach 1980–1985. – W Sej-

mie spotykaliśmy się jedynie raz w miesiącu na dwudniowych sesjach, dostawaliśmy tylko skromne diety. W pozostałe dni posłowie normalnie pracowali, więc ich emerytury są takie jak reszty społeczeństwa – mówi pani senator, ale zastrzega od razu, że zapomogi by im nie dała, „bo to niesprawiedliwe”.

JAK ŁADNIE IM ROŚNIE

Najgorzej mają dziś ponoć ci, którzy służyli partii za kwiatek do kożucha. – Skład Sejmu ustalano wtedy tak, by był reprezentatywny dla struktury społecznej. Musiała w nim więc być odpowiednia liczba rolników, tkaczek czy nauczycieli, których dobierano na zasadzie: „A tego wy tam macie w zakładzie? Dajcie, to zrobimy go posłem” – przypomina doktor Ryszard Piotrowski, konstytucjonalista z Uniwersytetu Warszawskiego.

O ile jednak posłowie funkcjonariusze partyjni zarabiali znakomicie, o tyle posłowie rolnicy, tkaczki czy nauczyciele – marnie. I właśnie oni najbardziej chcą się teraz choć trochę odkuć. A przyznawane kwoty, rosnąc w pionującym tempie, bardzo do tego zachęcają. O ile w 2001 roku maksymalna stawka dla byłego posła wynosiła 1,2 tysiąca złotych, o tyle teraz skoczyła do 3 tysięcy. W rezultacie wydatki Sejmu na zapomogi przekroczyły już 300 tysięcy złotych rocznie. Niektórzy posłowie tak się potrafią zagalopować, że proszą o pieniądze częściej niż raz w roku.

Podobnie rzecz się ma w przypadku byłych senatorów, jednak zarówno liczba uszczęśliwianych, jak i przyznawane im sumy są tu zdecydowanie niższe. Zdaniem senator Simonides co roku zapomogi dostaje około 10 senatorów. Fóżnica jest tak duża, bo byłych senatorów jest po prostu mniej – izba wyższa jest mniej liczna, no i istnieje dopiero od 16 lat.

I PRAWNIK ZDZIWIONY, I POSEŁ

Przyznawanie byłym parlamentarzystom zasiłków najbardziej dziwi prawników. – Nigdy nie słyszałam, by jakkolwiek firma prywatna lub państwowa zobowiązała się wypłacać dawnym pracownikom takie świadczenia, i to po upływie tylu lat – przyznaje prawniczka z jednej z krakowskich kancelarii, specjalistka prawa pracy.

Doktor Piotrowski stawia sprawę jasno: – Z punktu widzenia zgodności z konstytucyjną zasadą równości to wątpliwe rozwiązanie. Bo jeśli emerytowany nauczyciel w ciężkiej sytuacji finansowej napisalby do Sejmu, to na pewno żadnej zapomogi by nie dostał.

Nawet sami posłowie mają wątpliwości. Posłanka Radziszewska, słysząc o koleżankach i kolegach wyciągających ręce po pieniądze, dostaje białą gorączkę. – Wstyd i kompromitacja. Nie powinni dostać ani złotych – mówi. Tomasz Nałęcz uważa, że zapomogi trzeba zlikwidować. – Niech posłowie radzą sobie jak zwykli ludzie – proponuje. Tylko Franciszek Stefaniuk z PSL jest innego zdania: – To są pieniądze posłów i posłowie mają prawo z nich korzystać.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

W lot wiemy, czego Ci potrzeba.



On musi nagle lecieć w interesach i wrócić jeszcze tego samego dnia. Dlatego korzysta z naszych codziennych, dogodnych połączeń krajowych i zagranicznych, a także dostępu do światowych połączeń przewoźników zrzeszonych w Star Alliance. W programie Miles & More zbiera mile lotnicze, które wymienia na bilety i inne atrakcyjne nagrody. Gdy leci w klasie biznes, na pokładzie czekają na niego urozmaicone posiłki oraz bogata oferta napojów. Ty też możesz z tego korzystać. By LOT był dla Ciebie pełnym odprężeniem.

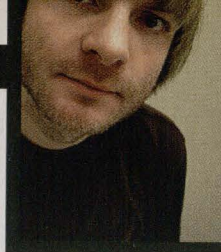
On szuka promocyjnych cen biletów.

I mądrze kupuje je z wyprzedzeniem na www.lot.com. Bilety te są w najlepszych cenach, ale ich ilość jest ograniczona – dlatego już dziś wejdź na naszą stronę, kup bilet i leć z nami na urlop!



pod dobrymi skrzydłami

POLSKIE LINIE LOTNICZE
LOT
A STAR ALLIANCE MEMBER



SONDAŻEM WOJUJA, OD SONDAŻY GINĄ

CZY BADANIA OPINII WPŁYWAJĄ
NA PREFERENCJE WYBORCZE?
WPŁYWAJĄ, ALE NIE WIADOMO JAK

Gdy Włodzimierz Cimoszewicz zadeklarował 18 maja, że wycofuje się z życia politycznego, nie wszyscy mu uwierzyli. Ale najważniejsze, że nie uwierzyły mu ośrodki badań opinii publicznej. Tak uparcie pytały wyborców, czy chcą głosować na marszałka Sejmu w wyborach prezydenckich, aż sam Cimoszewicz zaczął się łamać. Miarka się przebrała 27 czerwca. Wynik opublikowanego wtedy sondażu Pentora dla Polskiego Radia wynosił Cimoszewicza na zdecydowane prowadzenie. Mógł liczyć na 22 procent głosów przy 19 Kaczyńskiego i 16 Religi.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Cimoszewicz postanowił złapać srokę za ogon. Dzień po publikacji sondażu ogłosił, że jednak musi.

Czy ta cała szopka to tylko kokieteria? Propagandowy zabieg kandydata starej lewicy? Jeśli tak, to bardzo skuteczny. Szybko okazało się, że Cimoszewicz kandydat cieszy się jeszcze większym poparciem niż Cimoszewicz widmo. W badaniach CBOS z kwietnia i maja mógł liczyć na 14–15 procent głosów, na początku lipca już na 31 procent. W drugiej turze bił na głowę wszystkich potencjalnych kontrkandydatów. Radość trwała do słynnego – niedosłownego – przesłuchania Cimoszewicza przed orlenowską komisją śledczą. Arogancja marszałka nieco mu zaszkodziła. Według badań PBS dla „Gazety” z połowy lipca Cimoszewicz ciągle prowadził w pierwszej turze, ale w drugiej przegrywał minimalnie z Lechem Kaczyńskim.

I nagle – dotąd szeroko komentowane – sondaże zniknęły. Na całe trzy tygodnie. Część wyborczej publiczności zadawała sobie pytanie, co się stało? Zwolennicy teorii spiskowych zachodzili w głowę, czy komuś przypadkiem nie zależy na ukryciu jakiejś niewygodnej „prawdy”.

WINIEN KALENDARZ

Wyniki kolejnych sondaży – gdy wreszcie się pojawiły w drugim tygodniu sierpnia – potwierdziły podejrzenia, że z poparciem dla Cimoszewi-

cza jest coś nie tak. Według badań opublikowanych w „Gazecie Wyborczej” i „Rzeczpospolitej” Cimoszewicz stracił przewagę i ledwie ocierał się o start w drugiej turze.

Czy miała na to wpływ kilkutygodniowa sondażowa cisza? Nie wiadomo, ale wiadomo, skąd się wzięła. Zawinił kalendarz.

– Nie ma w tym żadnej sensacji. Czołowe ośrodki robią badania raz w miesiącu, zwykle na początku – tłumaczy profesor Jacek Raciborski, socjolog z Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego. – Politycy mówią wtedy o „wielkim tygodniu”. A przed wyborami badania robi się z reguły dwa razy w miesiącu. – W czasie kampanii robimy dwa sondaże, w pierwszy i trzeci weekend miesiąca – potwierdza Michał Kotmarowski z sopockiego ośrodka PBS. Dwa tygodnie wystarczy, by wyborcy zapoznali się z wynikami ankiet wielu pracowni badawczych, a specjaliści i politycy wygłosili komentarze. Zaraz potem pojawiają się następne wyniki i tak powstaje wrażenie, że w mediach roi się od sondaży. A skąd cisza na przełomie lipca i sierpnia? Jak wyjaśnia Kotmarowski – stąd, że lipiec miał pięć weekendów.

Zatem wszystko jest w porządku. Nasza ciekawość padła ofiarą kalendarza. Tylko kto z przeciętnych czytelników gazet i widzów telewizyjnych wiadomości o tym wie? Ile osób, niekoniecznie tropicieli spisków, zareagowało zastanowieniem? Tym bardziej że emocje rozpalają sami politycy, co rusz oskarżając się wzajemnie o „grę przedwyborczą”. A kto ma prawo decydować o tym, co jest grą wyborczą, co słusznym oskarżeniem, a co przypadkiem? Jeśli mogą kandydaci na prezydenta, mogą i widzowie przedwyborczego spektaklu.

JAK TO DZIAŁA

Czy ta (podejrzana?) przerwa mogła wpłynąć na preferencje wyborcze? – Sondaże oddziałują na kampanię wyborczą – mówi wprost Jacek Raciborski. – Nie bardzo wiadomo jak, ale pewne elementy są dość oczywiste. Jeżeli na przykład

przez dłuższy czas ogłaszamy, że jakaś partia nie przekroczy progu wyborczego, może to być samospełniająca się prognoza. Wyborcy zniechęcają się do popierania takiego ugrupowania. Głosują niezgodnie ze swoimi pierwszymi preferencjami, bo nie chcą, by ich głos był bezużyteczny. Przerzucają więc poparcie na inną podobną partię – wyjaśnia.

Tym można chyba wytłumaczyć rosnące poparcie dla SLD przy mizernym wyniku SdP, która z reguły nie wychodzi poza próg wyborczy. Zwolennicy lewicy wołają zatem głosować na najlepiej notowany SLD. To samo dotyczy pojedynku Borowski–Cimoszewicz. Decyzje wyborców mogą dodatkowo wzmocnić tak zwany efekt większości. – Ludzie mają skłonność do głosowania zgodnie z tym, jak postępuje większość, bo pragną być w zwycięskim obozie. Niestety, trudno ponad wszelką wątpliwość udowodnić, że taki efekt występuje – przyznaje Jacek Raciborski.

Sprawa jest tym bardziej skomplikowana, że sondaże mogą wpływać na wyborców dwukrotnie. SLD kilka miesięcy temu sięgnął dna, notując czteroprocentowe poparcie, a dziś ma niemal pewność, że wejdzie do Sejmu. – Tu mógł mieć miejsce efekt przeciwny do efektu większości, czyli tendencja do współczucia i wspierania słabego. Chociaż brak empirycznych argumentów, że coś takiego występuje – przypuszcza Jacek Raciborski.

CO NAM Z TEGO?

Nawet dla socjologów tłum wyborców tworzy magmę. Ludzie zachowują się nieprzewidywalnie. Ilu kieruje się programami wyborczymi, kompetencjami kandydatów, a ilu drobiazgowo – tembrem głosu, wzrostem, fryzurą. Dopiero po wyborach socjologowie wyjaśniają dziennikarzom przyczyny czyjegós zwycięstwa. Wcześniej mogą tylko zgadywać – bo skąd mogą wiedzieć, czy przeważa efekt większości, czy efekt współczucia?

Partie podchodzą więc do sondaży ostrożnie i wybiórczo. Szczególnie do tych, w których osiągną gorsze wyniki. Liga Polskich Rodzin demonstracyjnie je lekceważy, Prawo i Sprawiedliwość skupia się na badaniach Polskiej Grupy Badawczej, bo właśnie w jej sondażach i Kaczyński, i cała partia wypadają najlepiej. PiS najwyraźniej mocno wierzy w efekt większości.

Czy cisza sondażowa bardziej zaszkodziła, czy pomogła Cimoszewiczowi? Jego spór z komisją orlenowską i zarzuty dotyczące zeznań podatkowych przez trzy tygodnie nie miały przeciwwagi w postaci korzystnych wyników sondaży. Czy wyborcy po prostu zapomnieli o Cimoszewiczu zwycięzcy, a zobaczyli Cimoszewicza krętacza? A może nie miało to żadnego znaczenia? Tego nie wie nikt, nawet socjologowie. A zwolennicy teorii spiskowych i tak wiedzą swoje. ■

DOM&WNĘTRZE Z KSIĄŻKĄ

już w sprzedaży

KSIAŻKĘ POLECA IKEA I DOM&WNĘTRZE

Stonesi przeciw Bushowi

Za sprawą tekstu utworu „Sweet Neo Con”, który znajdzie się na nowym albumie The Rolling Stones, weterani rocka zostali posądzeni o krytykowanie władz Stanów Zjednoczonych z George’em W. Bushem na czele. Punktem zapalnym okazał się tytuł utworu nawiązujący do określenia „neokonserwatysta”, jakiego używa się w stosunku do najbliższych współpracowników Busha (w tym sekretarza stanu Condoleezy Rice oraz wiceprezidenta Dicka Cheney’a). Według członków grupy fragment tekstu: „Nazywasz się chrześcijaninem – ja nazywam cię hipokrytą” nie jest jednak bezpośrednio skierowany do prezydenta USA. – Krytykujemy politykę administracji Busha – stwierdził Mick Jagger w wywiadzie telewizyjnym. Premiera albumu 6 września. (PREM)

Palestyńskie graffiti

Jedno z siedmiu graffiti, jakie Banksy namalował na izraelskim murze



Fot. BANKSY.CO.UK

Banksy – najsłynniejszy artysta graffitiar w Wielkiej Brytanii, który od lat trzyma swoją tożsamość w tajemnicy (po ujawnieniu się zostałby zamknięty za kratkami) – postanowił pozostawić po sobie ślad na Bliskim Wschodzie. I nie na byle jakiej ścianie, bo na „murze bezpieczeństwa” oddzielającym Zachodni Brzeg od Izraela. Jego siedem obrazków powstało po stronie palestyńskiej. Choć nie są otwarciem upolitycznione (przedstawiają na przykład dziurę w murze), akcja nie pozostawia wątpliwości co do negatywnej opinii Banksy’ego. Mimo to nie wszystkim się podobają. „Nie chcemy, żeby mur był piękny – zareagował pewien palestyński internauta. (KP)



Iran zaprosił dziennikarzy na pokazowe otwarcie fabryki w Esfahanie

STRASZENIE SANKCJAMI

IRAN ZNÓW WZBOGACA URAN. NIE BOI SIĘ SAKCJI ANI IZRAELSKICH NALOTÓW, BO MA ROPĘ NAFTOWĄ, KTÓREJ POTRZEBUJE ZACHÓD

Zakład jest całkowicie gotów do pracy – zameldował jeden z szefów irańskiej atomistyki. Irańscy specjaliści w białych kombinezonach przez dwa dni w końcu ubiegłego tygodnia zerwali wszystkie pomy i pieczęcie założone w zakładach nuklearnych przez Międzynarodową Agencję Energii Atomowej (MAEA). Agencja w specjalnej rezolucji wezwała Teheran do wstrzymania programu. Iran twierdzi, że fabryka w Esfahanie przerabia rudę uranową na cele pokojowe. W wyniku nacisku MAEA fabryka nie

działała od dziewięciu miesięcy. Wznowienie programu nuklearnego to efekt dojścia do władzy nowego prezydenta Mahmuda Ahmadineżada, islamskiego radykała, który zapowiedział, że zerwie wynegocjowane z Zachodem jesienią zeszłego roku porozumienie o zamknięciu Esfahanu.

Gra wokół irańskich instalacji nuklearnych wkracza w nową fazę. Waszyngton i UE obawiają się, że produkowany przez Iran rozszczepialny izotop U-235 posłużyć może do budowy irańskiej broni atomowej. Teheran zawsze się zaklinał, że chce jedynie tanio pozyskiwać energię. Wiarygodność władz irańskich jest niewielka. – Iran coraz bardziej się izoluje – powiedział rzecznik amerykańskiego Departamentu Stanu Adam

Ereli, podczas gdy prezydent George W. Bush nie wykluczał zgłoszenia w ONZ wniosku o sankcje wobec Iranu. Wielu ekspertów mówi o możliwym ataku na zakłady nuklearne w Iranie lotnictwa Izraela. W 1981 roku myśliwce izraelskie zbombardowały irański reaktor nuklearny w Osirak.

– Iran testuje solidarność i zdecydowanie sojuszu amerykańsko-europejskiego – twierdzi w rozmowie z „Głosem Ameryki” ekspert od Iranu Kenneth Katzman z Congressional Research Service. Ahmadineżadowi sprzyja to, że teraz trudno jest obłożyć Teheran sankcjami. Najbardziej dotkliwą z nich byłoby embargo na zakup irańskiej ropy. W sytuacji gdy cenna baryłka pobiła wszelkie rekordy, jest to jednak mało realne. (JK)

URLOP DLA KATA

ODBYWAJĄCY WYROK NAZISTOWSKI ZBRODNIARZ ERICH PRIEBKE POJECHAŁ NA WAKACJE

Urlopowany z aresztu domowego w Rzymie spędza je nad jeziorem Maggiore. 92-letni dziś Priebke, w czasie wojny kapitan SS, został wydany przez Argentynę w 1994 roku, a potem skazany na dożywocie za zamordowanie 335 osób w pobliżu Rzymu. Wśród ofiar łapanki w 1944 roku znaleźli się nieletni i grupa ludności żydowskiej. Masakra była aktem represji za zamach bombowy włoskiego ruchu oporu w Rzymie.

Decyzja stołecznego magistratu wywołała oburzenie mimo argumentu, że to nagroda za dobre sprawowanie. – Urzędnicy magistratu cierpią na masową amnezję w związku z wydarzeniami II wojny światowej – powiedział Amos Luzzatto, przewodniczący Związku Włoskich Społeczności Żydowskich. Priebke odpoczywa w willi należącej do syna byłego szefa gestapo Hermana Biclera. (RYB)



W 1996 roku Priebke został skazany przez sąd wojskowy w Rzymie

W MOSKWIE NIE BIJĄ

CENTRUM MOSKWI JEST BEZPIECZNIEJSZE NIŻ WARSZAWA. NAPADY NA POLAKÓW TYM BARDZIEJ NIE SĄ PRZYPADKIEM

W Moskwie można chodzić po ulicach późną nocą, telefon komórkowy nosi się bez obaw, że ktoś go ukradnie. Jeżeli kogoś się bać to wszędybylskiej i natrętnej milicji. Przez trzy lata życia w rosyjskiej stolicy nie trafił mi się żaden incydent, nie byłem świadkiem bójki, nie zostałem napadnięty. Ofiarą ataku nie padł też żaden z moich przyjaciół, dziennikarzy z gazet i agencji z całego świata. Raz spotkałem się z przypadkiem ulicznej kradzieży.



Polskiej ambasady strzegą żołnierze, ale czy to załatwia sprawę?

Posłanie nie są agresywni, w każdym razie mniej niż Polacy. W przypadku kłopotów boją się, że w każdej chwili może pojawić się milicja. Spotkanie z nią to w najlepszym wypadku kilkugodzinny pobyt na komisariacie, w najgorszym bicie albo – zdarza się – podrzucanie nar-

kotyków i długi pobyt w areszcie. Przystępczość wzrasta wraz z oddalaniem się od centrum, ale Paweł Reszka, dziennikarz „Rzeczpospolitej”, mieszkał niemal w samym środku Moskwy.

W przejściu podziemnym, w którym go pobito, nigdy nie przesiadywali zule, po obu stronach ciągną się potężne domy, a nad nimi ruchliwy prospekt Kutuzowa, którym codziennie do pracy jeździ Władimir Putin. Pawła zapewne śledzono. Mieszkał tak jak większość korespondentów w strzeżonym kom-

pleksie dla cudzoziemców. Żeby napastnicy mogli za nim pójść, musieli zostać uprzedzeni przez ochronę, podrzędnych agentów FSB. Żadni „nacionaliści” i „chuligani” nie mają odpowiedniej infrastruktury, by zorganizować taki napad.

JAKUB KUMOC

CHIŃCZYCY WĘSZĄ W USA

CO ROKU DO USA WJEŹDŻA 700 TYSIĘCY CHIŃCZYKÓW. FBI TWIERDZI, ŻE WŚRÓD PRZYBYSZÓW Z PEKINU JEST CORAZ WIĘCEJ SZPIEGÓW

Chiny są największym zagrożeniem dla USA – oświadczył w wywiadzie dla „Wall Street Journal” David Szady, szef wydziału kontrwywiadu w FBI. Agenci kradną programy wojskowe i przemysłowe, które są potem kopiowane w Chinach. Amerykańscy analitycy twierdzą, że to zagrożenie ustępuje jedynie groźbie nowych zamachów terrorystycznych. Chińscy szpiedzy są niezwykle trudni do wykrycia nie tylko ze względu na różnice kulturowe i językowe. Większość ze szpiegujących w USA to amatorzy zaangażowani do jednorazowych misji. FBI szacuje, że w USA powstały już trzy tysiące firm chińskich gromadzących różnego rodzaju informacje pod przykrywką innej, całkowicie legalnej działalności. – Są gorsi od KGB – powiedział Szady, zaprawiony w walkach z agentami „Imperium Zła”. (RYB)

ZABÓJCZA PIEŁĘGNIARKA



Fot. AP (2)

Przechodnie w Kingston, stolicy stanu Tennessee, byli świadkami mrozących krew w żyłach scen przypominających kultowy film „Bonnie and Clyde”.

Pod lokalny sąd z impetem zajęła fordem explorem młoda kobieta, która otworzyła ogień do strażników prowadzących do więziennej furgonetki zakutego w łańcuchy i kajdany George’a Hyatte’a. Kiedy jeden z konwojentów dostał postrzał w brzuch (zmarł na stole operacyjnym), Hyatte wskoczył do samochodu i uciekł. Szybko okazało się, że odbicia skazańca dokonała zdesperowana żona Hyatte’a Jennifer. George Hyatte odsiedział za ledwie dwa lata z 35-letniego wyroku za napaść i rozbój.

George i Jennifer uciekli aż 630 kilometrów od Kingston, ale po 24 godzinach wpadli w ręce stróżów prawa: ktoś zadzwonił na policyjną linię, informując, że para ukryła się w motelu w Columbus w stanie Ohio. Uciekinierzy zrezygnowali z powielania scenariusza i uniknęli krwawego filmowego finału – poddali się, wychodząc z wysoko podniesionymi rękami. Parę czeka proces o morderstwo. Przed dwoma laty Jennifer straciła etat więziennej pielęgniarki po romansie z Hyatte’em. (RYB)

Arktyka się topi (i Syberia)



Zobacz, dlaczego mówią o wierzchołku góry lodowej

Fot. CORBIS

Arktyka jest coraz bardziej podgrzewana przez ciepłe wody z Atlantyku – wykazują polskie badania oceanograficzne.

– Już drugi rok obserwujemy anomalie cieplne. Woda atlantycka docierająca do Arktyki jest cieplejsza niż w poprzednich latach. W efekcie zwiększa się transport ciepła na północ, co wpływa na klimat – mówi kierujący badaniami profesor Jan Piechura z Instytutu Oceanologii PAN. Jest to ważne dla Polski, bo zachodzące tam procesy wpływają na pogodę i klimat w naszej części Europy.

Obserwacje na morzach Norweskim, Barentsa i Grenlandzkim oraz Oceanie Lodowatym naukowcy prowadzą od 1987 roku. Od trzech lat badania te przeprowadzane są w ramach unijnego programu ASOF-NORD, w którym obok polskich jednostek uczestniczą statki brytyjskie, niemieckie i norweskie.

Zmiany związane z ociepleniem klimatu zaobserwowano też w zachodniej Syberii. Rozpuszczają się tam obszary, które pozostawały zamrożone od 11 tysięcy lat. Średnia temperatura w tym rejonie rośnie szybciej niż kiedykolwiek do tej pory – o 3 stopnie w ciągu 40 lat. (OWO)

Kasa na pupila

Posiadanie zwierząt poprawia zdrowie ich właścicieli – pokazują badania. Dlatego rząd Wielkiej Brytanii planuje dofinansowanie dla pacjentów, które będzie można wykorzystać na zakup zwierząt domowych. 1000 funtów brytyjskich (ponad 6000 złotych) będzie można przeznaczyć także na karmę i weterynarza. Osoby nie lubiące zwierząt będą mogły wydać te pieniądze na specjalne meble, klimatyzację, transport do klubu czy opiekuna dla pacjenta. O przyznaniu dofinansowania decydować będzie pracownik socjalny.



KOBIETĘ TRZEBA ZABIĆ

JAKUB KUMOCZ

Co roku kilkaset Turczynek ginie z rąk swoich mężów, ojców i braci. Jeżeli Turcja naprawdę chce wejść do Unii Europejskiej, musi wydać wojnę mordercom honorowym. Czy potrafi?

Nikt dokładnie nie pamięta, kto namówił Birgül Işık do udziału w telewizyjnym talk show ani kto przekonał ją do pokazania się z odkrytą głową. Birgül wystąpiła w programie „Głos kobiety”. Opowiedziała, jak w wieku 13 lat wydała ją za dwukrotnego rozwodnika, o tym, jak była bita, jak uciekała do rodziców, a ci za każdym razem odsyłali ją, mówiąc, że miejsce żony jest przy mężu. – Wiem, że mój mąż mnie teraz zabije – powiedziała na antenie.

Kilka dni po programie, pod koniec maja, wróciła do rodzinnego miasta na wschodzie Turcji. Na dworcu czekał na nią 14-letni syn. Gdy tylko wysiadła z autobusu, sięgnął po broń. Zanim strzelił, wycedził tylko: – To za telewizję!

Turcja doznała szoku. Ale w oczach mieszkańców wschodniotureckiego Elazığu 14-letni matkobójca po prostu „zmazał honor rodziny”. Logika jest prosta: matka naraziła na szwank reputację rodu, a ponieważ upokorzony ojciec uciekł z miasta, obowiązek zemsty spadł na najstarszego syna.

BO DAŁA SIĘ ZGWAŁCIĆ

W Turcji takie morderstwa nazywane są „honorowymi”, choć z naszym pojęciem honoru mają niewiele wspólnego. Ich ofiarami padają najczęściej żony podejrzane o niewierność, niezamężne córki, które straciły dziewictwo, albo takie, które chciały żyć na zachodnią modłę. „W naszym kraju przyczyną mordu honorowego może być wszystko: to, że dziewczyna zaczęła pracować poza domem, że przyłapano ją na chodzeniu z chłopakiem albo nawet że słuchała przez radio nie takiej muzyki” – pisze dziennikarka feministka Zeynep Oral. Do niedawna sprawcy dostawali roczne lub dwuletnie wyroki, bo sądy uznawały, że zostali sprowokowani zachowaniem ofiar.

Skala zjawiska jest trudna do oszacowania. Wzmianki o kolejnym honorowym morderstwie pojawiają się w tureckiej prasie raz, dwa razy w miesiącu i są odnotowywane z podobną oczywistością jak u nas wypadki drogowe. Według państwowych statystyk w Turcji dochodzi do 40 takich morderstw rocznie, ale organizacje

pozarządowe szacują ich rzeczywistą liczbę na 200–300 przypadków. Wielu w ogóle się nie odnotowuje, bo rodziny często zmuszają ofiary do popełniania samobójstw albo pozorują wypadki. Tak jak mężczyzna z kurdyjskiego Batmanu, który w styczniu zastrzelił siostrę za chodzenie w spodniach, a potem wyrzucił jej ciało przez okno.

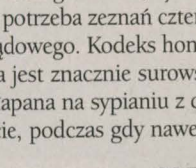
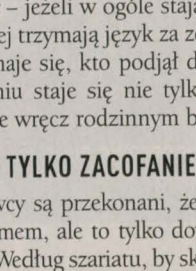
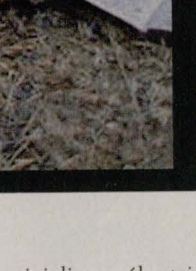
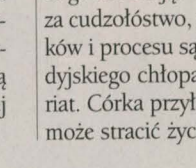
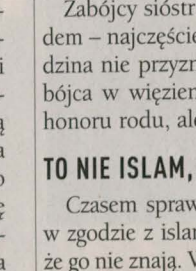
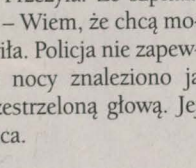
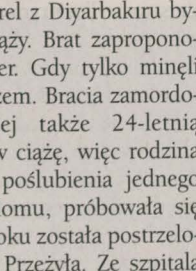
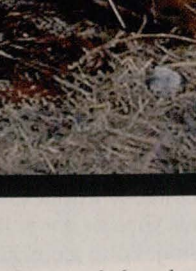
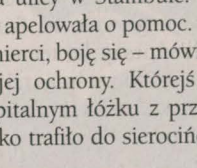
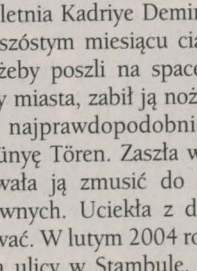
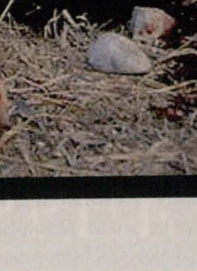
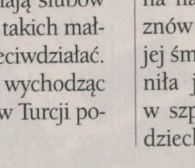
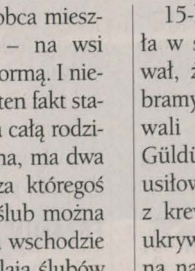
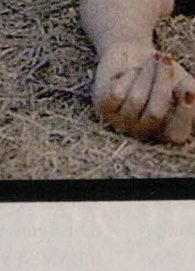
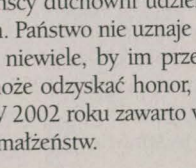
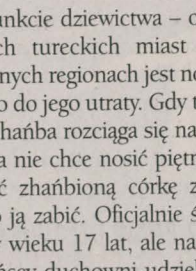
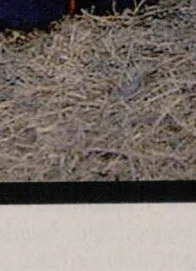
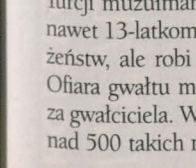
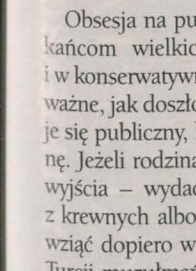
Zapatrzona w Europę zachodnią Turcja przez lata zamiatała morderstwa honorowe pod dywan jako zwykłą patologię społeczną, owoc nędzy na wschodzie kraju, gdzie brakuje szkół, a tradycje islamskie i wojna z kurdyjskimi separatystami przez lata uniemożliwiały jakiegokolwiek reformy. Przejrzała na oczy, gdy „patologia” zawitała do Stambułu. W ubiegłym roku na jednym z przedmieść rodzina imigrantów ze wschodu Turcji skazała na śmierć 14-letnią córkę. Wcześniej dziewczynkę porwał na ulicy szaleniec i przez cztery dni gwałcił. Sprawcę złapano, ale Nuran była zhańbiona, bo straciła dziewictwo. Ojciec z pomocą braci udusił ją kablem.

Jednak emigranci zarobkowi z kurdyjskich rejonów przenoszą swoje zbrodnicze zwyczaje nie tylko do cywilizowanej Turcji. Od kilku lat tureckie i kurdyjskie kobiety giną także w Europie. Po serii zabójstw w Skandynawii w Niemczech od października ubiegłego roku

zginęło sześć kobiet. Wśród nich była 23-letnia mieszkanka Berlina, która zginęła za porzucenie wybranego jej przez rodzinę męża.

CHCĄ MOJEJ ŚMIERCI

14-letnia Berivan nie była w stanie dłużej ukrywać sześciomiesięcznej ciąży i nie chciała zdradzić, kto jest ojcem jej dziecka. Zaczęło się nerwowe wyczekiwanie. Ojciec Berivan nie umiał podjąć decyzji. – Jestem zhańbiony, ale jej nie zabiję – powiedział. Któregoś dnia spakował się i odszedł. Jego 16-letni syn nie miał skrupułów. Jedna kula przeszła dziewczynie szyję, druga trafiła ją w brzuch. Dziecko Berivan zginęło wraz z nieletnią matką.



Dwaj bracia odszukali matkę, która porzuciła ich w dzieciństwie, i zwabili ją do ogrodu botanicznego w Tarsie na wschodzie Turcji

41-letnia Altundal Sultan nie spodziewała się, że synowie mogą chcieć ją skrzywdzić

W trakcie spotkania jeden z synów z zimną krwią zastrzelił matkę. Zemścił się za to, że 10 lat wcześniej odeszła z innym mężczyzną, narażając rodzinę na wstyd

Obsesja na punkcie dziewictwa – obca mieszkańcom wielkich tureckich miast – na wsi i w konserwatywnych regionach jest normą. I nie ważne, jak doszło do jego utraty. Gdy ten fakt staje się publiczny, hańba rozciąga się na całą rodzinę. Jeżeli rodzina nie chce nosić piętna, ma dwa wyjścia – wydać zhańbioną córkę za któregoś z krewnych albo ją zabić. Oficjalnie ślub można wziąć dopiero w wieku 17 lat, ale na wschodzie Turcji muzułmańscy duchowni udzielają ślubów nawet 13-latkom. Państwo nie uznaje takich małżeństw, ale robi niewiele, by im przeciwdziałać. Ofiara gwałtu może odzyskać honor, wychodząc za gwałciiciela. W 2002 roku zawarto w Turcji ponad 500 takich małżeństw.

15-letnia Kadriye Demirel z Diyarbakuru była w szóstym miesiącu ciąży. Brat zaproponował, żeby poszli na spacer. Gdy tylko minęli bramy miasta, zabił ją nożem. Bracia zamordowali najprawdopodobniej także 24-letnią Güldünyę Tören. Zaszła w ciążę, więc rodzina usiłowała ją zmusić do poślubienia jednego z krewnych. Uciekła z domu, próbowała się ukrywać. W lutym 2004 roku została postrzelona na ulicy w Stambule. Przeżyła. Ze szpitala znów apelowała o pomoc. – Wiem, że chcę mojej śmierci, boję się – mówiła. Policja nie zapewniła jej ochrony. Którejś nocy znaleziono ją w szpitalnym łóżku z przestreloną głową. Jej dziecko trafiło do sierocińca.

Zabójcy siostr – jeżeli w ogóle stają przed sądem – najczęściej trzymają język za zębami. Rodzina nie przyznaje się, kto podjął decyzję, zabójca w więzieniu staje się nie tylko obrońcą honoru rodu, ale wręcz rodzinnym bohaterem.

TO NIE ISLAM, TYLKO ZACOFANIE

Czasem sprawcy są przekonani, że postępują w zgodzie z islamem, ale to tylko dowód na to, że go nie znają. Według szariatu, by skazać kogoś za cudzołóstwo, potrzeba zeznań czterech świadków i procesu sądowego. Kodeks honorowy kurdyjskiego chłopca jest znacznie surowszy niż szariat. Córka przyłapana na sypaniu z chłopakiem może stracić życie, podczas gdy nawet u talibów



Demonstracja niemieckich Turczynek po zabójstwie 23-letniej Hatun Sürücü. Zginęła za to, że opuściła narzuconego jej przez rodzinę męża

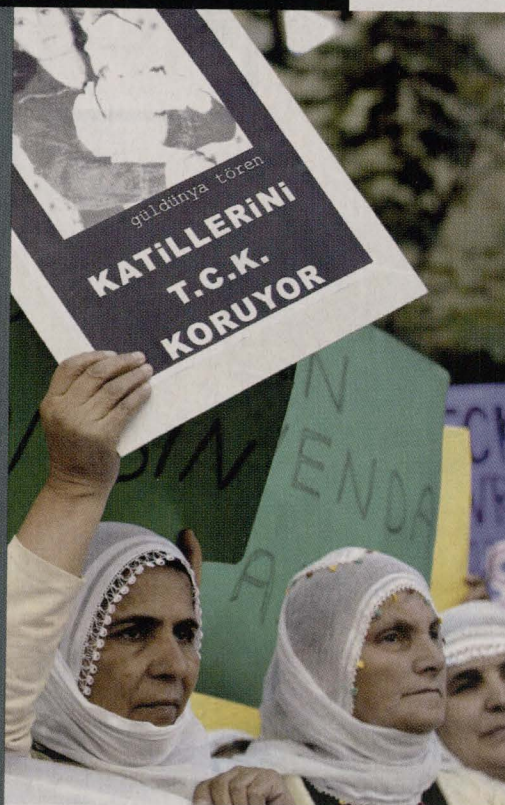
KOBIETY GINA TAKŻE W EUROPIE

W Niemczech od października 2004 roku dokonano ośmiu morderstw honorowych, większości w Berlinie, gdzie ogniskuje się życie dwumilionowej wspólnoty muzułmańskiej. Od 1996 roku zginęło ponad 40 kobiet. Według jednego z niemieckich opracowań śmierć grozi każdej tureckiej i kurdyjskiej kobiecie, która ucieknie z domu.

W Wielkiej Brytanii w ciągu ostatnich 10 lat doszło do 13 morderstw honorowych. Ale brytyjska policja bada 117 innych przypadków samobójstw i śmiertelnych wypadków młodych kobiet, by sprawdzić, czy nie były one zatuszowanymi zabójstwami honorowymi.

W Szwecji na początku 2002 roku doszło do głośnego morderstwa 26-letniej Fadime Sahendal. Kurdyjska dziewczyna naraziła się rodzinie, bo zamiast wyjść za męża, zamieszkała ze swoim szwedzkim chłopakiem. Przez lata domagała się od państwa ochrony. Nie dostała jej, a gdy ojciec i brat zagrozili jej śmiercią, sąd skazał ich na wyroki w zawieszeniu. Ojciec zastrzelił Fadime, gdy przyszła w odwiedzin do swojej siostry. Trzy miesiące później sąd skazał go na dożywocie.

Morderstwa honorowe nie są natomiast szczególnym problemem we Francji. To, że zamieszkuje ją jednocześnie największa w Europie, pięciomilionowa wspólnota muzułmańska, dowodzi tylko, że morderstwa honorowe nie mają z islamem nic wspólnego.



Turczynki protestują po zabójstwie Güldüny Tören, zamordowanej za nieślubne dziecko. „Jej morderców chroni kodeks karny” – głosi napis (Ankara, wrzesień 2004 r.)

dostałaby jedynie chłostę. Za utratę dziewictwa nie ginie się ani w Iranie, ani w Arabii Saudyjskiej. Bo to nie islam wymyślił honorowe morderstwa, tylko prymitywna tradycja. Ale dla opinii publicznej „laickiej i demokratycznej republiki” Turcji wygodniej jest zwać problem na islamski radykalizm, niż przyznać, że wynika on z zacofania sporej części kraju.

Nie jest to problem czysto turecki. Według danych ONZ na całym świecie rocznie dochodzi do pięciu tysięcy morderstw „w obronie honoru”. Nie tylko w świecie islamu. Występują w Ameryce Południowej, do niedawna zdarzały się nawet w Europie – głównie na Sycylii i Korsyce. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu w zachodnim prawie obrona honoru była traktowana jako okoliczność łagodząca na procesach zabójców. Francja zmieniła odpowiedni zapis



w swoim kodeksie karnym dopiero w 1975 roku, Włochy w 1981, Brazylia w 1991 roku. Pakistan zaledwie od kilku lat skazuje sprawców na śmierć, ale w Syrii, Jordanii i Maroku dla zabójców „honorowych” wciąż obowiązuje taryfa ulgowa.

W Turcji sądy dopiero zaczynają się zmieniać. Do niedawna sprawcy morderstw honorowych byli traktowani wyjątkowo łagodnie. Po jednym z procesów mężczyzna, który pobił żonę i spowodował u niej paraliż, dostał karę grzywny – 1200 dolarów. Inny, który w styczniu 2004 roku zabił żonę nożem, dostał jedynie dwa i pół roku. Wystarczyło, że pokazał jej zdjęcia w towarzystwie innego mężczyzny. Takie wyroki długo kształtowały świadomość obywateli. – Przez lata sprawcom obniżano kary, to zalegalizowało morderstwo – mówi w wywiadzie telewizyjnym autor książki o honorowych morderstwach Mehmet Faruç.

Jednak opozycja przeciwko tolerowaniu przemocy z roku na rok jest coraz silniejsza. Turcja walczy o członkostwo w UE i nie może lekceważyć organizacji praw człowieka. Według nowego kodeksu karnego (obowiązuje od 1 czerwca) obrona honoru nie jest już okolicznością łagodzącą w procesach o morderstwo.

EGZAMIN Z PRAW CZŁOWIEKA

Naciye Altıhan zmusiła 15-letnią ciężarną córkę do samobójstwa. Proces ciągnął się miesiącami, jednak ku radości obrońców praw człowieka na początku 2003 Naciye Altıhan dostała dożywocie. To pierwszy tak surowy wyrok w sprawie „honoru”. Rok później



Pogrzeb Kadriye Demirel przekształcił się w manifestację. Organizacje kobiece i działacze praw człowieka same pochowały 15-latkę zamordowaną za zajście w ciążę. Rodzina nie chciała się do niej przyznać nawet po śmierci

sąd rozpatrywał sprawę 14-letniej Emine Kızılkurt z Urfy na południu Turcji. Rodzina postanowiła ją udusić za „zadawanie się z chłopakami”. Brat, który ją zamordował, po półtorarocznym procesie został skazany na dożywotnie więzienie, ojciec, wujek i sześciu innych krewnych dostało od 6 do 20 lat za współudział.

Gorzej jest z prewencją. Władze tureckie zdają sobie sprawę z problemu, ale nie robią dostatecznie dużo, by go zwalczyć. – Zja-

wisko morderstw honorowych nie zniknie tak prędko. Trzeba robić wszystko naraz: prawo musi być surowe, sądy muszą działać na poważnie, a likwidacji ciemnoty musi towarzyszyć akcja uświadamiająca – mówi „Przekroju” Ayşe Figen Zeybek z Centrum na rzecz Edukacji i Wspierania Kobiet (KADER).

Organizacje takie jak KADER od kilku lat próbują walczyć z krwawą tradycją. Ukrywają kobiety uciekające przed zemstą rodzinną, za-

biegają o zaostrezenie kar, starają się też uświadamiać społeczeństwo. Idzie opornie. W rejonach, gdzie połowa małżeństw jest kojarzona przez rodziny i gdzie wiele kobiet nie ma nawet podstawowego wykształcenia, tak naprawdę nie ma jak uświadamiać. Kobiety w rodzinach, gdzie dochodzi do morderstw, nie mają głosu, a czasem – jak Naciye Altıhan – stają po stronie morderców swoich sióstr i córek. Byłoby znacznie lepiej, gdyby każda niedoszła ofiara mordu wiedziała, że w krytycznym momencie ma dokąd uciec. Tymczasem w całym kraju istnieje zaledwie 14 schronisk dla kobiet zagrożonych morderstwem honorowym, na południowym wschodzie nie ma ani jednego. Realne potrzeby oceniane są na ponad tysiąc takich domów.

W ciągu najbliższych miesięcy okaże się, czy Turcja pod rządami Recepty Tayyipa Erdoğana naprawdę chce wejść do Unii Europejskiej i wykorzystać ostatnie relikty bliskowschodniego zacofania. Czy sądy są gotowe na nowe czasy? Czy nie uniknie dożywocia sprawca najnowszego mordu – urzędnik kolejowy Adnan Cemal Çakır, który 12 lipca zamordował w McDonalddie swoją byłą żonę? Jak sąd potraktuje 14-letniego zabójcę Birgül Işık? A przede wszystkim kiedy rząd wyda otwartą wojnę mordercom żon i matek?

– Turków czeka zmiana myślenia, tak aby przemoc domowa i morderstwa honorowe zaczęły być postrzegane jako łamanie praw człowieka. Na razie chcemy wierzyć, że te sprawy nie dotyczą nas samych i że to tylko margines naszego społeczeństwa – mówi na jednej z konferencji Leyla Pervizat, autorka licznych publikacji o prawach kobiet. Tylko tym razem walka o członkostwo w Unii zmusza Turcję do głębokich reform społecznych. Większość Turków też nie chce się dłużej wstydić. Czas przemykania oczu minął bezpowrotnie.

JAKUB KUMOC

100 stron

HOPPER

EDWARD HOPPER

1700 barwnych ilustracji i reprodukcji

najśłynniejsze dzieła

papier kredowy

najwięksi malarze

KOLEKCJA „PRZEKROJ”

MALARZE ŚWIATA

20 ALBUMÓW POŚWIĘCONYCH SZTUCE

PRZEKROJ

1 września

15 września

29 września

13 października

TASCHEN

www.przekroj.pl/kolekcja infolinia 0801 272750

cena 15,99 zł

kioskach od 18 sierpnia



kcję zaplanowano w najdrobniejszych szczegółach. Armia izraelska zakupiła 57 tysięcy skrzyń na dobytek osadników, w hotelach zarezerwowano dla nich ponad tysiąc pokoi, część trafia do tymczasowych mieszkań i przyczep kempingowych. Jedną czwartą byłych osadników pomieści osiedle budowane w pośpiechu w rezerwacie przyrody między Aszkelonem a Aszhodem.

Osadnicy z Gazy, którzy opuścili ją do minionej środy, dostaną szczodre odszkodowania: na osiem tysięcy osób przypadnie łącznie 930 milionów dolarów. Hojność władz ma swoją przyczynę: osadnicy zostawiają wygodne domy, a przekazanie Gazy Palestyńczykom budzi w Izraelu ogromne kontrowersje. I to nie tylko wśród tych, których bezpośrednio dotyczy.

NAZIŚCI W IZRAELU

W świetle prawa międzynarodowego 40-kilometrowy pas zakurzonego wybrzeża jest ziemią niczyją. Zajęta przez Izrael w roku 1967, Gaza od 12 lat jest pod częściowym zarządem Autonomii Palestyńskiej. Częściowym, bo 21 żydowskich osiedli i drogi pozostawały wciąż we władaniu Izraela. W lutym tego roku rząd Ariela Szarona przegłosował ewakuację wszystkich osadników i przekazanie pełni władz Palestyńczykom. Ale to, co dla Szarona jest częścią polityki jednostronnego odcinania się od Palestyny i jej problemów (disengagement), dla części Żydów jest bezprawnym oddawaniem Arabom Ziemi Obiecanej i łamaniem woli Boga.

– Szaron zdradził sprawę, w której nas tu przysłano – mówił na krótko przed rozpoczęciem ewakuacji Dan Amiel, 20-letni student szkoły religijnej w Kfar Darom, jednym z ewakuowanych osiedli. – Nie rozumiem tego. Bóg powiedział nam, byśmy wrócili do Izraela i zbudowali go na nowo, i to powinniśmy robić.

17 sierpnia Amiel i jemu podobni stanęli przed dramatycznym wyborem: mogą porzucić swoją misję lub walczyć o ziemię do samego końca. Większość osadników zaakceptowała odszkodowania i spokojnie opuściła Gazę. Ale rodziny z kilku najbardziej radykalnych wspólnot odmówiły przyjęcia pieniędzy i nie mają żadnego interesu w tym, by ewakuacja przebiegła sprawnie. Od środy są traktowane jak wrogowie państwa.

Osadnicy ze wspólnoty Elei Sinai zamierzają powitać armię w hitlerowskich mundurach, bo – jak powiedział izraelskiemu radiu organizator protestu Itzik Gabai – nie widzą żadnej różnicy między porzucaniem Gazy a Holocaustem. W innych osiedlach osadnicy wypisali sobie na rękach numery dowodów osobistych, naśladując sposób, w jaki naziści naznaczali Żydów w obozach koncentracyjnych. Z kolei mieszkańcy Sa-Nur, jednego z czterech małych osiedli na Zachodnim Brzegu, które ma być ewakuowane równocześnie z Gazą, grożą zbiorowym samobójstwem. Tak jak Żydzi z Masady, którzy

dwa tysiące lat temu nie chcieli poddać się rzymskiej armii.

Ale najbardziej niepokojący i prawdopodobny jest inny scenariusz – zbrojny opór osadników. Większość z tych, którzy pozostali w osiedlach, to uzbrojeni religijni fanatycy, głównie żydowski ekstremiści z Zachodniego Brzegu, którzy przeniknęli do Gazy w ostatnich kilku tygodniach. Ich liczba jest trudna do oszacowania, bo wjeżdżali w bagażnikach samochodów, legitymując się fałszywymi dokumentami lub korzystając po prostu z przychylności żołnierzy na punktach kontrolnych. Wojsko twierdzi, że jest ich nie więcej niż dwa tysiące, ale przywódcy osadników mówią o ponad czterech tysiącach. Wyższą liczbę potwierdzili częściowo izraelscy dziennikarze, którzy donosili o dużych skupiskach namiotów, które wyrosły w lipcu i sierpniu wokół kilku żydowskich osiedli.

W ostatnich tygodniach ekstremiści kilkakrotnie zapowiadali, że ewakuacja doprowadzi do rozlewu krwi. Ostrzegali, że w obronie ziemi są gotowi sięgnąć po „morderczą broń”, próbowali nawet wywołać zamieszki. 10 dni temu 19-letni żołnierz izraelski Eden Natan Zada otworzył ogień do autobusu w północnym Izraelu, zginęło czterech obywateli arabskich. Zada miał nadzieję, że wywoła to zamieszki wśród ludności arabskiej, co odciągnęłoby armię izraelską od blokady Gazy i pozwoliło przedostać się do środka większej liczbie protestujących. Zamieszki jednak nie wybuchły, a sam Zada tuż po ataku został zlinczowany przez tłum.

RABIN NAMAWIA DO DEZERCJI

Izrael zmobilizował około 40 tysięcy żołnierzy i policjantów, czyli niemal wszystkie siły, jakimi dysponuje. W samej Gazie żołnierze będą wchodzić do kolejnych osiedli i siłą eksmitować stamtąd każdego, kto nie zgodzi się opuścić ich dobrowolnie. Nieco wcześniej armia wjedzie do obozów palestyńskich uchodźców, by uniemożliwić ostrzał Gazy z moździerzy, który mógłby sparażować ewakuację.

Prócz tego wojsko zaplanowało aż sześć kordonów ochronnych wokół Gazy. Zewnętrzny, sięgający pustyni Negew i biegnący wzdłuż muru granicznego, ma powstrzymać fale fanatycznych demonstrantów, którzy będą próbowali siłą wdrzeć się z zewnątrz, gdy zacznie się rozbiórka ży-

dowskich osiedli. Te protesty mogą okazać się jeszcze większym i bardziej nieprzewidywalnym zagrożeniem niż uzbrojeni osadnicy wewnątrz Gazy. Wojsko zrobi wszystko, by sytuacja nie wymknęła się spod kontroli, a ewentualne starcia nie rozlały się na resztę kraju.

Jak dotąd żydowski ekstremiści powstrzymywali się od aktów przemocy przeciw innym Żydom. Najgorsze, z czym spotykali się żołnierze i policjanci usuwający protestujących osadników, były popychanie i ciosy pięściami. Teraz napięcie jest o wiele większe, a w Gazie prawie każdy osadnik ma broń, w tym karabiny maszynowe. Aby załagodzić sytuację, rząd nakazał oficerom prowadzącym eksmisję, by wchodzili do domów nieuzbrojeni. To jednak oznacza, że jeśli protest przybierze gwałtowną formę, będą

Cała armia Izraela pilnuje wysiedlenia żydowskich osadników z Gazy. W osiedlach zostali już tylko uzbrojeni ekstremiści gotowi umierać za Ziemię Obiecaną. I zabijać innych Żydów



To osiedle w Gush Katif zostanie wkrótce zrównane z ziemią, a gruz wywieziony na pustynię. Izraelczycy zostawiają Palestyńczykom tylko budynki rządowe

praktycznie bezbronni i mogą zostać wzięci na zakładników.

Wraz z rozbiórką pierwszych domów świat przekona się, czy naprawdę są gotowi walczyć na śmierć i życie. Śmierć swoją lub izraelskich żołnierzy, którzy przyjdą ich siłą wysiedlić.

BURZENIE SZKLARNI I SYNAGOG

Ewakuacja Gazy budzi kontrowersje również w szeregach armii. W wojsku służy wielu religijnych Żydów, a kilku szanowanych duchownych – w tym rabin batalionu operacyjnego w północnej Gazie – wezwało żołnierzy do odmowy wykonywania rozkazów. Wojskowym może być trudno zignorować religijne zalecenia.

Pierwsze dezercje miały już miejsce podczas rozbijania obozów wojskowych przy granicy, od-

notowano również przypadki opuszczenia posterunków z bronią. Szef sztabu Dan Halutz ostrzegł, że operacja w Gazie może doprowadzić do powstania „milicji” w łonie armii, która zwróci się przeciwko innym żołnierzom. – Jeśli na zjawisko odmowy wykonywania rozkazów nie zareagujemy dostatecznie szybko, może mieć to fatalne konsekwencje – mówił Halutz.

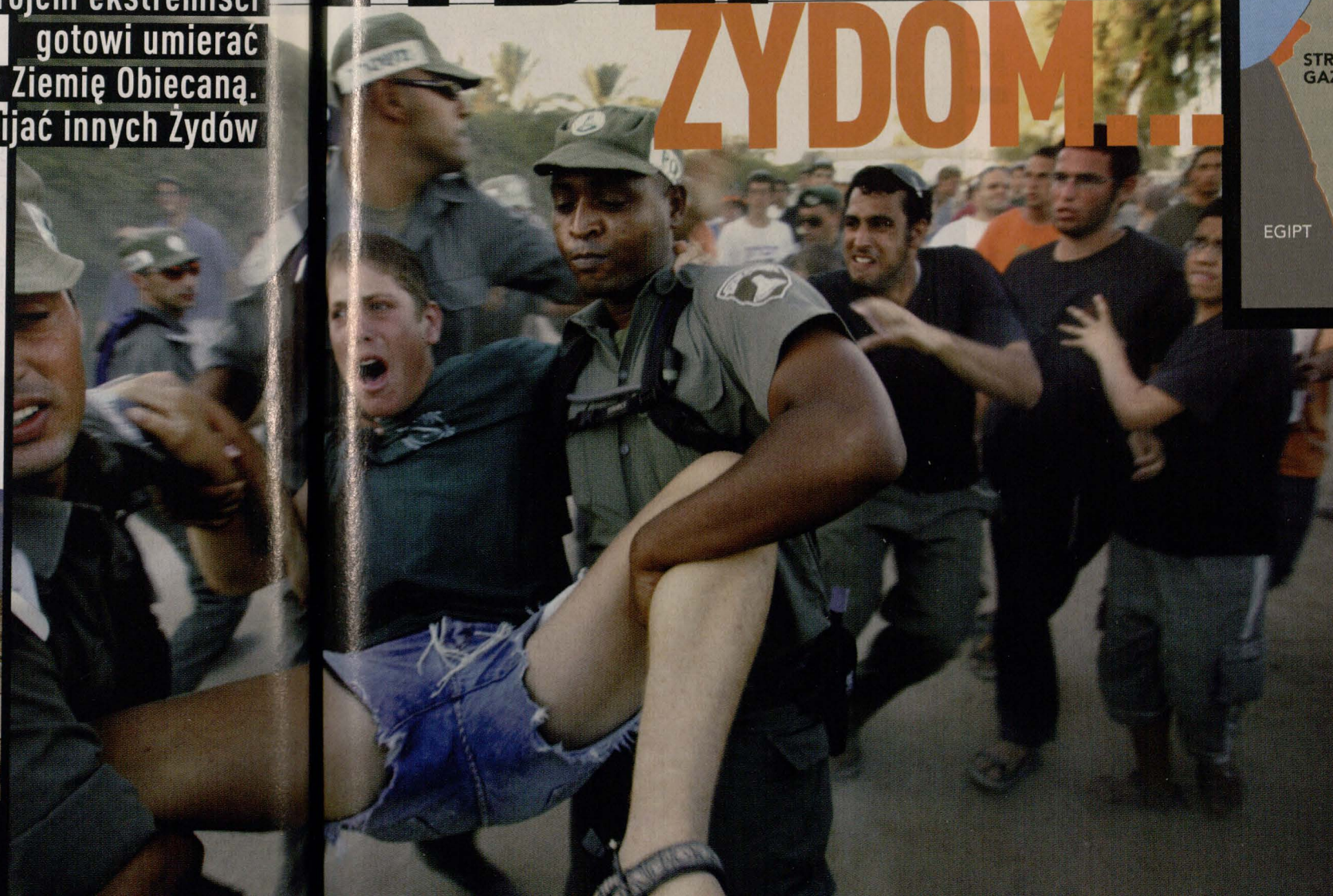
Nawet jeśli ekstremiści nie będą stawiać silnego oporu, napięcie wokół Gazy szybko nie minie. Armia przez dwa najbliższe miesiące będzie burzyć 2800 domów i 26 synagog, zniszczone zostaną również szklarnie i wielka mleczarnia, a 40 opuszczonych budynków rządowych zostanie przekazanych Palestyńczykom. Izrael zapłaci Bankowi Światowemu około 30 milionów dolarów, za które ten wynajmie firmy odpowiedzialne

za posprzątanie gruzów i ich zakopanie, prawdopodobnie na pustyni Synaj. Wreszcie po zakończeniu prac mur wokół Gazy zostanie wzmocniony, a na granicy powstaną dodatkowe posterunki, by utrudnić Palestyńczykom nielegalne przechodzenie na terytorium Izraela.

Dla Ariela Szarona, miszra politycznych rozgrywek, opuszczenie Gazy może jeszcze okazać się wielkim zwycięstwem. Premier ryzykuje rozłam w społeczeństwie i konflikt wewnętrzny, ale z drugiej strony starcia między żołnierzami i osadnikami pokazane w mediach na całym świecie byłyby jak najbardziej w jego interesie. Zyskałby mocny argument przeciw międzynarodowym żądaniom likwidacji znacznie większych i liczniejszych osiedli żydowskich na Zachodnim Brzegu. A bez tego nie powstanie palestyńskie państwo. ■

ŻYDZI ŻYDOM...

JONATHAN COOK
JEROZOLIMA



Osadnicy z Kfar Darom próbowali zablokować demontaż izraelskiego posterunku (7 sierpnia). Na zdjęciu: Policjanci usuwają jednego z krewkich demonstrantów



Barbara Cimoszewicz kibicuje mężowi w jego politycznej działalności, ale z drugiej strony nie jest zachwycona tym, że męża zwykle nie ma w domu. W kuchni leśniczówki pod Hajnówką, 7 sierpnia 2005 roku

Sołtys Kalinówki Kościelnej skrzyżował ramiona na piersiach i wpatruje się w dal. Uparł się, że będzie milczeć. – Nic nie powiem – mówi. Odkąd Włodzimierz Cimoszewicz zapowiedział kandydowanie na prezydenta, odkąd w sondażach raz jest pierwszy, raz drugi, a czasem trzeci, rodzinną wieś jego żony Barbary, opodal Białegostoku, okupują dziennikarze.

– To przynajmniej pan powie, sołtysie, ilu tu jest mieszkańców – próbuję rozwiązać mu język tą neutralną informacją (odpowiedź i tak poznałem wcześniej w Internecie – około 250 osób). – Nie powiem – sołtys nie wierzy dziennikarzom, bo na pewno nawet liczbę mieszkańców przekręcę, tak jak przekraczali jego słowa inni.

Wędrówki śladami pani Barbary wymusza aura tajemnicy, jaką wytwarza wokół niej otoczenie męża. Z małżonkami innych kandydatów dziennikarz umówi się bez trudu. Żonę Włodzimierza Cimoszewicza sztab wyborczy ukrywa, jakby już była Pierwszą Damą.

PIERWSI W PARAFII

Jan i Maria Aponowiczowie mieli dwie córki. – Siostra jest młodsza ode mnie o trzy lata – wyjaśnia Barbara Cimoszewicz. – Z mężem lekarzem mieszka w Białymstoku. Jeżeli plany urlopowe mojego męża na to pozwalają, odwiedzamy się z siostrą.

– Aponowiczowie. Ludzie o wysokiej kulturze, o dojrzałym spojrzeniu – kiwa głową doktor nauk historycznych Stanisław Czerep, nauczyciel w szkole podstawowej w Kalinówce Kościelnej.

– Barbara też odbiegała od innych naszych panien. Elegancko ubrana, nawet gdy szła po gazety. Tę elegancję ma we krwi – ocenia nauczyciel.

– Zawsze byli nieprzeciętni, nawet samochód pierwsi w parafii mieli – dorzuca sąsiadka. Był koniec lat 50., samochodem był fiat simca.

– Wiele osób w rodzinie mimo chłopskiego pochodzenia zdobyło wyższe wykształcenie – opowiada Barbara Cimoszewicz. W jej rodzinnym domu położonym na skraju wsi książek było wiele, trafiały się nawet wydania z XVII wieku. – Ojciec, Jan Aponowicz, jest potomkiem kilku pokoleń gospodarzy pracujących przez całe życie w tym samym gospodarstwie. Może to zabrzmi niewiarygodnie, ale ojciec nigdy nie wypalił papierosa, nie wypił kieliszka alkoholu – twierdzi Barbara. Nawet bimber produkowany przez Jana podczas II wojny światowej przeznaczony był jedynie na restytucję mienia. – Za ten bimber ojciec odzyskiwał od Niemców i żołnierzy Armii Czerwonej skradzione z naszego gospodarstwa zwierzęta domowe – wyjaśnia córka. – Mama zaś pochodzi z rodziny, której duża część zawsze mieszkała w USA. Jej rodzice wyjechali tam na 10 lat przed wybuchem wojny.

– W Kalinówce ciężko znaleźć ludzi, którzy nie mieliby kogoś w Ameryce – wyjaśnia Stanisław Czerep. – Niektórzy uciekali tam przed służbą w wojsku carskim, tak jak czterech braci mojego dziadka.

Fot. GRZEGORZ KLATKAVEK PICTURES DLA VIVI



PAWEŁ WIECZOREK

Barbara DAMA DOMOWA

Żona premiera,
ministra i marszałka,
ale wciąż w cieniu.
BARBARA CIMOSZEWICZ
raczej nie marzy
o byciu Pierwszą Damą

Barbara nie czuje się dobrze w publicznych rolach. Umie w nie jednak wejść. Tu na premierze „Pianisty” w 2002 roku

Niżej: W 1994 roku w Kalinówce Kościelnej. To już ostatnie chwile prawdziwego gospodarzenia, bo mąż na dobre zajął się polityką



– Po wojnie mama odwiedzała rodziców w Stanach. Wątek amerykański był stale obecny w życiu naszej rodziny – wspomina Barbara.

POŁĄCZYLI ICH OGÓRKI

W wątku edukacyjnym życia Barbary po podstawówce w Kalinówce pojawia się liceum w Goniądzu. W liceum Barbara śpiewała w folklorystycznym zespole Nadbiebrzańskie Nutki.

– Moja umiejętność gry na fortepianie pochodzi z tamtych czasów – wyjaśnia. – Muzyka towarzyszy mi przez większość życia. Niestety, grywam coraz rzadziej. Za to coraz więcej czasu poświęcam na słuchanie. Mąż również bardzo to lubi, więc słuchamy razem. Najczęściej w soboty i niedziele. Czasami muzyki symfonicznej, czasami popularnej. Mąż kocha też muzykę country. Ja za nią może nie przepadam, ale nie wyłączam odtwarzacza.

Bo gdy rozbrzmiewa country, przynajmniej wiadomo, że mąż wrócił do domu. – Nie byłam i nie jestem zachwycona działalnością polityczną męża, bo angażuje się w nią całkowicie. Oczywiście kosztem życia prywatnego. Po prostu najczęściej nie ma go w domu – ujawnia Barbara Cimoszewicz. – Ale przejmuję się też jego działalnością, bardzo mocno się z nim solidaryzuję. Przecież jesteśmy razem od 35 lat.

Barbara spotkała Włodzimierza latem 1970 roku, gdy razem z innymi studentkami pakowała ogórki do słoików. Była po pierwszym roku studiów administracyjnych w białostockiej filii Uniwersytetu Warszawskiego, Włodzimierz po trzecim roku prawa w warszawskiej centrali UW. Ogórki połączyły ich podczas praktyki robotniczej w spółdzielni warzywniczej w Nasielsku.

O szczegółach chcieliśmy zapytać osobiście panią Barbarę. Po kilkunastu dniach negocjacji ze sztabem wyborczym przekazałem pytania jedynie mailem. Otrzymałem odpowiedzi, jednak po drodze do małżonki kandydata pytanie o szczegóły poznania się w Nasielsku podczas pakowania ogórków zamieniło się w pytanie: Jak poznała pani męża? Wiele konkretnych pytań wykasowano, część zmieniono. Cytowane tu wypowiedzi pani Barbary są odpowiedzią na tę zmienioną listę pytań.

Z historycznych przekazów wiadomo jednak, że rozśpiewany kawalarz o dziewczęcej urodzie ze starszego roku podobał się dziewczynom. A jemu spodobała się Barbara. Było tradycyjnie. – Wiosną następnego roku poprosił mnie o rękę – odpowiada Barbara. – Co więcej, poprosił też moich rodziców o zgodę na małżeństwo.

Po tradycyjnym roku narzeczeństwa pobrali się. – 12 lutego 1972 roku w Pałacu Ślubów w Warszawie. Pamiętam, bo i ja wtedy brałam ślub, o tej samej godzinie, choć w innej sali. Chyba mineliśmy się na schodach – zastanawia się Jerzy Zalega, znajomy Cimoszewiczów, przedsięwzięcia i członek SLD.

Barbara kończyła uczelnię już jako mężatka – po trzech latach administracji dwuletnie studia magisterskie na Wydziale Prawa UW.

Fot. BEATA POLATYŃSKA

Włodzimierz, działacz Związku Młodzieży Socjalistycznej, zapisał się tymczasem do partii, został potem sekretarzem komitetu uczelnianego PZPR. Od 1977 roku coraz częściej wyjeżdżał za granicę: na praktykę w ONZ w Genewie, do konsulatu polskiego w Malmö, w 1981 roku na stypendium do USA.

W tym czasie Barbara bywała zwykłą urzędniczką. Pracownikiem administracji. Przez jakiś czas w Związku Techników i Inżynierów Budowlanych, w pierwszej połowie lat 80. w Ministerstwie Szkolnictwa Wyższego – wylicza Barbara. W tamtych latach mieszkali w segmencie na warszawskiej Sadybie, który kupili za pieniądze od działków Barbary mieszkających w USA.

– Córka Małgorzata urodziła się dwa lata po ślubie, syn Tomasz pięć lat później. Zrezygnowałam z pracy, gdy w 1985 roku przenieśliśmy się z mężem z Warszawy na wieś.

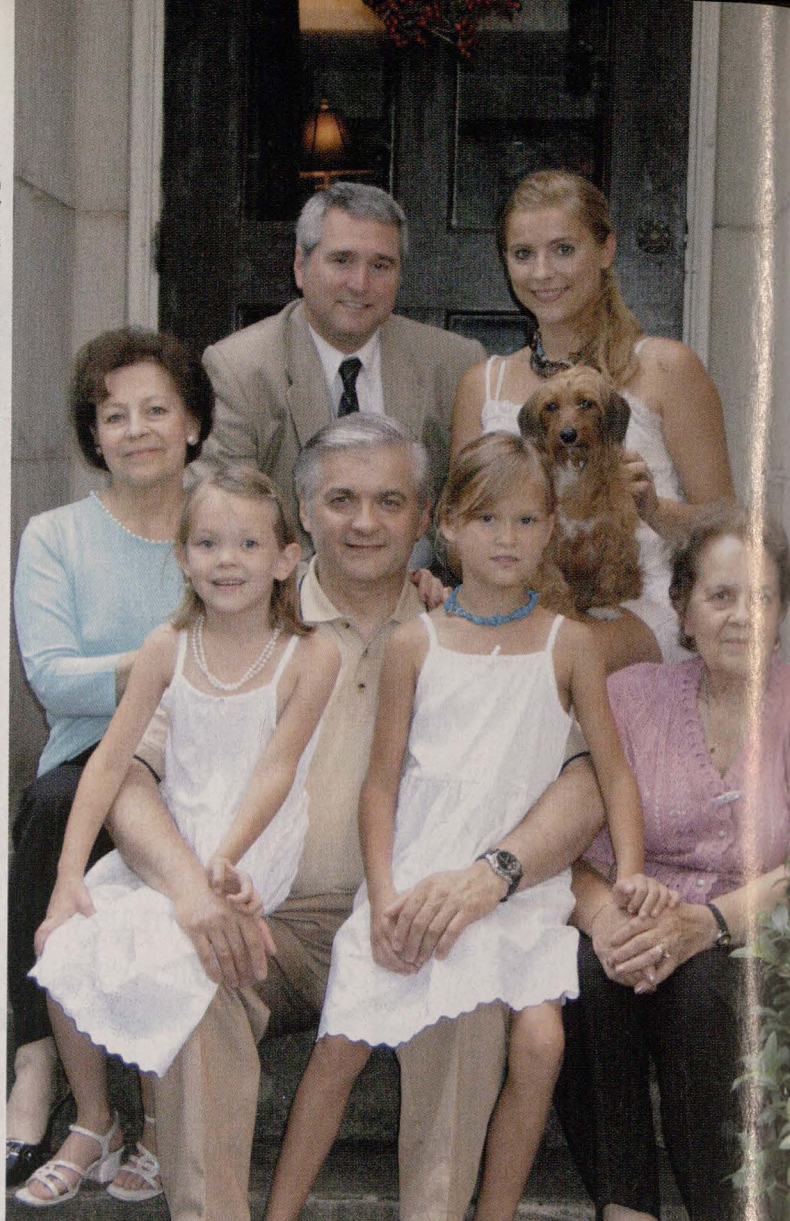
WYSOKI POZIOM KULINARNY

– Decyzja o przeprowadzce nie zapadła z dnia na dzień. Dyskutowaliśmy o niej przez kilka lat – opowiada Barbara Cimoszewicz. – Dzieci w Warszawie często chorowały – obojgu dokuwały alergie. W dodatku mąż był rozczarowany sytuacją w kraju. Ale nie wyobrażaliśmy sobie życia poza Polską. Pomyśleliśmy więc: trzeba po prostu zająć się własnymi sprawami. Proszym i spokojniejszym życiem. Przejelismy gospodarstwo moich rodziców.

Włodzimierz (doktor prawa od 1978 roku) zrezygnował z pracy na uniwersytecie, włączył w Kalinówce telewizor i został uczniem Telewizyjnego Technikum Rolniczego.

– Przystępowali do gospodarowania z wielkim rozmachem – wspomina Stanisław Czerep. – Tu jest bardzo dobra ziemia, a 20 hektarów pola Aponowiczów to dość dużo. Od razu z czterema sąsiadującymi rolnikami pan Włodzimierz kupił kombajn.

Teraz, aby rodzina Cimoszewiczów mogła się spotkać w szerszym gronie, konieczna jest podróż do Ameryki Północnej. Tu pozują przed domem Rusella Harlana i Małgorzaty Cimoszewicz-Harlan (na górze) w Karolinie Południowej. Niżej Barbara, Włodzimierz, jego matka Renata oraz adoptowane córki Harlanów, Ola i Tania. Brak syna Tomasza z żoną Jasią



To Basia powiedziała nam, że aspiryna jest dobra dla prosiąt, bo je wzmacnia. Basia jest dobra jak Matka Teresa

– Bo wtedy tylko grupa mogła kupić maszyny – tłumaczy Antoni Golecki, jeden z członków „spółdzielni”, chrestny syn Jana Aponowicza. – Cimoszewicz nie korzysta już z kombajnu, choć nadal ma w nim udział.

– Z teściem na przetargu kupili też kombajn do ziemniaków. Nikt takiego tu nie miał – dodaje doktor Czerep.

– Basia jeździła na nim jak zwykła wiejska kobieta – mówi sąsiadka Aponowiczów.

– On za kierownicą, ona ziemniaki przebieierała – precyzuje Antoni Golecki.

– Sprowadził też nową rasę świń, typowo mięsną – mówi doktor Czerep. – Ale jego pierwszą czynność w dzień to było podjechanie samochodem do sklepu i kupienie gazet.

– Czytali dużo prasy fachowej, dzielili się nowinami – potwierdza sąsiadka. – To Basia po-

wiedziała nam, że aspiryna jest dobra dla prosiąt, bo je wzmacnia. Basia jest dobra jak Matka Teresa.

Włodzimierz zajął się też ulepszeniem domu i bieżącymi naprawami.

– Był na dachu z gniazdem bocianim w ramionach, a tu ważny telefon z Warszawy. Pani Barbara była przekątnikiem: słuchała w telefonie i krzyczała, a pan Włodzimierz jej z wysokości odpowiadał. Musiał przenieść to gniazdo, bo za blokowało komin i nie można było napalić w kuchni – opowiada Stanisław Czerep.

Barbara zrobiła wtedy ogromne postępy w gotowaniu.

– Mogłaby rywalizować z Makłowiczem – ocenia nauczyciel.

– Barszczyk cały dzień potrafi gotować, bo tak trzeba – mówi sąsiadka.

– Jemu się na pewno podobało, że tak wysoki poziom kulinarny panuje w tym domu – zastanawia się Golecki.

– Wszystkiego, co powinna wiedzieć i umieć pani domu, nauczyłam się od mamy – wspomina Barbara. – Jakkolwiek nieskromnie by to zabrzmiało, nie znam nikogo, kto po zjedzeniu obiadu w moim rodzinnym domu albo po skosztowaniu wypieków mojej mamy nie byłby zachwycony.

– Bardzo dzielnie daje sobie radę, jeśli chodzi o podejmowanie gości. Bez pompy i z serdecznością. Klimat dobry dla Polski w ten sposób tworzyła. Zwłaszcza w okresie, gdy jej mąż był ministrem spraw zagranicznych. Prowadzi dom sama, bez niczyjej pomocy, łącznie z prasowaniem koszul męża – mówi Jerzy Zalega.

– Nie zdarzyło mi się ani razu kupować mężowi krawatów, koszul czy garniturów – opowiada

Barbara. – Jest we wszystkim tak okropnie samodzielny, że nie podjęłabym takiego ryzyka.

BABA U GAZDY

– Wyśkała chyba mojego syna. Jakaś weszka musiała zaplątała. Wykochała też i wytuliła moją pięcioletnią córeczkę – wspomina Barbarę Wojciech Gąsienica-Byrcyn, zastępca dyrektora do spraw dydaktyki Tatrzańskiego Parku Narodowego. Wiosną 1989 roku znajomy przysłał do niego Cimoszewicza, który chciał obejrzeć hodowlę szynszyli Gąsienicy-Byrcyna, aby potem hodować je u siebie.

– Przyjechał gazda nizinny z babą i dwojgiem dzieci. Powiedział, że ma gospodarstwo teściowej. Przeprasilem, że nie wszyscy mogą obejrzeć szynszyle. I żeby baba gazdy przypilnowała w tym czasie moje dzieci malutkie, bo żona wyjechała za granicę i byłem z nimi nieporadny – mówi Gąsienica-Byrcyn. Z gazdą Włodzimierzem (bo wtedy jego nazwiska nie zapamiętał) poszli oglądać hodowlę. – Gdy na chwilę wróciłem się napić, byłem zaskoczony: jego żona, córka i synek już pomyli garnki, wykupali dzieci. Pomyślałem więc, że wycofałem się do klatek i będę jak najdłużej mówił gazdzie o tych szynszylach.

Iskany niegdyś 25-letni dziś Kacper Gąsienica-Byrcyn kieruje teraz sekretariatem sztabu wyborczego Cimoszewicza.

Z hodowli szynszyli nic nie wyszło, bo Cimoszewicz został posłem PZPR w sejmie kontraktowym. W 1990 roku kandydował na prezydenta. Wsiąkł w politykę. Biznesem zajęła się za to Barbara. Była współwłaścicielką firmy handlującej alkoholem. – Prowadziliśmy sklep w Białymostku. To było jedyne i, niestety, niezbyt udane przedsięwzięcie gospodarcze, w jakie się zaangażowałam – wspomina teraz Barbara. – Wycofałam się, żeby więcej czasu poświęcić rodzinie.

Gospodarstwo też się skurczyło: świny zostały sprzedane, pola w 1994 roku wydzierżawione sąsiadom. W tym czasie Włodzimierz był ministrem sprawiedliwości, a od lutego 1996 do października 1997 – premierem. W 2001 roku został ministrem spraw zagranicznych. Był nim do stycznia tego roku.

UCHRONA OGNISKA

– Basia nie lubi publicznych ról – potwierdza Tomasz Nałęcz, który zna Cimoszewiczów od ponad 30 lat. – Ceni sobie spokój, rodzinny dom. Nie była entuzjastką startu męża w wyborach prezydenckich, ale pogodziła się z tym.

– Gdy Włodzimierz w 1996 roku został premierem, pojechaliśmy do Białegostoku na zakupy – wspominała w prasie przyjaciółka Barbary. – Musiałśmy kupić kilka kostiumów, kosmetyki. Wydałyśmy sześć tysięcy złotych. Basia się przeraziła, ona nigdy tyle na siebie nie wydawała. Musiała to odchorować. Po domu chodzi zawsze w dresie lub przetartych dżinsach. Dużo pali, ale kawę pije tylko rozpuszczalną, bardzo słabą, zresztą tak jak Włodek.

– Lubie swoją prywatność – mówi Barbara. – Mocno przeżywam to, co dotyczy działalności męża, ale nigdy nie czułam potrzeby samodziel-

negu zajmowania się działalnością publiczną. Gdy mąż był premierem i ministrem spraw zagranicznych, protokół dyplomatyczny często wymagał, żebym mu towarzyszyła. Musiałam opanować zasady tego protokołu. Nie było to skomplikowane. Ale żony polityków zajmujących nawet najwyższe stanowiska nie wypełniają swojego życia wyłącznie polityką. Jest miejsce na rozmowy o codziennych sprawach. O dzieciach, ostatnio o wnukach – opowiada Barbara.

– Zwróciła kiedyś moją uwagę zachowaniem wobec towarzyszącej jej tłumaczki – wspomina Nałęcz. – Traktowała ją zwyczajnie, jak własną córkę.

– Z ich dzieci Małgosia podobna jest do ojca – ocenia Stanisław Czerep, który uczył w szkole podstawowej oboje dzieci Cimoszewiczów. – Jak się jej coś nie podobało, potrafiła wstać i otwarcie to powiedzieć, skrytykować. Historia była jej pasją. Marzyła mi się jako następczyni.

Małgosia na studia prawnicze w Karolinie Południowej (USA) wyjechała wbrew woli ojca. – Pokłócili się o to strasznie – wspominała w prasie przyjaciółka rodziny. – Włodek nie dał jej pieniędzy i wszystko sfinansowała teściowa.

Tomasz zaś był przeciętnym uczniem, za to świetnie znał angielski – ojciec rozmawiał z nim po angielsku dla wprawy, gdy chodzili razem po polach.

– Po skończeniu studiów córka znalazła w Stanach pracę, a w pracy poznała męża. Pobrali się, ostatnio adoptowali dwoje dzieci. Mieszkają na południu USA w okolicy, w której nie ma Polaków. Zięć jest Amerykaninem greckiego pochodzenia. Syn mieszka wraz ze swoją niedawno poślubioną żoną w okolicach Chicago – mówi Barbara.

Ona z mężem mieszkają za to w trzech miejscach. – Mamy mieszkanie w Warszawie kupione ponad 30 lat temu. Mamy oczywiście dom w gospodarstwie w Kalinówce Kościelnej. Sporo czasu spędzamy w wynajętej leśniczówce w Puszczy Białowieskiej. We wszystkich tych miejscach są zwierzęta. Szczególnie kochamy psy, mamy ich w sumie sześć – cztery jamniki i dwie łajki syberyjskie – wylicza Barbara.

Sam Włodzimierz najlepiej czuje się w leśniczówce, która jest jego bazą do wypadów w puszcze. Żona nie chadza z nim po lesie. – Boi się kleszczy. Rodzina moich pasji nie podziela – wyjaśniał Włodzimierz prasie w 2000 roku.

– Pan Włodek cieszy się autorytetem u żony i jest w sposób naturalny głową rodziny – ocenia Jerzy Zalega. – A pani Barbara przez te lata nauczyła się część spraw brać na siebie, nie musi wszystkiego autoryzować u męża. Z podziwem obserwowałam, jak potrafi godzić wodę z ogniem. Bardzo lojalna i twarda kobieta, która chciałaby chronić ognisko domowe.

– Nie jest zahukana – przekonuje Tomasz Nałęcz. – Porównując ją do prezydentowych USA, Basia nie jest jednak Hillary Clinton. Raczej jest Laurą Bush.

PAWEŁ WIECZOREK

VIVA!

Seks
MEŹCZYŹNI
I POLITYKA
ANNA MUCHA
POKAZUJE NAM
SWÓJ ŚWIAT

PREZENT!
ORYGINALNY
MARKOWY
T-shirt

**SPECJALNIE!
DLA VIVY.**

KOSZULKĘ PROJEKTU
STYLISTÓW MARKI AUTOGRAPH
Z GALERII CENTRUM
NOSI ANIA MUCHA

WYJĄTKOWA *jakość*
BAWEŁNA 100%
DWA *wzory*
WYBIERZ SWÓJ ULUBIONY
RÓŻNE *rozmiary*
DLA KAŻDEJ FIGURY

MOŻESZ KUPIĆ VIVĘ!



Masza Gajdar w grudniu poprowadzi liberalów do walki o miejsca w moskiewskiej Dumie. Sama najlepiej czuje się na demonstracjach



Zanna Niemcowa planowała karierę modelki. Dziś córka byłego wicepremiera Rosji (na zdjęciu z ojcem) chce być deputowaną

Fot. KOMMERSANT/EAST NEWS (2)

ANTYPUTINKI

Masza Gajdar ma 24 lata, drobną figurę i dziewczęcą urodę. Jej nazwisko wśród liberalnych elit w Rosji otwiera każde drzwi. Jest córką Jegora Gajdara, człowieka, który na początku lat 90. zreformował rosyjską gospodarkę. – Postanowiłam zająć się polityką, gdy zobaczyłam blamaż liberalów na wyborach w 2003 roku i gdy posadzili Chodorkowskiego – mówi „Przekrojowi”. – Tata nie był zachwycony, ale zawsze służy mi radą.

W grudniu Masza poprowadzi liberalny Sojusz Sił Prawicy (SPS) do walki w wyborach do moskiewskiej Dumy. Ma szansę zostać jedną z najmłodszych rosyjskich deputowanych. Od kwietnia jest koordynatorem młodzieżówki Da!, kolejnego wcielenia rosyjskiej Pory. Występuje na mitingach, pikietuje posterunki milicji, a w wolnym czasie pisze doktorat z prawa podatkowego.

– Rosję trzeba ruszyć z miejsca, ludzie są pasywni, a jedyna alternatywa dla rządów Kremla, jaką widzą, ma albo czerwony, albo brunatny kolor – mówi. O dawnych rządach ojca, cara rosyjskiej gospodarki, ministra finansów i p.o. premiera w początkach rosyjskiej transformacji, zawsze mówi z uznaniem, choć zdaje sobie sprawę, że Gajdar kochany jest jedynie na salonach, w społeczeństwie zaś – znienawidzony. – Mój ojciec miał całkowitą rację, można

Energiczne córki zamiast zrezygnowanych tatusiów? Tak! Córki rosyjskich reformatorów MASZA GAJDAR i ŻANNA NIEMCOWA startują w wyborach lokalnych i rzucają pierwsze wyzwanie ekipie Władimira Putina

się spierać o poszczególne sprawy, ale reformy były koniecznością. Inaczej Rosji groził głód i anarchia. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby atomowe imperium zostało sparaliżowane – opowiada.

IDZIE MŁODOŚĆ?

21-letnia Żanna Niemcowa kandyduje z tej samej partii co Masza. Jeszcze niedawno opowiadała, że jej marzeniem jest otworzyć cukiernię w rodzinnym Niżnym Nowogrodzie albo zostać merem czarnomorskiego kurortu Soczi. Potem chciała być modelką, zrobiła sobie sesję. Starczy. – To były żarty – zapewnia. – Interesuje mnie wielka rosyjska polityka, dorastałam w samym centrum wydarzeń, zawsze chciałam spróbować swoich sił – mówi „Przekrojowi”.

Ojciec Borys Niemcow przez lata był emblematem rosyjskich liberalów. Gubernator Niżnego Nowogrodu, później wicepremier i wiceprzewodniczący Dumy Państwowej. – Gdy poinformowałam go, jakie są moje plany, zareagował bardzo spokojnie. Szanuje moją decyzję, choć chyba nie jest zachwycony – mówi Żanna. Zastrzega jednak, że tata jest liberałem, a ona ma poglądy socjaldemokratyczne.

Żanna jest dobrym oratorem, odpowiedź na dowolne pytanie zajmuje jej kilkanaście sekund.

– Drażni mnie to, co dzieje się wokół. Putin ma zapędy dyktatorskie, wolne media nie istnieją, ludzie, którzy nie zgadzają się z Kremlm, wsadza się do więzień. Jak będziemy milczeć, to nic się nie zmieni.

Żanna i Masza należą do wąskiej grupy uprzywilejowanych. To elita nowego pokolenia Rosjan. Pierwsza studiowała pół roku w Nowym Jorku, zanim przerażeni zamachem 11 września rodzice kazali jej natychmiast wracać. Poszła do MGIMO – Moskiewskiego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, gdzie tradycyjnie uczą się dzieci rosyjskiej elity. Zna biegle angielski i portugalski. Krótko pracowała w Radiu Echo Moskwy, teraz pisze pracę magisterską. Od dłuższego czasu działa w młodzieżówce SPS. – Wiem, że zawsze będą o mnie mówić: tata jej to załatwił, tata jej w tym pomógł. Chcę, by nas rozróżniano – mówi.

Masza jest bardziej wpatrzona w ojca, choć wychowywała się bez niego. Przez pierwsze lata niepodległej Rosji mieszkała z mamą i jej nowym mężem w Boliwii, potem krótko uczyla się w Anglii i Niemczech. Z podróży pozostała jej znajomość trzech języków i zachodni styl. Pracowała w rosyjskim oddziale Video International, ale gdy tylko zdobyła dyplom, trafiła do Instytutu Gospodarki Okresu Przejściowego,

którym przed laty kierował jej ojciec i gdzie na dźwięk nazwiska Gajdar każdy kłania się w pas. Dziewczyny różni temperament i aparycja. Żanna – żywa, o urodzie modelki, Masza – typ sportowy, uprawia tenis i pływanie. Nie ubiera się wyzywająco. Mówi trochę jak polityk.

NIE JESTEŚMY REWOLUCJONISTKAMI

Putin? – Putin nie jest krwawym dyktatorem i nie należy przesadzać z jego demonizowaniem. Poności natomiast całkowitą odpowiedzialność za skorumpowany aparat, który sam wyhodował – mówi. Problemy z milicją i FSB? – Będziemy ich unikać, jak to tylko możliwe. Wiele opozycyjnych organizacji prowokuje milicję, bo to je uwiarygodnia w oczach wyborców. My nie jesteśmy rewolucjonistami, chcemy legalizmu.

Wystawienie córek reformatorów zamiast ich samych rosyjska prasa potraktowała jako trik. Wybory do parlamentu Moskwy to sprawdzian przed walką o Dumę Państwową w 2007 roku. Okaze się, czy kremlowska Jedna Rosja ma już zwartych przeciwników, czy też opozycja wciąż nie może się podnieść po szoku wyborczym 2003 roku, kiedy to liberalowie wprowadzili do

na, musicie wyjść na ulice i zapobiec zamachowi stanu – mówił „mózg Kremla”, politolog Gleb Pawłowski. Sprowadzono nawet rzecznika Cerkwi prawosławnej, by pobłogosławił obóz. W obliczu sondaży, w którym 42 procent Rosjan powiedziało, że wierzy w „pomarańczową rewolucję” na ulicach Moskwy, obie strony szykują się do starcia. Młodzieżówkę Nasi ulica nazywa już od dawna „Putinjugend”, a liberalni prelegenci na konferencjach przestrzegają przed „faszyszacją” młodzieży.

Masza Gajdar uważa, że to przesada. – Nie popadajmy w paranoję, przecież nie rozdano im broni – mówi. – Jedyne, czego się obawiam, to tego, że ci ludzie zaczną kiedyś przechodzić do otwarcie faszystujących organizacji.

Gdy SPS – dawny bastion ludzi takich jak Niemcow, Gajdar, Anatolij Czubajs i Irina Chakamada – ogłosił, kogo chce wystawić w walce z merem Moskwy Jurijem Łużkowem, przeciwnicy nie bardzo wiedzieli, jak zareagować. Analizy w ich wypowiedziach było mało, raczej uzupełniali ją kpina. – Ojcowie politycy mają dodatkową motywację. Nie wystarczy im, że nakradną tyle, żeby kupić sobie fajne mieszkanie, jeszcze muszą znaleźć kontynuatorów swojego dzieła – mówił gazecie „Wiedomosti” deputowany partii Żyrinowskiego Aleksiej Mitrofanow. Moda na dzieci polityków pojawiła się po śmierci Breżniewa. W carskiej i powojennej Rosji dzieci elit politycznych robiły karierę raczej w armii.

Co ciekawe, Żyrinowski już zawniosł wyznaczyć syna Igora Lebiediewa na swojego następcę, a Nikonow chwali się na swojej stronie, że jest wnukiem Wiaczesława Mołotowa.

KONKURS RYSUNKÓW ZAMIAST WIECU

Jeżeli SPS osiągnie dobry, kilkunastoprocentowy rezultat w wyborach do moskiewskiej Dumy, opozycja ma szansę wrócić na scenę polityczną. Wówczas Maszę i Żannę może czekać wielka kariera. Są trudniejszym celem niż ich ojcowie, bo 20-latkom nie da się wytknąć przekrętów. To pierwsze pokolenie, które staje na nogi w nowej Rosji bez dawnych sowieckich przyzwyczajęń.

Ale bycie opozycjonistą w Rosji Putina wymaga nie lada nerwów. Garri Kasparow, dawny mistrz świata w szachach, od wielu miesięcy bezskutecznie próbuje organizować wiece. Place, na których miał przemawiać, nagle rozkopywano, został też zaatakowany przez „chuliganów”. Kasparow to twardy orzech do zgryzienia. Zarabiał swoje miliony, grając w szachy, więc zarzucił mu cokolwiek trudno. Maszy i Żannie można wypominać co najwyżej ojców. Rosjanie, zwłaszcza ci niechętni liberałom, kupują tę retorykę. – Wiem, że mego ojca nie wszyscy kochają, ale nie zajmowałabym się tym, co robię, gdybym nie wierzyła, że wygram – mówi Masza Gajdar. – Alternatywa jest jedna: wyjazd z Rosji. Na szczęście nigdy jej nie rozważałam.

JAKUB KUMOC



Największy planetarny elektronik
przyjeżdża zagrać dla największego
polskiego elektryka

JARRE ambicji

Jego ojciec Maurice był kompozytorem. Syn David jest magikiem. Jean-Michel Jarre jest dokładnie kimś pomiędzy.

Jego ulubiony pisarz SF (a potem przyjaciel) Arthur C. Clarke powiedział kiedyś, że odpowiednio rozwinięta technologia niczym się nie różni od magii – i dlatego pewnie Jarre w muzyce postawił na technologię. Któraś z brytyjskich gazet napisała o jednym z jego ostatnich albumów: „Rok 2000? Jarre zawsze czuł się i nadal czuje, jakby był rok 2000”. Problem w tym, że z perspektywy 1976 roku, gdy Jarre wydawał swą słynną płytę „Oxygene”, rok 2000 to była malownicza, odległa perspektywa. A teraz to już mało porywająca przeszłość.

– Jedną z rzeczy, które mnie jako artystę najbardziej zainspirowały, było wspaniałe zderzenie walca „Nad modrym Dunajem” Straussa z wido-

kiem statków kosmicznych, które pokazał Kubrick w „2001: Odysei kosmicznej”. To przenosi nas czas – stoimy jedną nogą w przeszłości, w nostalgii za XIX wiekiem, a drugą – w przyszłości – mówił Jarre, gdy miałem okazję z nim rozmawiać cztery lata temu. Miał 52 lata, a wyglądał na 32. Dziś ma 57 i nie wygląda nawet na 37. We Francji żartują, że wkrótce będzie wyglądał jak bohaterowie filmu „Star Trek”. Nie ma jednak pewności co do tego, czy musi uciekać się do operacji plastycznych, czy po prostu jest wiecznie młody z natury.

KOSMICZNE REKORDY

Jean-Michel był wybitnie uzdolnionym dzieckiem, naukę gry na instrumentach zaczął w wieku

pięciu lat, a ta zaprowadziła go do paryskiego konserwatorium i do słynnej grupy GRM Pierre'a Schaeffera, wybitnego twórcy muzyki elektroakustycznej. Komponował muzykę współczesną – ale krótko, na początku lat 70. I tu mniej więcej urwała się jego stricte muzyczna kariera, a zaczęła kariera w rozrywce, pełna niemal sportowych czynów i wpisów do Księgi rekordów Guinnessa. Nagrał dwa słynne albumy „Oxygene” i „Equinoxe” z muzyką instrumentalną, pompatyczną, graną na syntezatorach, sugerującą klimat przestrzeni kosmicznej i morskich głębin.

A potem, w 1979 roku, zorganizował pierwszy spektakl typu „światło i dźwięk” – w święto narodowe Francji zagrał na paryskim Place de la Concorde dla miliona ludzi. Później jako pierwszy

zachodni artysta po śmierci Mao Tse-tunga grał masę koncertową w Chinach. A w 1986 roku pobił swój własny rekord – na koncert w Houston na 25-lecie NASA i 150-lecie miasta przyszło 1,3 miliona osób.

Pół roku później dla skromnych 800 tysięcy Jarre grał z okazji przyjazdu Jana Pawła II do Lyonu. Na budynkach wyświetlane były twarze Wałęsy i Matki Teresy. Potem koncertował jeszcze pod wieżą Eiffa (w stulecie jej wybudowania), w nowo wybudowanej nowoczesnej dzielnicy Paryża La Defense (znów w święto 14 lipca i znów rekord: 2,5 miliona widzów), wreszcie na 850-lecie Moskwy dla 3,5 miliona ludzi (kolejny rekord), z udziałem chóru czerwonarmistów i z popisami rosyjskich lotników. A na milenijne-go sylwestra dał 12-godzinny show pod piramidami w Gizie.

Jarre planował jeszcze koncert w Meksyku związany z pełnym zaćmieniem słońca, ale statek wiozący sprzęt do budowy sceny zatonął. To nie było zresztą jego pierwsze koncertowe niepowodzenie. W Houston Francuz miał połączyć się ze znajdującym się na orbicie astronautą Ronem McNairem, który solo saksofonu miał zagrać z pokładu promu Challenger. Niestety, to wtedy prom kosmiczny wybuchł przy starcie. – Chciałem po tym wstrzymać cały projekt koncertu w Houston, ale astronauta prosił mnie, bym potraktował to właśnie jako hołd dla



Jean-Michel Jarre i Lech Wałęsa to wbrew pozorom bohaterowie tego samego pokolenia – Jarre jest młodszy od Wałęsy tylko o 5 lat

Fot. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORBIS

zmarłych pasażerów Challengera. Potem zresztą przeżyłem coś podobnego, bo w czasie koncertu w Moskwie udało nam się połączyć na żywo ze stacją Mir – mówi Jarre.

WSZYSTKO Z WYJĄTKIEM MUZYKI

Nowe stulecie otwierał Jarre koncertem na plaży w Okinawie w Japonii. W tym roku zagrał już w rocznicę urodzin Andersena w Danii, podczas obchodów, których organizację publicznie krytykowano za olbrzymie straty finansowe. A ostatni wielki show zaprezentował na otwarciu Roku Francuskiego w Chinach (w sklepach jest zresztą DVD z rejestracją jego podróży do tego kraju), tym razem bijąc rekordy liczby osób obecnych na scenie – grało łącznie ponad 400 muzyków.

W szczycie popularności w 1983 roku został rekordzistą jeszcze w jednej kategorii: nagrał i wydał w jednym egzemplarzu (!) płytę „Music For Supermarkets”, którą sprzedawał następnie na aukcji za równowartość 60 tysięcy złotych, a oryginalne taśmy zniszczył.

Nie sposób odmówić Jarre'owi orientacji. Gdy na początku lat 90. popularne były koncerty unplugged, czyli grane na akustycznych instrumentach, również on zagrał dla telewizji unplugged (choć trudno w to uwierzyć). Gdy kilka lat później popularne stały się płyty z muzyką do kawiarni i restauracji, Jarre skomponował utwory specjalnie z myślą o najbardziej ekskluzywnym paryskim VIP Barze. Kiedy nadeszła epoka remiksów, udało mu się namówić gwiazdy sceny tanecznej do zremiksowania jego starych nagrań.

Niestety, większość nagrań Francuza z ostatnich 20 lat to przeróbki starych kompozycji, nowe wersje dźwiękowe (w tym rewolucyjne – w systemie wielokanałowym – jak „Aero”) i rejestracje koncertów. Stąd krytycy konsekwentnie ignorują wszystko, co robi. I co gorsza, do fascynacji jego muzyką nie przynajmniej także wykonawcy tworzący nową falę muzyki elektronicznej. Nie lubią go muzycy Air, nie wymieniają wśród inspiracji inne gwiazdy sceny francuskiej. Matt Black, jeden z założycieli wytwórni Ninja Tune, uznaje: – Ten facet bardzo wiele zrobił dla muzyki elektronicznej, dla jej popularyzacji, organizował spektakularne imprezy. Lubię więc u Jarre'a wszystko... z wyjątkiem muzyki.

RYSA NA SZKLE

Rok temu Jarre miał prawdopodobnie inne plany w stosunku do sierpnia tego roku. Gdyby wszystko dobrze poszło, zamiast wydarzeń Sierpnia '80 w Gdańsku czekałby go w tym okresie ślub. Tyle że Isabelle Adjani, jego ukochana, nie spodziewanie oznajmiła na okładce „Paris Match”, że go rzuciła, bo ma dowody niewierności. Co więcej, Adjani wywlekła stare brudy, sugerując, że podobne zdrady małżeńskie stały się powodem depresji ekszóny Jarre'a, innej słynnej aktorki, Brytyjki Charlotte Rampling.

Natychmiast przypomniano wypowiedzi Rampling, po tym jak ta ostatecznie rozwiodła się z Jarre'em w 1995 roku, gdy wyszedł na jaw jego romans z młodszą kobietą: „Nie jest rzeczą niezwykłą, by mężczyzna albo kobieta mieli romans na boku, ale sposób, w jaki się o tym dowiedzia-

łam – z tabloidów – był poniżający”. Zaś Adjani przy okazji rozstania z Jarre'em rozpętała we francuskich mediach kampanię przeciwko tolerowaniu nad Sekwaną kochanek u żonatych Francuzów.

Po tej bolesnej aferze Jarre się odstonił – w serii wywiadów zapraszał dziennikarzy dużych gazet do swojego paryskiego mieszkania, by podawać własną wersję wydarzeń i uspokajać – mówić, że z Rampling utrzymują przyjacielskie stosunki, a z nową miłością Anne Parillaud (i ona jest aktorką, znaną choćby z „Nikity” Luca Bessonna) umawiał się już po rozstaniu z Adjani. – Nie czuję się niczego winny, bo nie byliśmy małżeństwem i nie mamy dzieci – odpowiadał dziennikarce „Liberation” we wrześniu zeszłego roku. A ta złośliwie odnotowała, że na stoliku w urządzonym „bez smaku” mieszkaniu Jarre'a leżą „Kwiaty zła” Baudelaire'a. „To zabawne – napisała. – Angielski dziennikarz z „The Independent” był tu miesiąc wcześniej i napisał, że leżała w tym samym miejscu”.

JARRE I ŻURAWIE

– Nikomu, kto chce mieć szczęście w życiu, nie radziłbym, by został artystą – opowiada dziś Jarre francuskim mediom. – Bo to ciężki kawałek chleba. Artysta może i ma różne przywileje, ale też ciągłą frustrację, bo chciałby ciągle lepiej i lepiej, a nigdy nie jest zadowolony.

Być może źródło tych ambicji to chęć dorównania ojcu, słynnemu oscarowemu twórcy muzyki filmowej, który porzucił rodzinę, gdy Jean-Michel miał pięć lat, i z synem widywał się tylko okazjonalnie. Tak czy owak nie sposób odmówić artyście słuszności, bo o ile raz czy dwa monumentalne przedsięwzięcia artystyczne robi jeszcze wrażenie, o tyle przy kolejnym razie trudno już cokolwiek zaskoczyć.

26 sierpnia do serii swoich wielkich imprez znów dołączy Polskę. Wprawdzie nie przyjedzie do Żar (choć powinien, jak żartują czasem jego fani), ale zagra w Gdańsku nową wersję „Murów” Kaczmarekowskiego i suitę inspirowaną wydarzeniami Sierpnia '80. Do jego muzyki zatańczą stocznioве dźwigi. Po raz kolejny pobije rekord – wszystko wskazuje na to, że będzie to największe przedsięwzięcie koncertowe, jakie do tej pory odbyło się w naszym kraju. Przyjedzie ponad sto tysięcy osób, a bilety (po 35 złotych) już się sprzedają. Całość będzie kosztowała sześć milionów złotych.

W Polsce opowiadają taki dowcip: „Dlaczego Robin Hood? Bo Jean-Michel Jarre!”. Ale to tylko gra słów – Jean-Michel nie jest bynajmniej szczególnie łapczywy. Sprzedał w końcu 60 milionów płyt, zarabia też na komponowaniu na zamówienie dużych firm i koncertach dla nich. Nie wziął ani złotówki za gdański koncert. Z pewnością nie jest to jednak aż takie wyrzeczenie, z powodu którego miałby iść prosto do nieba. Nieprędko odkupi bowiem grzechy megalomanii i pychy. Bo gdyby miał zamiar to zrobić, wybrałby rok koncertów w klubie dworcowym w Pcimiu Górnym lub akompaniowanie na organach chórowi kościelnemu w Głuchej Dolnej zamiast rocznicy Sierpnia.

BARTEK CHACIŃSKI

Musimy, powinniśmy, potrzeba, brrr...

W ubiegłym roku na 140 tysięcy nowych emerytów aż 120 tysięcy to ludzie, którzy nie doszli jeszcze do wieku emerytalnego

Są w życiu publicznym słowa, które sprawiają mnie o młodości. Jak chociażby pierwsze z brzegu: musimy, powinniśmy, potrzeba. Żle działają na moje samopoczucie psychiczne i fizjologiczne, najczęściej bowiem dotyczą spraw ciągnących się latami, o których się mówi, mówi, mówi... i niby robi, ale efektów nie widać.

Co nowy rząd, to nowe pomysły, i jak już są prawie gotowe i wystarczyłoby je zrealizować, wtedy przychodzą nowi, którzy najczęściej z obrzydzeniem podchodzą do wszystkiego, co nie zrodziło się w ich własnych głowach, i zabawa zaczyna się od początku. W ten sposób Polska od 1989 roku nie dorobiła się spójnego programu promocji – albo inaczej: jednolitej koncepcji marketingu narodowego – który promowałby nas w świecie, wspierał eksport i przyciągał coraz większe i większe pieniądze przekładające się na setki tysięcy miejsc pracy.

Od 2003 roku pracuje nad tym zespół pod kierunkiem pana z muszką, uznanego specja od marketingu narodowego Wally'ego Olinsa. Jest nawet hasło, które ma intrygować i zachęcać do poznania nas bliżej: „Twórcze napięcie”. Są symbole. Na razie latawiec z napisem „Polska”. Teraz szukamy produktów, które będą kojarzyły się z nami pozytywnie. Ale już urzędnicy patrzą sceptycznie na pieniądze, które trzeba by wydać, żeby zespół kontynuował prace. Chodzi o 16,5 miliona złotych. Nie jest więc wykluczone, że przyjdą nowi i dotychczasowy efekt pójdzie do kosza. I znowu czeka nas zabawa w styl: musimy, powinniśmy, potrzeba.

Tymczasem zdaniem amerykańskiej firmy McKinsey do 2008 roku na całym świecie 160 milionów (!) miejsc pracy może zostać przeniesionych do krajów, gdzie koszty pracy są niższe. Z tej liczby prawie 18 milionów związane jest z usługami. I to jest szansa dla Polski, jaka więcej może się nie powtórzyć.

Chińczyk wyprodukuję od nas taniej podkoszulek czy nawet samochód, a właściwie chyba wszystko jest w stanie wyprodukować taniej, ale na razie niewielu Chińczyków mówi w językach obcych. Trudno więc dogadać się chińskiemu księgowemu z niemieckim czy amerykańskim prezesem. To samo dotyczy Brazylijczyka, który jest nawet dobry w produkcji samolotów pasażerskich, ale językowo słaby. Rosjanie są, i owszem, groźni, ale ich uczelnie nie dają jeszcze studentom umiejętności praktycznych. My podobno

pod tym względem jesteśmy nieco lepsi. W Indiach poza nielicznymi najbardziej renomowanymi uczelniami poziom edukacji oferowany przez lwia część szkół wyższych jest niski. Na razie to w Polsce i na Węgrzech co drugi inżynier spełnia wymogi zagranicznych firm i śmiało mógłby podjąć w nich pracę. W Indiach co czwarty ma takie kwalifikacje, a w Chinach co dziesiąty. To się jednak szybko zmienia. W samych tylko Indiach zachód zainwestował w firmy usługowe 12,5 miliarda dolarów. To prawda, że są to przede wszystkim inwestycje Wielkiej Brytanii, która chętnie lokuje kapitały i pracę w byłych koloniach. Ale Amerykanie też nie stronią od zlecenia usług informatycznych temu krajowi. Z drugiej strony wcale nie tania i sześciokrotnie mniejsza Irlandia potrafiła przyciągnąć 8,6 miliarda dolarów inwestycji w firmach usługowych. Ile mamy do zrobienia w tej sprawie, pokazuje wartość projektów usługowych we wszystkich krajach Europy Środkowej i Wschodniej, która wyniosła według danych sprzed dwóch lat 600 milionów dolarów!

W Polsce od wiośny inwestorzy otwierający centra usług w strefach ekonomicznych mogą liczyć na zwolnienia podatkowe. Od przyszłego roku firmy, które będą tworzyć miejsca pracy, mają szansę na specjalne granty. Kto utworzy 250 takich miejsc, będzie mógł otrzymać po 2 tysiące euro od stanowiska, do 1000 miejsc – po 4 tysiące euro, i powyżej tysiąca – 5 tysięcy euro. I to się podobno opłaca, bo za każdym razem korzyści są wyższe od nakładów. Dopłaty mają dotyczyć inwestycji motoryzacyjnych, elektronicznych, lotniczych, biotechnologicznych, finansowo-księgowych, badawczo-rozwojowych i telemarketingu. Ale to dopiero od przyszłego roku. Obawiam się jednak, że nowi panowie, którzy dzierżyć będą władzę, mogą dojść do wniosku, że nie będzie jakiś Niemiec, Francuz, Anglik czy Amerykanin drenował nam kieszeni. A potem do programu swojego działania wpiszą zdanie: „Polsce potrzebna jest przemysłowa strategia marketingu narodowego, przyciągania inwestycji zagranicznych zarówno na poziomie lokalnym, jak i krajowym”. Tyle nowomowy. I w czasie wymyślania owej strategii usługi z miejscami pracy popłyną gdzie indziej. A mnie będzie mdliło coraz bardziej.

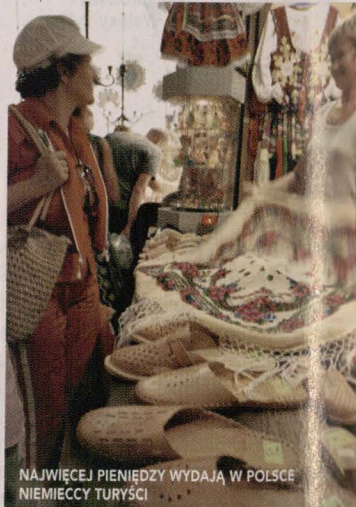
TADEUSZ A. MOSZ

AUTOR MAGAZYNU EKONOMICZNEGO
„PLUS MINUS” W TVP1

Hojny Niemiec

Rosjanin czy Ukraińiec, kiedy płaci kartą kredytową, to widać, że płaci. Przeciętnie ponad 200 euro przypada tam na jedną transakcję kartą MasterCard i Maestro.

Transakcja przeciętnego Europejczyka tymi samymi kartami w 2004 roku opiewała na 91 euro, a Polaka na 66 euro. Według raportu MasterCard spośród wszystkich obcokrajowców odwiedzających Polskę najwięcej zostawili nam Niemcy – 159 mln euro. Najbardziej powinni być zadowoleni właściciele stacji benzynowych. Wszyscy turyści odwiedzający Polskę, którzy posługiwali się MasterCard i Maestro, wydali na stacjach



NAJWIĘCEJ PIENIĘDZY WYDAJĄ W POLSCE NIEMIECCY TURYSŃCI

98 mln euro. W hotelach i motylach 43 mln, a w sklepach spożywczych 33 mln euro. Polacy podróżujący z tymi kartami zostawili za granicą 52 mln euro, z tego najwięcej w Niemczech – 9 mln, czyli 17 razy mniej niż Niemcy u nas. Natomiast z danych systemu Visa wynika, że w zeszłym roku odwiedziliśmy 153 kraje i wydaliśmy na całym świecie 159 mln dol. To oczywiście mniej, niż Niemcy wydali tylko w Polsce, posługując się dwoma rodzajami kart. Bo gdzież tam Polakowi do Niemca. No, ale będzie tym bliżej, im więcej pieniędzy pozwolimy Niemcom tu zostawiać.

INFORMACJA PODATKOWA SKŁADANIE DRUKÓW PODATKOWYCH

MIMO OBNIŻENIA STAWKI PIT DLA PROWADZĄCYCH DZIAŁALNOŚĆ GOSPODARCZĄ WPŁYW DO BUDŻETU PAŃSTWA SĄ WIĘKSZE

Mniej znaczy więcej

To nie jest żaden absurd. Chodzi oczywiście o podatki. Po wprowadzeniu możliwości obliczania się przez prowadzących działalność gospodarczą według jednej, 19-procentowej, czyli najniższej stawki PIT wpływy do budżetu państwa i samorządów w ubiegłym roku wzrosły. I to o niebagatelną kwotę 5 mld zł w stosunku do roku 2003. Obniżony podatek CIT płacony przez większe firmy dał 200 mln zł więcej niż wcześniej. Mechanizm jest prosty. Nie opłacało się już kupowanie kosztów, by obniżyć podatki. Wcześniej z wpływami do budżetu stało się podobnie po obniżeniu akcyzy na alkohol. Ale dla fiskusa nie jest to jeszcze wystarczający argument, by zaakceptować pomysły wprowadzenia jednolitej 15-procentowej stawki podatkowej PIT, CIT i VAT. Według wiceministra finansów Stanisława Stecy wpływy z PIT, i owszem, byłyby nawet większe, ale i tak dochody budżetowe by spadły, bo firmy rozliczające się według CIT płaciłyby znacznie mniej. A tak naprawdę nikt tego dobrze nie policzył. Toteż przypomina mi to argumentację w stylu: Nie, bo nie, i już!



USTAWA ANTYLICHWIARSKA OBNIŻY OPROCENTOWANIE KREDYTÓW, ALE MY TAK NIE ZYSKAMY

Z bankierem nie wygrasz

Jeśli naprawdę ktokolwiek uwierzył, że dzięki ustawie antylichwiarskiej kredyt musi być tańszy, ten jest w błędzie. Oprocentowanie kredytów, owszem, od wiosny przyszłego roku nie może przekraczać czterokrotności stopy lombardowej ustalonej przez Radę Polityki Pieniężnej, która dzisiaj

wynosi 6,25 proc., co daje 25 proc. maksymalnego oprocentowania wszelkich pożyczek. A dodatkowe koszty nie mogą przekraczać 5 proc. wartości kredytu. Są jednak sposoby, by banki wyszły na swoje. Na przykład mogą podwyższyć cenę za ustalenie zabezpieczenia kredytu albo składkę na ubezpieczenie kredytu. Bank może także nie zgodzić się na pożyczkę bez ubezpieczenia. Część banków poszuka możliwości obejścia przepisów przez udzielanie kredytów w walutach obcych, inne wprowadzą wyższe opłaty za prowadzenie kont do obsługi pożyczek. Lombardy będą musiały obniżyć oprocentowanie, ale podwyższyć mogą bez przeszkód opłaty za przechowywanie rzeczy przyniesionych w zastaw pożyczki. No to kto w tej wojence wygra? I znowu biednemu wiatr w oczy.



POLACY DAJĄ 10 PROCENT, A AMERYKANIE 25 PROCENT NAPIWKÓW

Fiskus łasy na napiwki

Ciekawe, kto zna kelnera, taksówkarza, szatniarza, fryzjera, który oficjalnie przyznał się do wysokości otrzymywanych napiwków i zapłacił od tego podatek? Ja nie znam. A rzecz jest zgodnie z literą prawa obowiązkowa. Łatwiej ustalić podatek, gdy napiwek dopisywany jest do rachunku. W naszych restauracjach takie druki pojawiają się coraz częściej, ale kelnerzy narzekają, że to się nie opłaca, bo to trzeba dzielić z szefem albo doliczać się do zarobków, albo jeszcze coś innego. I koniec końców napiwek wędruje z ręki konsumenta do ręki kelnera. Ale Polacy nie są zbyt hojni w dawaniu. Najczęściej jest to 10 proc. albo zaokrąglamy rachunek. Natomiast można powiedzieć, że Amerykanie napiwki mają we krwi. Oficjalnie dodaje się tam do rachunku nawet do 25 proc. i nikt się temu nie dziwi. I pada stereotyp człowieka Zachodu oglądającego dolara z każdej strony. Prawda ta bliższa jest według kelnerów naszym poznaniakowi, którego pod tym względem nikt nie przebiję. Nawet Szkot z Krakowa.

Podrażnienie, zmęczenie OCZU?

Różne
oczy
jeden
lek



HOMEOPTIC®

Krople do oczu.

Opakowanie zawiera 10 minimsów po 0,4 ml.

PODRAŻNIENIE, PIECZENIE,
zaczzerwienienie spojówek,
nadwrażliwość na światło, uczucie
ciała obcego pod powiekami,
suchość spojówek.

PRZEMĘCZENIE OCZU
spowodowane np.: długotrwałą
pracą przy komputerze, długą
lekturą, oglądaniem telewizji.

WYGODNA, HIGIENICZNA POSTAĆ
w jednorazowych, jałowych
pojemniczkach ułatwia wkraplanie
i przemywanie spojówek
dorosłych i dzieci.

ZAWIERA ŚWIETLIK.
BEZ ŚRODKÓW KONSERWUJĄCYCH,
może być stosowany przez alergików,
kobiety w ciąży i małe dzieci.

Produkt złożony. Przed użyciem
zapoznaj się z ulotką, która zawiera
wskazania, przeciwwskazania, dane
dotyczące działań niepożądanych
i dawkowanie oraz informacje
dotyczące stosowania produktu
leczniczego, bądź skonsultuj się
z lekarzem lub farmaceutą.

LABORATOIRES
BOIRON®

Boiron Sp. z o.o.
ul. Kubickiego 17/19
02-954 Warszawa
www.boiron.pl



Wróciła moda
na zabawę w wojnę. Gry
wirtualne osiągnęły
taki poziom realizmu,
że zafascynowani
wojaczką gracze zostają
prawdziwymi żołnierzami

PIOTR STANISŁAWSKI

NIE DAJ SIĘ OGRAĆ ARMII

Zachowanie historycznych realiów, a przynajmniej ich pozorów, jest równie ważne jak solidna zabawa – wśród graczy zapanowała moda na gry „z epoki”

Przytłaczający huk dział, rozrywających się pocisków, świst kul – żołnierz, z którym przed chwilą rozmawiałeś, nagle pada w fontannie krwi. Wokół wrzaski rannych mieszają się z krzykami dowódców. Nagle słyszysz tuż obok łomot serii pocisków – ktoś do ciebie strzela, tylko skąd?! Paść na ziemię czy lepiej pobiec i ukryć się za skrzynią? Nie ma czasu do namysłu – śmierć jest o krok.

Irak? A może „Szeregowiec Ryan”? Nie, to fragment gry „Medal of Honor: Wojna w Europie” – najnowszej edycji niesamowicie popularnego gatunku gier wojennych.

Ich popularność zaczęła się pod koniec lat 90., akurat wtedy, gdy dorastało pokolenie, które szczęśliwie ominęły klimaty nachalnej martyrologii wojennej, jaka towarzyszyła światu przez 40 lat po wojnie. Dla nich hasła „marsz na Berlin” czy „inwazja na Normandię” brzmią równie abstrakcyjnie jak „bitwa na Psim Polu” czy „oblężenie Częstochowy”. Dlatego nie mają nic prze-



Wojsko już od dawna wykorzystuje gry komputerowe zarówno do rekrutacji, jak i szkolenia żołnierzy

w rozmaite strzelanki. No i bardzo się zdziwiłem. Tu nie ma mowy o bieganiu, skakaniu i strzelaniu bez umiaru – przy takim podejściu gra błyskawicznie się kończy. Oczywiście o ile ma się cierpliwość, by ją w ogóle zacząć.

Odpalenie któregośkolwiek z tytułów historycznych gier wojennych przerywa nas w klimat starych kronik – zniszczona taśma filmowa pokazuje czarno-biały obraz lecących samolotów, jakiegoś okrętu prującego fale, biegnących żołnierzy. Słychać podniosłą muzykę, w oddali krzyki i strzały. Łatwo zapomnieć, że na taki efekt intensywnie pracują szybki procesor i nowoczesna karta graficzna.

Zanim staniemy na polu walki, czeka nas odprawa. W końcu to wojna, a nie samowolka – starannie wyznaczona misja, dowódca, podział zadań. W zorientowaniu się w sytuacji pomaga mapa z zaznaczonymi kluczowymi obiektami, położeniem znanych jednostek wroga. Ale nie można jej całkiem ufać, zdarza się bowiem, że trafiamy

ciwko zabawie w wojnę na serio – tak realistycznej, że aż trudno to wytrzymać.

ZBYT PRAWDZIWIE

Gdy pierwszy raz usiadłem do „Medal of Honor”, byłem pełen dobrych chęci. W końcu nie takie walki już przetrwałem, sporo się grywało

na nieoznaczony bunkier czy gniazdo karabinu maszynowego. Na wojnie, jak to na wojnie.

Po odprawie zaczyna się zabawa. Zabawa? Wieczór, na uszach słuchawki. Nagle ogarnia mnie zgiełk bitwy. Wiem, że mam biec za facetem z wąsami – to dowódca. Nasz cel to zajęcie tych kilku budynków na wprost. Niby łatwe, ale dlaczego wokół leży tyle trupów? No tak, dwa karabiny na piętrze. Świetna pozycja do obrony, ale wedrzeć się tam to samobójstwo. Próbuje starej, dobrej metody – ataku frontального. Może uda się ustrzelić tych od karabinu? Trzask! Obraz gaśnie, gdy osuwam się na ziemię. Gra trwała pół minuty.

To właśnie istota gier wojennych. Tu nie masz trzech żyć, a szarża na ciężki karabin maszynowy może się skończyć tylko w jeden sposób – jak w życiu. Szybko nauczyłem się dwóch zasad – kryj się i współpracuj. Tylko w ten sposób można okrążyć budynek, dostać się do strzeżonych tylnych drzwi i przebić się na piętro. To pół godziny roboty. Jeden błąd i dziękujemy. Jak na wojnie.

Po kilku godzinach gry czułem się jak po egzaminie z biochemii poprzedzonym biegiem maratońskim. Realistyczny dźwięk, poczucie osaczenia, samotne przedzieranie się przez las – to nie na moje nerwy. Jest po prostu zbyt prawdziwie, ja tak nie potrafię.

Ale dla innych to zaleta. – W grach wojennych najważniejszy jest realizm. To wrażenie bycia na polu walki – mówi Adam Prade, fan „Medal of Honor”. – Co prawda z tym też różnie bywa. Naj-



„America's Army” wciąga jak każda solidnie przygotowana strzelanka. Tyle że nieswiadomi gracze sprytnie nakłaniani są do wstąpienia do wojska

bardziej lubię pierwszą część „Medalu”, bo później twórcy odeszli nieco od realizmu na rzecz wygody grania i atrakcyjności.

WRÓG ŻYJE

Zabawa sam na sam z komputerem czy konsolą to tylko początek. Prawdziwa walka zaczyna się w sieci. Tu nie można liczyć na inteligencję komputerowego przeciwnika – walczy się u boku prawdziwych ludzi z ich wszystkimi wadami i zaletami albo przeciw nim. W Internecie mnóstwo jest serwerów pozwalających na rozgrywanie drużynowych partii „Call of Duty”, „Medal of Honor” czy „Battlefield”. Ale i tu trzeba wiedzieć, gdzie trafić.

– Zwykle, publiczne serwery pełne są ludzi, którzy nie potrafią grać – mówi Adam Prade. – Tacy nauczani na zwykłych strzelankach siedzą po kątach i tylko czekają na kogoś biegnącego, by go ustrzelić. To bez sensu.

Chodzi przecież o grę drużynową. Jedna grupa ma za zadanie obronić jakąś pozycję, druga – wedrzeć się tam, wypierając lub wybierając obrońców. Może być też wersja znanej harcerskiej zabawy w kradzież flagi – możliwości jest mnóstwo. Jeśli chce się zasmakować prawdziwej walki wśród ludzi, którym można zaufać, trzeba spróbować gry w klanach. To grupy graczy, którzy uczą się wspólnej walki, rozumieją swoje posunięcia, są skłonni powierzyć los jakiemuś dowódcy. Takie

STUDIA • SWPS • www.swps.edu.pl • STUDIA • SWPS • www.swps.edu.pl • reklama modułowa "EDU"584 21 72•



studia licencjackie i magisterskie uzupełniające

KULTUROZNAWSTWO SOCJOLOGIA

- studia przeznaczone dla absolwentów kierunków humanistycznych i społecznych
- pełny wykaz kierunków na stronie internetowej uczelni w serwisie Rekrutacja

Dyplomy magistra SWPS i MA Lancaster University w jednym dwuletnim programie studiów magisterskich uzupełniających w języku polskim i angielskim

Studia
Wiedza
Praktyka
Sukces

Szkoła Wyższa Psychologii Społecznej, ul. Chodakowska 19/31, Warszawa

www.swps.edu.pl



„Battlefield 2” – tu gracz uczestniczy w konflikcie z początku XXI wieku. Starannie odtworzono nie tylko uzbrojenie i wyposażenie armii, ale i lokacje, w jakich przyjdzie nam zmagać się z wrogiem

**W sieciowej grze
może uczestniczyć
kilkadzieсят osób.
Do wyboru są oddziały
szturmowe, inżynieryjne
czy komandos**

rozgrywki nie odbywają się na publicznych serwerach, gdzie roi się od nowicjuszy. Klany mają swoje własne serwery, których adresy są tajemnicą – tam wejść mogą tylko wybrani.

Istnieje oficjalny ranking najlepszych grup – No Name Clan, w którym gra Adam Prade, jest trzeci w Europie: 147 wygranych bitew, 124 przegrane. To jeden z największych staży w całej, liczącej niemal tysiąc pozycji drabinie.

HISTORIA I WSPÓŁCZESNOŚĆ

„Medal of Honor” czy „Call of Duty” to gry odbywające się w scenerii II wojny światowej. Cza-sem jej realia są bardzo dokładnie odtworzone. – Pierwszy epizod nowej wersji „Medal of Honor” to bardzo precyzyjnie pokazana akcja komandosów – rajd na Saint Nazaire – opowiada doktor Piotr Majewski z Wydziału Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. – To był spektakularny atak na suchy dok, do którego wykorzystano amerykański niszczyciel, taranując nim wrota. Wszystko, włącznie z wyglądem okrętu, odtworzono bardzo starannie.

Często gry wojenne traktują historię tylko jako wygodny punkt startu – w niektórych epizodach pojawiają się sytuacje, które nigdy nie mogłyby mieć miejsca. To jednak mało komu przeszkadza. Liczy się wiernie odtworzone uzbrojenie, nastroj bitwy i to, czego do tej pory w grach nie było – tro-ska o życie. Żołnierz, który pada w bitwie, co

Gra „Special Force” to zrobiona przez Hezbollah strzelanka skupiająca się na konflikcie arabsko-izraelskim



JAK WCIĄGNĄĆ W KAMASZE

„Czerpiemy już z samego dna beczki” – stwierdził generał Barry MacCaffrey po po-wrocie z Iraku. Poza granicami Stanów Zjednoczonych stacjonuje około 300 tysięcy żołnierzy USA, z czego połowa w skrajnie nie-bezpiecznym i wyczerpującym Iraku. Co kilka miesięcy trzeba ich wymieniać. Armia desperacko poszukuje rekrutów, lecz młodzi Amerykanie nie garną się do wojska. W ostatnich miesiącach braku w ochotniczym zaciągu sięgają 40 procent planów. Pentagon kusi na różne sposoby. Podwyższono wartość zachęt finansowych: jednorazowy bonus za wstąpienie do wojska waha się od kilku do 40 tysięcy dolarów, w zależności od specjalizacji i długości kontraktu. 2500 dolarów dostanie każdy żołnierz, który do wojska wciągnie kolegę. Miesięczny dodatek za służbę w trudnych warunkach wzrósł pięciokrotnie.

W Internecie łatwo znaleźć strony opiewające zalety kariery wojskowej. Można się z nich na przykład dowiedzieć, że „80 procent pracowników armii nie trafia w rejon walk” (ale nie tego, że w irackiej bazie nawet kucharz nie jest bezpieczny) albo że „wojskowi są wynagradzani równie dobrze jak sektor prywatny” (w rzeczywistości żołnierze mogą tylko marzyć o pensjach, jakie dostają najemni ochroniarze w Iraku). Część serwisów podstępnie nie ujawnia swych związków z wojskiem. Wygłaniając pozornie niewinny „test doradztwa zawodowego” i nawet jeśli się okaże, że nadajesz się na humanistę lub artystę, dostajesz propozycję „odpowiednich do zainteresowań” stanowisk w wojsku. Pentagon zatrudnił firmy marketingowe, by dowiedzieć się, jak przełamać opór młodych ludzi i ich rodziców. Podniesiono limit wieku dla rekrutów, ale podstawowy „target” to nastolatki, które nie czytają gazet i nie oglądają programów informacyjnych, gdzie codziennie mowa o zabitych żołnierzach – wyrośnięte dzieci, którym wojna wydaje się przygodą. Na przeszkodzie nie stoi już nawet przeszłość kryminalna, problemy z alkoholem czy narkotykami.

Jedną z firm bada, jak zachęcić do wojska 18–24-latków, którzy nie ukończyli szkół – w praktyce chodzi o kolorową biedotę. Podobny projekt istniał w czasach wojny wietnamskiej. Pentagon dysponuje już bazą danych 12 milionów nastolatków, potencjalnych rekrutów – poza danymi adresowymi są tam informacje o rasie i wynikach egzaminów. Organizacje rodzicielskie coraz silniej naciskają na szkoły, by nie udostępniały wojskowym łowcom głów żadnych danych.

ROBERT STEFANIK



W gry wojenne najchętniej grają ludzie młodzi, dla których II wojna światowa to zamierzchła historia. To oni są też adresatami kampanii rekrutacyjnych realizowanych za pomocą gier

ko pozory. Nad szczegółami „America’s Army” pracowali doskonali specjaliści od propagandy. Choć mówi się, że to wierny obraz służby w najwspanialszym wojsku świata, twórcy skupili się na tym, co najbardziej kręci młodych chłopaków – sprzęcie. Zadbano o szczegóły działania broni i reszty wyposażenia, zgrabnie pomijając „nieprzyjemne” aspekty walki. Umiera się tu szybko i elegancko, próżno szukać wyjąjących ludzi, którzy tarzają się we własnych wnętrznościach. Gdy grasz po stronie Ameryki, wyglądasz jak szczęśliwy model. Wrogowie dziwnym trafem mają śniadą skórę i kruczoczarne włosy.

Jednocześnie w grze umieszczono odnośnik do strony Goarmy.com – doskonałego narzędzia rekrutacyjnego, które wygląda jak przedłużenie samej gry. Badania pokazały, że na Goarmy.com trafia niemal 30 procent ludzi odwiedzających stronę American’s Army. Tu odbywa się pranie mózgu na wielką skalę: wojsko jest przedstawiane jako miejsce przyjazne i szansa na dobre wejście w życie. Po prostu sielanka.

O tym, że ten sposób świetnie działa, najlepiej świadczy popularność tej metody rekrutacji i przekonywania do własnych poglądów. Po „America’s Army” pokazało się kilkanaście podobnych, mocno zaangażowanych politycznie programów. Niedawno marynarka wojenna USA wydała „Navy Training Exercise: Strike and Retrieve”, siły lotnicze – „USAF: Air Dominance”, a dowództwo elitarnych marines – „Close Combat: First to Fight”.

Ale inni też się uczą: Hezbollah proponuje ściągnięcie gry opowiadającej własną prawdę o konflikcie arabsko-izraelskim – w „Special Force” Żydzi to wrogowie, a na okładce jest zdanie: „Bądź współtwórcą zwycięstwa. Walczy, stawiaj opór i niszcz wroga w grze siły i zwycięstwa”. Brzmi to nieco dwuznacznie.

Walka o dusze, umysły i pieniądze trwa. Łatwo nieświadomie przekroczyć granicę między śmiercią wirtualną a prawdziwą.

PIOTR STANISŁAWSKI

sluchaj audycji **PRZEKROJOWA SPRAWA**

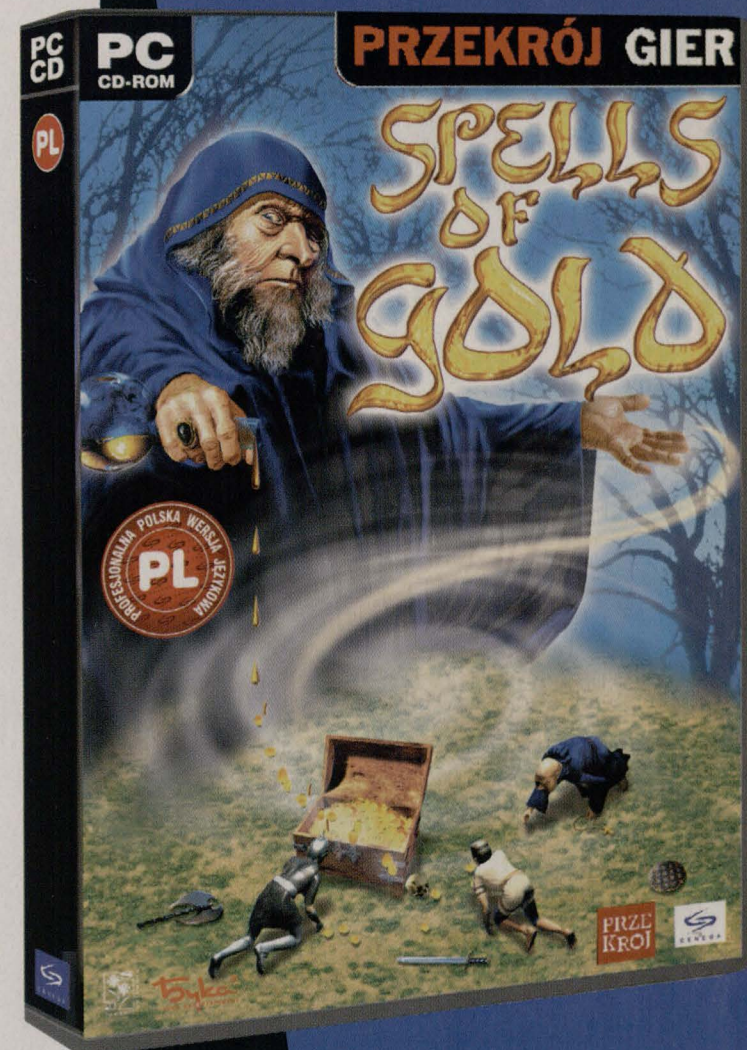
ANTY RADIO

94 FM Warszawa, 106.4 FM Katowice

W czwartek **18 sierpnia** o godzinie **21.00**
Tomek Kin zaprasza na program pod tytułem
„GRY WCIĄGAJĄ DO WOJSKA”

KOLEKCJA PRZEKRÓJ GIER

JUŻ ZA TYDZIEŃ
W „PRZEKROJU” SPECJALNY DODATEK
– GRA KOMPUTEROWA



„SPELLS OF GOLD”
„przypadnie do gustu każdemu fanowi ogromnych światów fantasy,
„charakteryzuje się wyjątkową fabułą, wspaniałe dopracowanym światem gry,
„występuje w niej duża liczba postaci i bestii!

„Przekrój” + gra w pełnej wersji
tylko **12,90 zł**

**WEŹ UDZIAŁ W KONKURSIE
I WYGRAJ JEDNĄ
Z ATRAKCYJNYCH NAGRÓD**

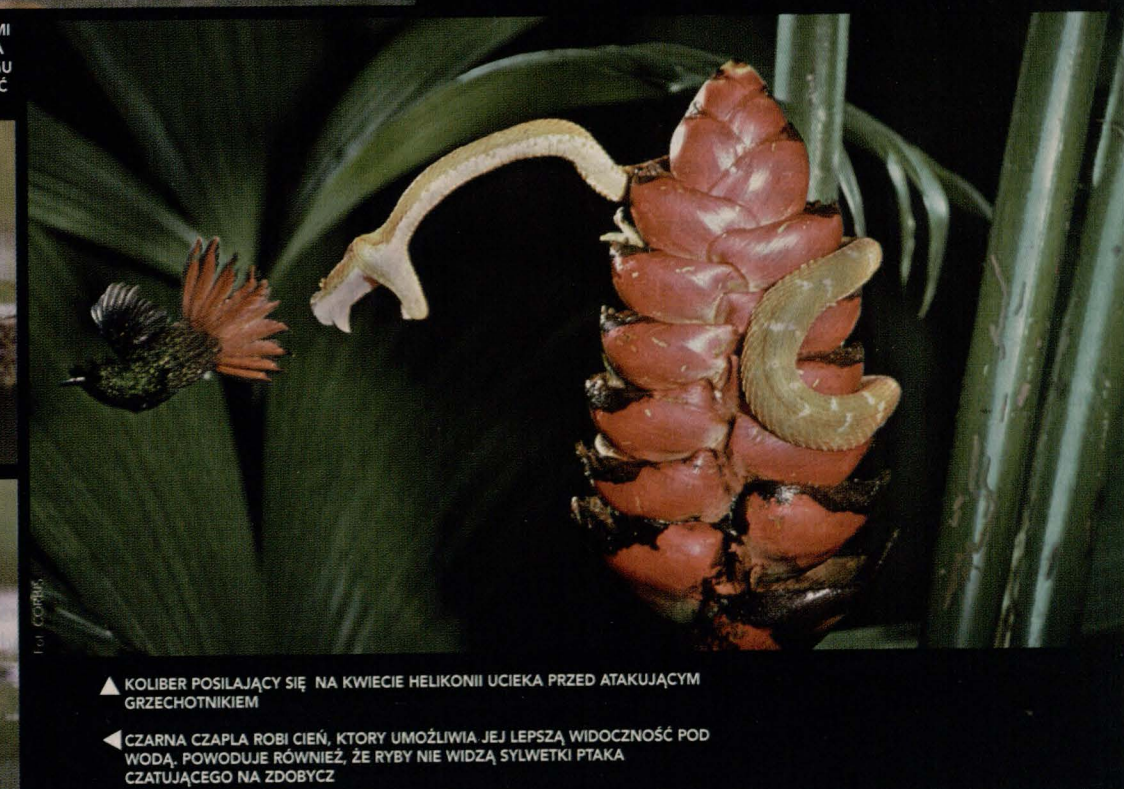
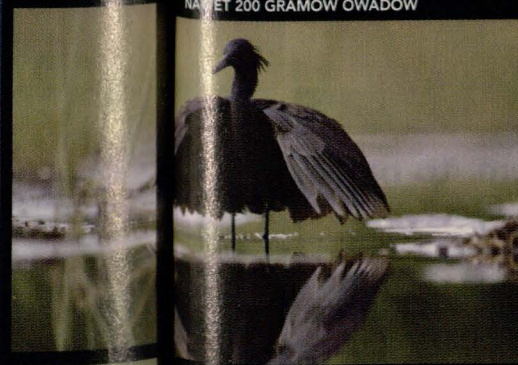
Szczegóły konkursu w „Przekroju” na s. 69 oraz na
www.przekroi.pl



ZIMORODEK WYPATRUJE OBIADU Z TAK ZWANEJ CZATOWNI. JEST TO ZWALONE DRZEWO LUB GAŁĄZ ZWIESZAJĄCA SIĘ NAD WODĄ. GDY PTAK DOJRZY RYBĘ, WZBIJA SIĘ, BY PO CHWILI ZANURKOWAĆ I JĄ POCHWYCIĆ. Z RYBĄ W DZIOMBIE WRACA DO CZATOWNI. POŁYKA OFIARĘ OD STRONY GŁOWY, BY ŁUSKI NIE STAWIAŁY OPORU

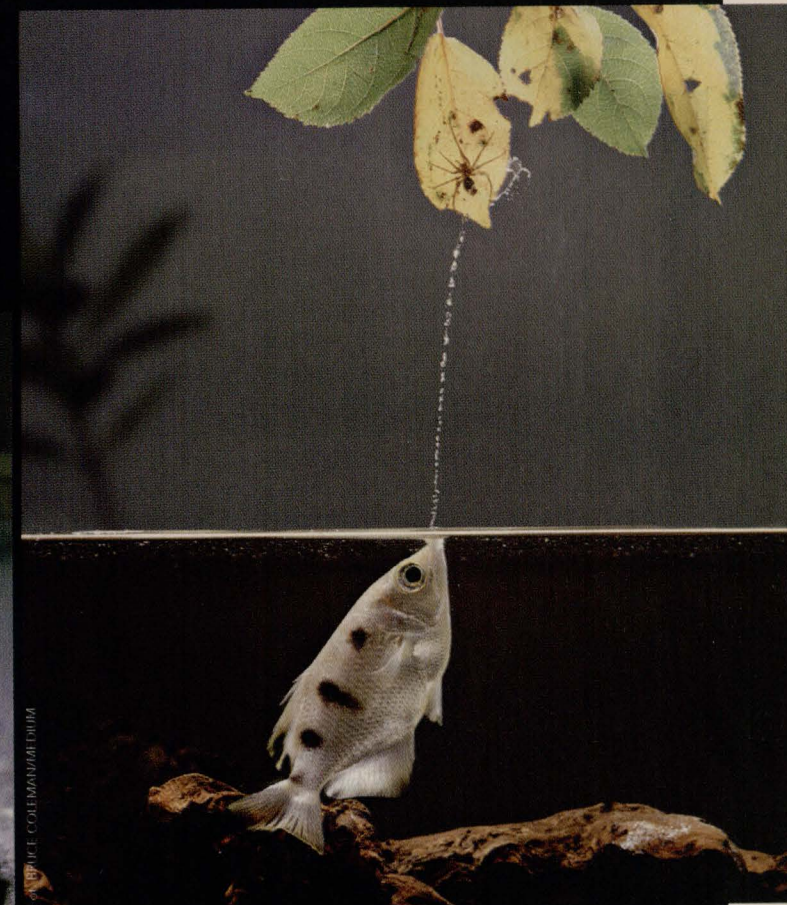


JEŻY ŻYWIĄ SIĘ OWADAMI, ŚLIMAKAMI, JAJAMI PTAKÓW, MAŁYMI SSAKAMI. MOGĄ SŁUżyć ZA NATURALNY ŚRODEK OWADOBÓJCZY. W CIĄGU JEDNEJ NOCY JEDEN JEŻ JEST W STANIE ZJEŚĆ NAWET 200 GRAMÓW OWADÓW



▲ KOLIBER POSILAJĄCY SIĘ NA KWIECIE HELIKONII UCIEKA PRZED ATAKUJĄCYM GRZECHOTNIKIEM

◀ CZARNA CZAPŁA ROBI CIEN, KTÓRY UMOŻLIWIA JEJ LEPSZĄ WIDOCZNOŚĆ POD WODĄ. POWODUJE RÓWNIEŻ, ŻE RYBY NIE WIDZĄ SYLWETKI PTAKA CZATUJĄCEGO NA ZDOBYCZ



▲ INDONEZYJSKI PRYSKACZ NIE LICZY NA TO, ŻE GAPOWATY PAJĄK SAM WPADNIE MU DO PYSZCZKA. STRĄCA GO DO WODY CELNYM „SPLUNIĘCIEM”

życie plażowe

Dla nowoczesnego świata plaże odkryto dopiero w drugiej połowie XIX wieku. Wtedy właśnie wpadliśmy na pomysł, że brodenie w wodzie, skakanie przez fale i leżenie na piasku może stać się udziałem nie tylko rybaków i przedstawicieli fauny morskiej, ale także mas ludzkich zawodowo z morzem niezwiązanych.

W owym to czasie wraz z tłumami wczasowiczów na te piaszczyste (żwirowe lub kamieniste) skrawki lądu dotarli także naukowcy. Jednak nudząc się rozrywkami tłuszczy, zapragnęli wkrótce zapłodnić swój wyjałowiony wakacyjnym lenistwem umysł jakąś intelektualną aktywnością. A że trudno było jeszcze o podręczne wydania zbiorów krzyżówek i szarad, badacze zajęli się sobą, tak jak umieli najlepiej. Zaczęli badać. W ten sposób z plaż wypączkowała wiedza, która z czasem zaczęła wymagać ujęcia w studia, opracowania, katedry i specjalizacje.

Kto jednak dziś, rozkładając się leniwie na kocyku, myśli o tym, że tuż obok, w sąsiednim grządku jakiś „plażolog” może w pocie czoła zgłębiać tajemnice nadmorskich przestrzeni? Dość ignorancji! Poznajmy plażę. Jesteśmy to winni choćby żonom naukowców. Za te wszystkie zmarłowane urlopy nad morzem.

Socjolog na kocyku

Można się obrazić. Ale można wspomóc męża, licząc, że im prędzej upora się z zadaniem, tym szybciej położy się na leżaku. Z takiego założenia wyszła Nancy Jordan-Edney, która w 1973 roku towarzyszyła mężowi Julianowi Edneyowi, socjologowi z University of Arizona, w badaniach prowadzonych na amerykańskich plażach.

Postanowił on sprawdzić, czy za wyborem miejsca do rozłożenia się na piasku stoją jakieś reguły, czy też jest to sprawa czystego przypadku. Jakże się zdziwił, gdy odkrył, że w tej z pozoru banalnej czynności realizują się głęboko w nas zakorzenione instynkty terytorialne. Swoje obserwacje państwo Edney zawarli w raporcie pod tytułem „Territorial Spacing on Beaches”. Wynikało z nich na przykład, że w większych grupach plażowiczów na osobę przypada mniej miejsca niż w parach. Mężczyźni zajmują więcej przestrzeni niż kobiety i bardziej się denerwują, gdy ktoś wkracza na ich terytorium (choćby przeskakując ich ręcznik), zwłaszcza gdy robi to inny mężczyzna.

Ludzkie zachowania niewiele się tu różniły od zwyczajów zwierząt – na przykład wylegującego się na plaży stada fok.

Badania Edneyów szybko doczekały się kontynuacji. Siedem lat później inny Amerykanin, Howard W. Smith z University of Saint Louis, pojechał do Europy, gdzie spędzał czas na plażach niemieckich i francuskich. Zajmował się pomiarem odległości między plażowiczami. Jego raport „Territorial Spacing on a Beach Revisited: a Cross-national Exploration” ukazał się w piśmie „Social Psychology Quarterly”. Co z niego wynikało? „Samotni Niemcy – pisał Smith – mają terytorium o kształcie bardziej

okrągłym niż samotni Francuzi. Niemcy także dużo bardziej restrykcyjnie ograniczają swoją przestrzeń, zamykając ją na przykład piaskowymi budowlami”.

Z kolejnych badań socjologicznych, które posyłały się potem jak grzyby po deszczu, możemy się na przykład dowiedzieć, że Niemcy są na plaży znacznie bardziej społeczni od Skandynawów i chętniej skupiają się w grupy. Polacy pod tym względem przypominają raczej Niemców niż swych północnych sąsiadów.



Fot. GETTY IMAGES/FPM

PLAŻOLOGIA

Kiedy ktoś jest naukowcem, to nawet na plaży szuka wielkich odkryć. Czasem znajduje, a czasem buduje teorie warte tyle, co zamek z piasku

Z badań socjologów wynika, że ze wszystkich mieszkańców Europy Skandynawowie potrzebują na plaży najwięcej miejsca na jednego człowieka



Piasek pod mikroskopem elektronowym

Fot. SPL/EAST NEWS

we. Obserwacje wskazują, że najwięcej osobników tego gatunku koncentruje się w promieniu 200 metrów od najbliższego zejścia na plażę”.

Te jednak spostrzeżenia biologowie czynią mimochodem i niejako niechcący, skupiając się głównie na studiowaniu organizmów stale zamieszkujących plażę, a do tych człowiek zalicza się raczej sporadycznie. Mieszkają tu za to setki mikroorganizmów, glonów, owadów, ptaków, ssaków i ryb. Dla tych istot obecność człowieka o tyle ma znaczenie, że zostawia on sporo jadalnych resztek i depcząc piasek, miele stopami szczątki organiczne, przez co stają się one lepiej przyswajalne – przede wszystkim dla mikroorganizmów.

Orzęski i wieloszczety

Tych ostatnich zaś w jednym kilogramie piasku może być nawet jeden gram. Reprezentowane są przez co najmniej kilkaset szczepów i gatunków.

Z badań przeprowadzonych przez Instytut Oceanografii PAN na sopockiej plaży wynika, że na każdym metrze kwadratowym strefy zalewanej przez fale mikroorganizmy zużywają średnio 15 kilogramów materii organicznej rocznie.

O klasę większe od bakterii są glony. W wilgotnej warstwie piasku, do której dociera słońce (do głębokości około centymetra), występują okrzemki – grupa glonów o twardych, pięknych pancerzykach. To świetni testerzy stanu środowiska.

Mikroorganizmy zwierzęce na plaży to przede wszystkim orzęski – około 40 gatunków miniaturowych drapieżników, padlinożerców i roślinożerców. W jednym centymetrze sześciennym mokrego piasku mieszka około tysiąca orzęsków.

Do większych plażowych zwierzątek zamieszkujących warstwę 10 centymetrów piasku należą nicienie. Od nicieni większa jest tak zwana makrofauna – czyli małe skorupiaki, wieloszczety czy małże. Obok nich

spotkać możemy owady, których na plaży jest blisko kilkaset gatunków. O ptakach i ssakach nie ma co wspominać, bo nie trzeba być naukowcem, by dostrzec je gołym okiem.

Jak więc widać z tego krótkiego przeglądu, zoolog będzie miał pełne ręce roboty. Botanicy powinni wybrać sobie raczej jakiś inny rejon turystyczny. Plażowa flora bowiem to niewielkie środowisko składające się głównie z przedstawicieli kilku naprawdę zdesperowanych gatunków traw.

Pośród pozostałych specjalności naukowych na plaży możemy napotkać jeszcze geologów, hydrologów, chemików. O ich działalności z braku miejsca nie będę się rozpisywać, pozostała mi bo-

wiem jeszcze grupa naukowców, o których chciałabym wspomnieć szczególnie ciepło. To ci, którzy z różnych przyczyn nie mogą spędzać czasu na wybrzeżu. Wielu z nich postanowiło zrekompensować sobie tę niedogodność, zabierając trochę piasku do swoich laboratoriów. Co z tego wynikało?

Wiek piasku

Naukowcy z holenderskiego uniwersytetu w Groningen opracowali technikę pozwalającą oszacować, jak długo ziarna piasku były wystawione na działanie światła słonecznego. Zawarty w ziarnach piachu krzemian cynku zmienia nieco strukturę pod wpływem ciepła. Opisanie tych zmian pozwala więc ocenić czas, przez jaki słońce naświetlało piasek. W ten sposób można datować jego wiek nawet do stu tysięcy lat wstecz z dokładnością do jednego roku. Po co nam ta wiedza? Przyda się paleontologom szukającym na plażach prehistorycznych szczątków i policji odnajdującej tam szczątki zupełnie doczesne.

Pomocą w rozwiązywaniu zagadek kryminalnych mogą być także piaskowe odkrycia innych naukowców z Holandii. Nawiewali oni strumieniem powietrza bardzo drobny piasek w zbiorniku. Następnie pozwolili piaskowi osiąść. Potem położyli na nim piłeczkę o średnicy 4 centymetrów. I co? W ciągu kilku sekund zapadła się na głębokość odpowiadającą ponad pięciu swoim średnicom. Prowadzący doświadczenie opisali to odkrycie w fachowym piśmie „Nature”. „Do podobnych sytuacji może dochodzić też w naturze – pisali – w procesie osadzania się suchego, bardzo drobnego piasku nawiewanego przez wiatr. W świetle naszych badań wiarygodności nabierają historie mówiące o nagłych zniknięciach na pustyni wędrowców lub wręcz całych karawan”.

Badania inspirowane plażą i piaskiem prowadzą naukowcy na całym świecie. Nawet w krajach, które plaż nie mają. Fizycy materiałowi tworzący z piasku nowoczesne tworzywa, fizycy teoretycy opisujący zachowania cząsteczek przesypującego się piasku, specjaliści od modelowania matematycznego, inżynierowie. Badacze z uniwersytetu hawajskiego wyliczyli kiedyś, ile ziaren piasku znajduje się na plażach świata. W przybliżeniu wyszło im 7500 000 000 000 000 000. Wygląda więc na to, że w najbliższym czasie miejsc pracy plażologom nie zabraknie.

MGR OLGA WOŹNIAK

O BADANIACH POLSKICH „PLAŻOLOGÓW” DOWIESZ SIĘ WIĘCEJ Z KSIĄŻKI „PLAŻA – PRZEWODNIK UŻYTKOWNIKA” POD REDAKCJĄ NAUKOWCÓW Z INSTYTUTU OCEANOLOGII PAN

ŚWIATŁA NIE? BEZPIECZNE

Obowiązek włączania za dnia świateł może sprawić, że kierowcy będą bezpieczniejsi, ale kosztem pieszych i rowerzystów

Toczy się zażarta walka o bezpieczeństwo kierowców i pieszych. Nie chodzi jednak o kolejne udoskonalenia poduszek powietrznych czy skrócenie drogi hamowania. Sprawa, choć dużo prostsza, budzi znacznie więcej emocji. Chodzi o światła, a dokładniej – o obowiązek ich zapalania w ciągu dnia.

Wydawać się może, że sprawa jest oczywista – im lepiej oświetlony samochód, tym bezpieczniej. Każdy kierowca niezależnie od obowiązujących przepisów dla własnego dobra powinien jeździć cały czas z włączonymi światłami. Czy rzeczywiście?

Zupełnie innego zdania są działacze ruchu DaDRL – Drivers against Daytime Running Lights. Najaktywniej działają w Wielkiej Brytanii, która dopiero przysięga się do wprowadzenia obowiązku używania dziennych świateł. DaDRL liczy w tej chwili trzy tysiące oficjalnych członków, ma jednak mnóstwo cichych zwolenników.

Mózg wybiera

Podstawowy problem powstający przy stosowaniu dziennych świateł to zdaniem organizacji przeniesienie niebezpieczeństwa na najbardziej zagrożonych użytkowników drogi. Chodzi o pieszych i rowerzystów. Wbrew pozorom ten zarzut ma sens. Gdy kierowca prowadzący samochód otoczony jest powodzią świateł z innych pojazdów, jego mózg zaczyna działać wybiórczo – za- uważa na jezdni głównie te obiekty, które są

oświetlone. Podobne zjawisko możemy zaobserwować, gdy na przykład w pokoju pełnym porzucanych ubrań chcemy znaleźć zieloną bluzkę. Nasze postrzeganie przełącza się wówczas na tryb wyszukiwania zieleni – pomijamy czerwone, niebieskie i pomarańczowe rzeczy, a do naszej świadomości docierają tylko te w pożądanym kolorze.

Podobnie dzieje się na drodze. Gdy najwięcej jest tam obiektów świecących, zaczynamy podświadomie lekceważyć te, które nie mają własnych świateł. To przede wszystkim piesi – na przykład ludzie przechodzący przez jezdnię tam, gdzie nie ma świateł. Te wyspy ciemności w powodzi świateł odbieramy jako nieistotne. Problem jest najpoważniejszy po zmroku, ale za dnia również występuje. Tyle że jadąc w ciemności, spodziewamy się takich problemów, a za dnia mało kto zdaje sobie z nich sprawę.

Piesi (zwłaszcza ci, którzy nigdy nie siedzieli za kierownicą) mają jeszcze jeden problem – chodzi o ocenę własnej widoczności. Zakładają, że skoro sami widzą, to są również widoczni dla innych. To znowu przeniesienie na drogę schematów sprawdzających się w innych sytuacjach. Jeste-

śmy przyzwyczajeni do interakcji z innymi ludźmi – w normalnych warunkach założenie „ja widzę – mnie widzą” sprawdza się niemal zawsze. Tymczasem samochód z zapalonymi światłami zupełnie nie wpisuje się w ten schemat – sam jest doskonale widoczny, jednak jego kierowca niekoniecznie dostrzega ubranego na ciemno człowieka, który stoi na poboczu drogi.

Podobnie postrzegani są rowerzyści – nawet wyposażenie ich pojazdu w obowiązkowe oświetlenie nie poprawia zbytnio sytuacji, bo stosunkowo słabe lampki giną wśród świateł samochodów.

Dlatego właśnie wśród organizacji popierających DaDRL są głównie te zrzeszające pieszych, rowerzystów i motocyklistów. Wszystkie mówią o tym samym: wprowadzenie obowiązku jazdy na światłach w ciągu dnia jest niebezpieczne, jeśli nie zostanie połączone z kampanią uświadamiającą pieszych i rowerzystów, jakie grozi im niebezpieczeństwo.

A co mówią badania bezpieczeństwa ruchu drogowego? Pierwszym krajem, który wprowadził obowiązek używania świateł dziennych, była Finlandia – przepis ten obowiązuje tam od zimy

1972 roku. Dziś w samej Europie dzienne światła trzeba włączać w niemal 20 krajach – w niektórych stale, w innych w pewnych okresach. Na świecie takie przepisy przyjęła między innymi Kanada, a Stany Zjednoczone zamierzają wkrótce się do nich dostosować. Również Unia Europejska coraz poważniej myśli o obowiązkowych światłach.

Komisja Europejska zleciła przeprowadzenie badań bezpieczeństwa związanego ze stosowaniem świateł dziennych. Wyniki wydają się jednoznaczne – liczba wypadków zdarzających się za dnia w krajach, gdzie światła są obowiązkowe, spadła od 5 do 23 procent. To wielka różnica. – Dla porównania: wprowadzenie obowiązkowego zapinania pasów zmniejszyło liczbę wypadków śmiertelnych zaledwie o 7 procent.

Są jednak głosy sprzeciwu. Stephen Prower, były specjalista z Brytyjskiej Federacji Motocyklistów, twierdzi, że owe 23 procent to fikcja. Jego zdaniem takie wyniki można uzyskać, manipulując danymi statystycznymi – między innymi nie analizując rzeczywistych przyczyn wypadków, a jedynie wrzucając wszystkie takie zdarzenia do jednego wora. Jego zdaniem faktyczny wpływ włączania świateł to najwyżej 8-procentowa poprawa bezpieczeństwa jazdy samochodem – bez uwzględnienia wypadków z udziałem pieszych i rowerzystów.

Świeci i śmierdzi

DaDRL podnosi jeszcze jedną kwestię – ochronę środowiska. Ich zdaniem w samej tylko Wielkiej Brytanii wprowadzenie obowiązku jazdy na światłach za dnia spowoduje emisję dodatkowych 1,8 miliona ton dwutlenku węgla każdego roku. To efekt świecenia silnych, przeszło 50-watowych żarówek, jakie montuje się seryjnie w większości samochodów. Większe zużycie prądu oznacza bowiem intensywniejszą pracę silnika i więcej spalin. Trudno się z tym nie zgodzić, choć badania pokazują, że przez dzienne światła zużycie paliwa rośnie tylko o półtora procent. Dla porównania: niedopompowane opony dają dwa razy większe straty.

Ponieważ wygląda na to, że niezależnie od stanowiska DaDRL światła dzienne staną się i tak obowiązkowe, organizacja ostatnio stała się mniej radykalna i próbuje walczyć nie o to, „czy”, ale „jak” będziemy świecić. Chodzi przede wszystkim o to, by nie oślepić i nie zatruwać. Oba problemy rozwiązałyby powszechne wprowadzenie specjalnych świateł dziennych, innych niż te, których używamy w nocy. Najciekawiej wygląda pomysł stosowania świateł opartych na diodach. Są one bardzo oszczędne (wzrost zużycia paliwa to około 0,3 procent), dają łagodne światło i praktycznie nigdy się nie przepalają. Takie rozwiązanie wprowadziła już firma Audi w swoim modelu A8 – zintegrowano tam klasyczne światła pozycyjne z diodowymi dziennymi.

Zatem świecić czy nie świecić? Wygląda na to, że mimo krzyku podniesionego przez DaDRL jednak świecić, jednocześnie pamiętając, że nie wszystko, co żywe, ma własne reflektory.

PIOTR STANISŁAWSKI

Podyskutuj o tym artykule w wp.pl w serwisie www.media.wp.pl

DOM & WNĘTRZE
poleca wydanie specjalne

AŻ 100 STRON!

najlepsze projekty

DOM DOKONAŁY

WYDANIE SPECJALNE DOM & WNĘTRZE WYZNACZAMY TRENDY




100 sprawdzonych pracowni architektonicznych

jak i z czego budować
nowe i tradycyjne technologie • najmodniejsze materiały

ile to kosztuje przybliżone koszty budowy




**ORYGINALNE
PROJEKTY
DOMÓW
JEDNORODZINNYCH.**

**WYBIERZ NAJLEPSZY
DLA SIEBIE**

już w sprzedaży



ADVANCED TASER M26, KTÓRY ZNAJDUJE SIĘ W WYPOSAŻENIU POLICJI BRYTYJSKIEJ

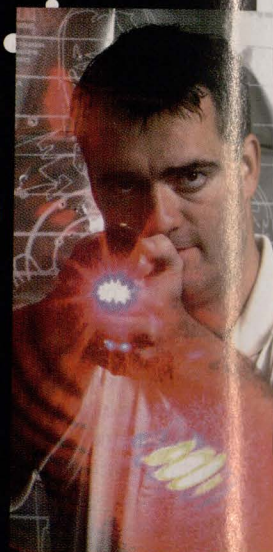
Blokada chroniąca przed przypadkowym wystrzałem

W kolbie ukryte jest osiem baterii paluszków oraz moduł pamięci, który zapisuje dokładny czas wystrzału. To ochrona przed nielegalnym użyciem, na przykład do wymuszania zeznań

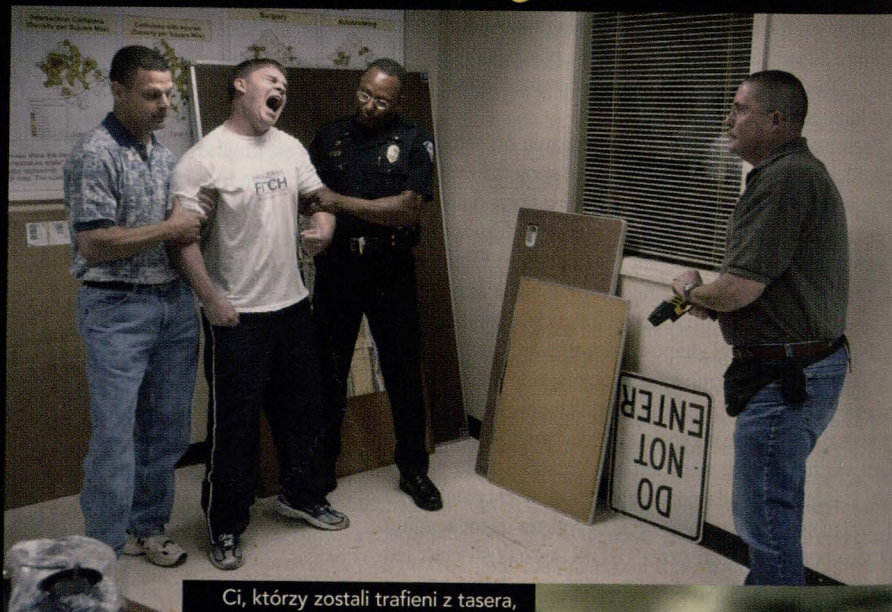
Laser umożliwia precyzyjne celowanie bez konieczności przykładania broni do oka

Sprężony azot wyrzuca rozrzuca porcję konfetti, na którym nadrukowany jest numer seryjny. Dzięki temu zostaje ślad użycia broni

865299



POD PRĄD



Ci, którzy zostali trafieni z tasera, mówią o bardzo silnym bólu wszystkich mięśni i bezwładzie całego ciała. Trafiony zazwyczaj przewraca się na ziemię i zwiją w pozycję embrionalną

PRĄD NA ODLEGŁOŚĆ

Taser wystrzeliwuje w kierunku atakowanego dwie elektrody na długich kablach, które wbijają się w ubranie lub ciało i przewodzą prąd generowany w urządzeniu trzymanym przez policjanta. W ten sposób można obezwładnić człowieka z odległości siedmiu metrów.

Trwają prace nad stworzeniem paralizatorów elektrycznych, które mogłyby działać z odległości kilkudziesięciu metrów i byłyby przydatne na przykład przy tłumieniu zamieszek lub ochronie imprez masowych. Zamiast ciągnąć za sobą kable, taki elektryczny pocisk sam musi wytwarzać prąd. W urządzeniu zwanym Piezerem impuls powstaje w momencie zgniecenia kryształów umieszczonych wewnątrz. Wystrzeliwany ze strzelby pocisk ma zasięg 50 metrów i na tyle małą prędkość, by jego uderzenie nie powodowało obrażeń. Inny pomysł to pociski z miniaturowymi bateriami, które wystarczają na jeden bardzo silny impuls.



Już w księgarniach!

Letni moduł

Zamów moduł reklamowy, czarno-biały, kolorowy. Moduł zamów jeszcze latem, a otrzymasz go z rabatem ;)

Grażyna Janiak

(0-22) 584 21 72

grazyna.janiak@edipresse.pl

**PRO
MEN**
PŁODNOŚĆ / WITALNOŚĆ

PROMEN NA RATUNEK MĘŻCZYZNOM

SUPLEMENT DLA MĘŻCZYZN

Tymofarm, polska firma farmaceutyczna, przygotowała PROMEN – nowoczesny preparat suplementacyjny o składzie dostosowanym do specyfiki męskiego organizmu i trybu życia. PROMEN uzupełnia niedobory witamin i mikroelementów, stymulujących męską energię, witalność i płodność.

TRYSKAJ ZDROWIEM

PROMEN zalecany jest szczególnie dla mężczyzn przepracowanych, przemęczonych, prowadzących wyczerpujący tryb życia, aktywnych seksualnie. Konieczny w stanach przewlekłego zmęczenia i stresu. PROMEN jest niezbędnym elementem diety dla przyszłych ojców.

MĘSKIE PIERWIASTKI

Działanie PROMENU jest sumą działań jego poszczególnych składników, które zawarte są w specjalnej, dwufazowej formule.

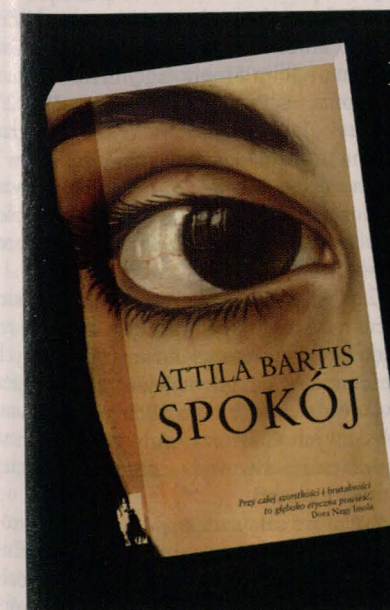
PROMEN – działanie składników	FAZA I			FAZA II	
	Żeń-szeń syberyjski	WIT. B 12	CYNK	OMEGA-3	SELEN WIT. E
płodność i potencja	+	+	+		+
dobra forma fizyczna	+	+		+	
detoksykacja organizmu			+	+	+
energia i witalność	+	+			
sprawność intelektualna, odporność na stres	+	+	+	+	
zapobieganie wypadaniu włosów			+	+	

Jedno opakowanie to 6-tygodniowa kuracja.

www.promen.pl

Do nabycia: w dobrych aptekach, przez internet
www.tymofarm.pl/sklep lub tel. (0 22) 646 02 38

TYMOFARM



Bartis z niezwykłą subtelnością wnika w skomplikowane relacje uczuciowe, pokazując, jakie są następstwa choroby lekceważąco nazywanej zaborczością.

Patroni medialni:

PRZE
KROJ

Pierwsze Radio Informacyjne
TOK

onet.pl
poleca

www.wab.com.pl

Twój drugi dom nad morzem

DOMY NA SPRZEDAŻ
w Łukęcinie k. Pobierowa
na zamkniętym, całorocznie
dozorowanym osiedlu
gotowe do zamieszkania,
własność notarialna

(091) 381 26 88
(091) 0695 236 400
(091) 0695 236 405
(091) 0695 236 417

www.DomyNadMorzem.pl

„Przekrój” wydaje polecenia kulturalne

KOSZMAR TEGO LATA

Horror znów ożył. Czy to tylko sezonowa moda, czy prawdziwe odrodzenie podupadłego gatunku?

Lato w kinach było dotąd domeną mniej lub bardziej wyrafinowanych komedii. Tym razem jednak nie ma się z czego śmiać: „Gra wstępna”, „Amityville”, „Dark Water – Fatum”, „Dom Woskowych Ciał”, „Ziemia żywych trupów” – oto jak wygląda letni repertuar, który lada moment powiększy się o kolejne filmy o znaczących tytułach: „Bękarty diabła” i „Klucz do koszmaru”.

Wystarczy jednak spojrzeć na to z innej strony, by stwierdzić, że wakacyjny wysyp horrorów wcale nie jest niczym dziwnym. W końcu lipiec i sierpień to w Japonii miesiące O-Bon, poświęcone pamięci zmarłych. A komu, jeśli nie Japończykom, zawdzięczamy obecną modę na horrory?

ODCINANIE KUPONÓW

Wszystko zaczęło się od „Kręgu” („Ringu”) Hideo Nakaty, który przyniósł największe zyski w dziejach japońskiego kina grozy i którego sława szybko przekroczyła granice Kraju Kwitnącej Wiśni. „Krag” stał się filmem kultowym i w Europie, i w USA, od niego też zaczęło się wzmożone zainteresowanie tym, co się dzieje w azjatyckim kinie grozy. Po Nakacie Zachód odkrył ko-

lejných reżyserów: Takeshiego Shimizu („Kłątwa”) czy Takeshiego Miike („Gra wstępna”), a po nich twórców z Korei Południowej, Tajlandii, Hongkongu.

Horror azjatycki przyniósł nam to, co zatraciło kino zachodnie: aurę surrealizmu, umiejętne budowanie atmosfery niepokoju prostymi środkami, bez sięgania po efekty specjalne i krwawą dosłowność. Ale wschodnie kino grozy nie tylko wniosło powiew świeżości do zatęchłego zachodniego światka horroru niezmiernie rzadko tworzącego dzieła na miarę „Szóstego zmysłu” i „Znaków” M. Night Shyamalana czy „Innych” i „Otwórz oczy” Alejandra Amenabara. Przypomniało również amerykańskim producentom, że na horrorach doskonale się zarabia.

Tak się zaczęło odcinanie kuponów od popularności filmów z Azji (przez tworzenie ich amerykańskich wersji) i od własnych sukcesów z przeszłości.

MISTRZOWIE WSTAJĄ Z GROBU

Tak naprawdę jesteśmy przed kulminacją nowej mody na horrory – potężna fala kolejnych filmów dopiero zaleje amerykańskie, a po nich zapewne i nasze kina. Przy czym większość z nich – i to znacząca – to powtórki z przeszłości: Ruppert Wright zrobił remake „Mgły” Johna Carpentera, a John Moore – „Omenu” Richarda Donnera. Przed nami jeszcze „Piła 2”, prequel „Teksańskiej masakry piłą mechaniczną”, sequel „Ziemi żywych trupów”, nowa wersja „Piranii” i nowa wersja „Inwazji porywaczy ciał” (tę, co ciekawe, reżyseruje twórca „Upadku”, filmu o Hitlerze, Oliver Hirschbiegel).

Czy poza realizacyjnym unowocześnieniem reżyserzy wszystkich tych sequelei i remake’ów, wniosą coś nowego do starych treści, okaże się, gdy kolejne horrory ujrzą światło dzienne, ale po obejrzeniu „Domu Woskowych Ciał” czy „Amityville” można spodziewać się wyłącznie zwiększonej erupcji makabry.

Być może cała nadzieja w mistrzach, którzy tłumnie powracają dziś do kina. Po długim okresie znów przemówili lub wrócili z telewizyjnego wygnania (jak twór-

ca legendarnej „Nocy żywych trupów” George A. Romero) klasycy gatunku. Jeśli zajrzeć do kalendarza Romera, Johna Carpentera, Wesa Cravena i innych, okaże się, że twórcy, których niejeden widz mógł uznać za dawno już zmarłych, ponieważ nie dawali znaku życia, w najbliższych latach będą robić nawet po kilka produkcji rocznie.

Bardzo, ale to bardzo ciekawie zapowiada się projekt amerykańskiej stacji telewizyjnej Showtime „Masters of Horror” („Mistrzowie horroru”). W jego ramach powstaje już 13 godzinnych filmów realizowanych przez najlepszych: wspomnianych już Romera, Argenta, Carpentera oraz Tobę a Hoopera, Rogera Corman, Roba Zombiego czy Johna Landisa. W czerwcu do tego zacnego grona dołączył – a jakże – Japończyk Takeshi Miike. Tym razem jednak nie ma mowy o powtórkach: mistrzowie mają zabrać się do nowych, oryginalnych i oczywiście naprawdę przerażających scenariuszy. Całość powinna być gotowa już w przyszłym roku.

Nie próżnuje inny klasyk Sam Raimi („Martwe zło”), który niedawno założył własną firmę Ghost Pictures (wyprodukowali między innymi „Kłątwe”), a w planach ma realizację kilkunastu projektów, z czego większość to oczywiście remaki, jak „Kłątwa 2” i „Martwe zło”.

GŁĘBSZE POWODY

Ale czy w zmartwychwstaniu horroru chodzi tylko o względy komercyjne? Może powody są nieco głębsze?

Horror to gatunek, który ożywa raz na 10, 20 lat, wydając kilka niezwykłych dzieł, a potem znów popada w stan hibernacji. Okresy owego ożywienia przypadają zwykle na czasy wzmożonych lęków społecznych, politycznych, ekonomicznych. Tak było w zimnowojennych latach 50. czy w okresie burzliwego przełomu lat 60. i 70. Horror pozwala nie tylko nasze lęki skanalizować i rozładować, ale również za pomocą alegorii dotrzeć do ich sedna.

Dziś żyjemy w czasach napięcia i lęków związanych z naszym bezpieczeństwem. Zagrożenie terrorystyczne, wojna w Iraku, ekonomiczna niepewność – wszystkie te fakty niewątpliwie wpływają nie tylko na samopoczucie nas wszystkich, ale również na kulturę.

Jeśli wierzyć mistrzowi opowieści grozy Stephenowi Kingowi, wzrost zainteresowania grozą dowodzić może wzrostu konserwatywnych nastrojów. Brzmi to nieco dziwnie, ale King w rewelacyjnej książce o opowieściach grozy „Dance macabre” odkrył perwersyjny związek między anarchistycznym gatunkiem, jakim jest horror, a konserwyzmem. Horror bowiem w gruncie rzeczy broni status quo, jest

wielkim wrogiem zmiany, która w życiu jest zwykle motorem rozwoju, a w kinie grozy motorem makabry, katastrof i przerażających wypadków. Oglądając horror, dostajemy ostrzeżenie: nie przeprowadzaj się, nie zapuszczaj w zakazane dzielnice, nie szwendaj nocą po cmentarzu, nigdy nie zbaczaj z drogi, nie chodź na skróty i w nieznanie, nie łam żadnych zakazów. Jednym słowem: nie pchaj palca między drzwi, bo niechybnie ci go odetną, a przy okazji jeszcze kilka części ciała, a zanim skonaś, poleją cię woskiem, obedną ze skóry, nadzieję na hak i zamkną w ciemnej piwnicy.

TAKIE SOBIE LĘKI

O tym, czy powrót horroru związany jest z wydarzeniami na świecie, przekonamy się wtedy, gdy fala kina grozy opadnie i spokojnie będziemy mogli oddzielić filmowe ziarno od plew. Przecież dopiero czas pokazał, że „Horror Amityville” (1979), w którym rodzina kupuje nawiedzony dom, to „kino ekonomicznego niepokoju”, za którym stał lęk o to, czy Amerykanie będą w stanie utrzymać swoje rodziny i domy właśnie na dotychczasowym poziomie. Że doskonały „Egzorcysta” (1973) Williama Friedkina kryje w sobie echa pokoleniowego konfliktu lat 60. i obawę starszych przed obyczajową rewoltą (nie rozumiejąc zachowania własnej córki, rodzice postanawiają poddać ją egzorcyzmowi). Horrory, takie jak „Beginning of the End” (1957) czy „Them!” (1954), w których zmutowane pasikoniki czy mrówki atakowały miasta, wyrażały oczywiście niepokój przed technologią nuklearną. Zaś „Śmętarz dla zwierzaków” (1989) Mary Lambert to dla odmiany opowieść o kryzysie męskości – główny bohater, chcąc sprostować oczekiwaniom rodziny, doprowadza do prawdziwej rzezi.

Na upartego można rzecz jasna szukać metafor w nowym „Domu Woskowych Ciał” (bliźniacy psychopaci żywcem zatapiają w wosku przybyszów, którzy zbłądzili do ich miasteczka) i zobaczyć w nim powszechny dziś lęk przed utratą młodości i urody. W „Ziemi żywych trupów” ujrzyć zaś niepokój związany z możliwą rewoltą wykluczonych. Przede wszystkim jednak te filmy są, najogólniej mówiąc... takie sobie.

Ale cóż, dla prawdziwych miłośników horroru obcowanie ze złymi i jeszcze gorszymi filmami to chleb powszedni. Wszak, jak stwierdził Stephen King, dla nich „filmy takie jak „Egzorcysta 2” tworzą oprawę dla jasnych klejnotów, na które można czasem natrafić w mroku zapuszczonego kiepskiego kina”.

Oby i wśród nowej serii filmów grozy trafił się wreszcie jakiś prawdziwy klejnot!

MAŁGORZATA SADOWSKA

Wkrótce w polskich kinach:



„PRZEKŁĘTA”, reż. Wes Craven
Mistrz koszmaru powraca filmem o wilkołakach, czyli rodzeństwie, które po wypadku samochodowym zaczyna się dziwnie zmieniać. Główną rolę gra najmroczniejsza z aktorek, Christina Ricci.

„BĘKARTY DIABŁA”, reż. Rob Zombie
Kontynuacja głośnego (w kręgach fanów) filmu „Dom 1000 trupów”. Mordercza rodzina Firefly’ów próbuje umknąć równie morderczemu ramieniu sprawiedliwości. Łatwo się domyślić, że spotkanie musi się skończyć krwawą jatką.



„STRAŻ NOCNA”, reż. Timur Biekmbambetow
Rosyjski hit, który podbił świat, ekranizacja bestsellerowej powieści Siergieja Łukanienki. Film zabiera nas do współczesnej Moskwy, gdzie członkowie tytułowej straży strzegą kruchej równowagi między światem dobra i zła.

„SHUTTER”, reż. Parkpoom Wongpoom
Słynny horror z Tajlandii opowiadający historię fotografa, który pewnego dnia dostrzega na swoich zdjęciach rzeczy, jakich na pewno nie uwieczniał. W Ameryce już szykowany jest remake tego filmu.

„KLUCZ DO KOSZMARU”, reż. Ian Softley
Kate Hudson w roli pielęgniarki przybywającej do starego, gotyckiego domu w okolicach Nowego Orleanu. Jej bohaterka opiekuje się umierającym tu człowiekiem, a przy okazji na poddaszu domu odkrywa tajemniczy pokój...

„MGŁA”, reż. Rupert Wainwright
Remake klasycznego horroru Johna Carpentera. Marynarze z zatopionego u wybrzeży Kalifornii statku po stu latach wyłazą z wody, by pomścić swoją śmierć.

(MASA)



BLOK, ŻE SZOK

●●●●●○

„Dark Water” to właściwie lanie wody. Ale za to z jakim klimatem!

Lepsze jest, jak wiadomo, wrogiem do-brego. Mimo to Amerykanie z uporem maniaka poprawiają udane zagraniczne produkcje, których największym grzechem jest to, że nie wymyślono ich w USA. Zwykle taka nowa wersja tak ma się do oryginału jak mrożona pizza z Wal-Martu do tej z rzymskiej pizzerii; i tak właśnie było z hollywoodzką przeróbką doskonałego „Kręgu” Hideo Nakaty. Ale już z kolejnym horrorem tego reżysera sprawa ma się nieco inaczej. Mimo że amerykański „Dark Water” na poziomie scenariusza właściwie niczym nie różni się od japońskiego pierwowzoru, ma własny, intrygujący klimat, któremu trudno się oprzeć.

Sama historia nie kryje żadnych niespodzianek: oto młoda kobieta (doskonała w roli neurotycznej Dahlii Jennifer Connelly) po rozstaniu z mężem znajduje nowy dom dla siebie i małej córki w wielkim bloku na ponurej Wyspie

Roosevelta. Ale dom, zamiast być bezpieczną przystanią, zamienia się w groźną pułapkę, w której obskurne korytarze, mieszkania czy strych żyją własnym życiem: w mieszkaniu Dahlii z sufitu kapie ciemna woda, gaśnie światło, windy zabierają mieszkańców w szaleńcze podróże, ponury dozorca (Pete Postlethwaite) nienawidzi dzieci, a agent nieruchomości (John C. Reilly) gotów byłby sprzedać nawet własną matkę. A na zewnątrz wciąż pada jesienny deszcz.

Takie otoczenie to doskonała pożywka dla demonów (pod postacią małej dziewczynki) – prawdziwych czy urojonych – nie więc dziwnego, że wciągają rozbita psychicznie Dahlię w toń szaleństwa. I tu zaczyna się freudowskie lanie wody: o wewnętrznym dziecku, które domaga się matczynej miłości, o niezatłwionych sprawach z przeszłości, które dopadną cię wcześniej czy później, i o łańcuchu opuszczeń zyskującym kolejne ogniwo.

Walterowi Sallesowi udało się jednak uniknąć natrętnego psychologizowania z pouczającym morałem w finale. Właściwie im dalej w las, tym bardziej

wszystko się gmatwa, a przywidzenia mieszają z faktami. Oj, nie ludźcie się, że po tej nocy (żywych trupów oczywiście) przyjdzie dzień!

„Dark Water” jest, owszem, taśmową produkcją, ale z autorskim piętrem. W końcu to amerykański debiut Brazyjczyka Waltera Sallesa („Dworzec nadziei”, „Dzienniki motocyklowe”), któremu udało się skupić wokół siebie nie tylko doskonałych aktorów (konia z rzędem temu, kto na pierwszy rzut oka rozpozna Tima Rotha!), ale i wybitną ekipę, z autorem pięknych, nastrojowych zdjęć Affonso Beato.

„Dark Water” urzekł mnie tym, że właściwie jest filmem nie tyle przerażającym, ile przeraźliwie smutnym, takim, który nie tyle straszy, ile paraliżuje nieuchronnością ponurych zdarzeń. Bo krążących tu demonów nie da się przepędzić zwykłym: A kysz, a kysz!

MAŁGORZATA SADOWSKA

„DARK WATER”, REŻ. WALTER SALLES, USA 2005, FORUM FILM, PREMIERA 19 SIERPNIA



DOLOT NIE ODLOT

●●●○○○

Kolejna w tym roku animacja, ale niestety, tylko dla dzieci

Zobawą szłam na projekcję filmu przedstawianego jako produkcja dla dzieci i zarazem reklamowanego hasłem „Wielkie serce. Mały ptak”. Na wstępie więc pragnę uspokoić zastraszonych rodziców: jest to bez wątpienia film dla dzieciaków, i to nawet najmłodszych. Zarazem jednak muszę was, drodzy rodzice, zmartwić: wy się raczej na „Szeregowcu Dolocie” nie ubawicie po pachy tak, jak to miało miejsce na „Uciekających kurczakach” czy obu „Shrekach”, które były doskonałą zabawą dla ludzi w absolutnie każdym wieku.

Wprawdzie już sam tytuł kryje aluzję czytelną dla starszych kinomanów, a jeszcze parę wyłowić można z dialogów („Będę dla was matką, żoną i kochanką!” – ryczy do ptasich rekrutów szkolący je oficer), nie są to jednak dowcipy najwyższych lotów, a poza tym jest ich załośnie mało. Ale równie mało jest w naszych kinach filmów dla dzieci, podarujmy im więc chwilę radości, zapominając na 75 minut o własnych przyjemnościach. Niech więc małuchy cieszą się prostą historijką Franka Dolota, gołębia, w którego nikt nie wierzył, a który w czasie II wojny, zaciągnąwszy się do Królewskiej Służby Gołębi Pocztowych, wykazuje się prawdziwym bohaterstwem. To film z rodzaju tych, co bawiąc, uczą. Poza serią barwnych przygód dzieci czeka dyskretnie sączony przekaz: o wartości przyjaźni, honorze, miłości ojczyzny, przekraczaniu własnych ograniczeń i o tym, że gołębie są stworzone do wielkich zadań, a gołębicę do pielęgniarsstwa. A swoją drogą: bajka dla dzieci, w której mowa o patriotycznych obowiązkach i która lansuje wojnę jako świetną przygodę – czyż nie jest to signum temporis?

MAŁGORZATA SADOWSKA

„SZEREGOWIEC DOLOT”, REŻ. GARY CHAPMAN, WIELKA Brytania 2005, MONOLITH, PREMIERA 19 SIERPNIA

NIEBEZPIECZNA FURTKA

●○○○○○

Lepić woskowe figury to oni potrafią, ale fabuły już nie

Przepis na horror w typie „Domu woskowych ciał” jest równie finezyjny jak aktorska gra Paris Hilton, znanej dotąd z amatorskiego porno rozpowszechnianego w Internecie. Zbiera się więc grupę „pięknych dwudziestoletnich” (blondynka i brunetka, typ drania i łagodnego misia) i poddaje ich seriom stopniowanych tortur. Bohaterowie, a raczej wyjęte z reklamy czelkowształtne lalki, muszą więc cierpieć z powodu unoszącego się w lesie smrodu, seksowna Elisha Cuthbert już za chwilę nurzać się będzie w gnojowisku rozkładających się ciał z wystającą dumnie ręką, a przystojny i pewny siebie Jared Padalecki zostanie mocno poturbowany, unieszkodliwiony wielką igłą i obłany gorącym woskiem. Piękno i krew, cielesna doskonałość i sadyzm oprawców. Straszne, prawda?

Wypranych z mózgu bohaterów nie żal zresztą ani trochę. Ani wtedy, gdy jadąc całą paczką na mecz piłkarski, wybierają na nocleg miejsce, hm, mało sympatyczne (po co było bawić się GPS-em i szukać drogi na skróty przez pola?), ani wtedy, gdy w drodze po pasek klinowy trafiają do miasta, w którym z ludzi robi się woskowe trupy (po co było zaglądać tam, gdzie zaglądać się nie powinno?). Trzeba przyznać, że twórcy filmu potrafią lepić z wosku figury i przedmioty, ale fabuły – ani trochę. Od początku wiadomo więc, że podróż skończy się dla całej paczki krwawą i efektowną jatką, nie jest też zaskoczeniem, że sztucznie pruderyjna Paris Hilton (seks oralny w samochodzie tłumaczy przyjaciółom: „Upadł mi błyszczczyk”), zanim umrze, zademonstruje widzom czerwoną bieliznę.

Szkoda zresztą, że nie wszystkich bohaterów scenarzysta wspaniałomyślnie uśmiercił. Bo jeśli coś w „Domu woskowych ciał” wygląda naprawdę groźnie, to właśnie furтка do sequela.

PAWEŁ T. FELIS



PARIS HILTON JUŻ OD POCZĄTKU FILMU WYGLĄDA JAK ZROBIONA Z WOSKU

„DOM WOSKOWYCH CIAŁ”, REŻ. JAUME SERRA, USA 2005, WARNER, PREMIERA 12 SIERPNIA



Weź udział w naszym konkursie i sprawdź swoją wiedzę na temat Turcji.

Turcja to kraj, w którym oprócz złotych plaż, egzotycznej roślinności można odkryć interesujące miejsca, relikty przeszłości oraz poznać kulturę islamu. To także raj dla tych, którzy szukają aktywnego wypoczynku.

Odpowiedz na pytania:

1. Anatolijski cud natury Pamukkale, czyli tarasy i wodospady, nazywane są również:
A. Bawelnianymi Zamkami,
B. Jedwabnymi Pałacami,
C. Wodnymi Królestwami?
2. W którym mieście w Turcji znajduje się rekonstrukcja konia trojańskiego będącego symbolem wojny trojańskiej:
A. Canakkale,
B. Izmirze,
C. Antalii?
3. Turecka jednostka monetarna to:
A. Lira, B. Dinar, C. Euro?



Do wygrania 35 przewodników po Turcji

Odpowiedzi na powyższe trzy pytania wyślij SMS-em, wpisując w treści wiadomości: PRK.TUR i podając po spacji numer pytania oraz literę przypisaną prawidłowej odpowiedzi, np.: PRK.TUR 1A 2B 3C. Wiadomość wyślij pod numer 72702 w dniach od 18 do 24 sierpnia. Koszt wysłania SMS-a to 2 zł netto (2,44 zł brutto). Wygrywają osoby, które najszybciej wyślą SMS-y w każdym dniu obowiązywania konkursu do wyczerpania nagród. Codziennie do wygrania pięć nagród.

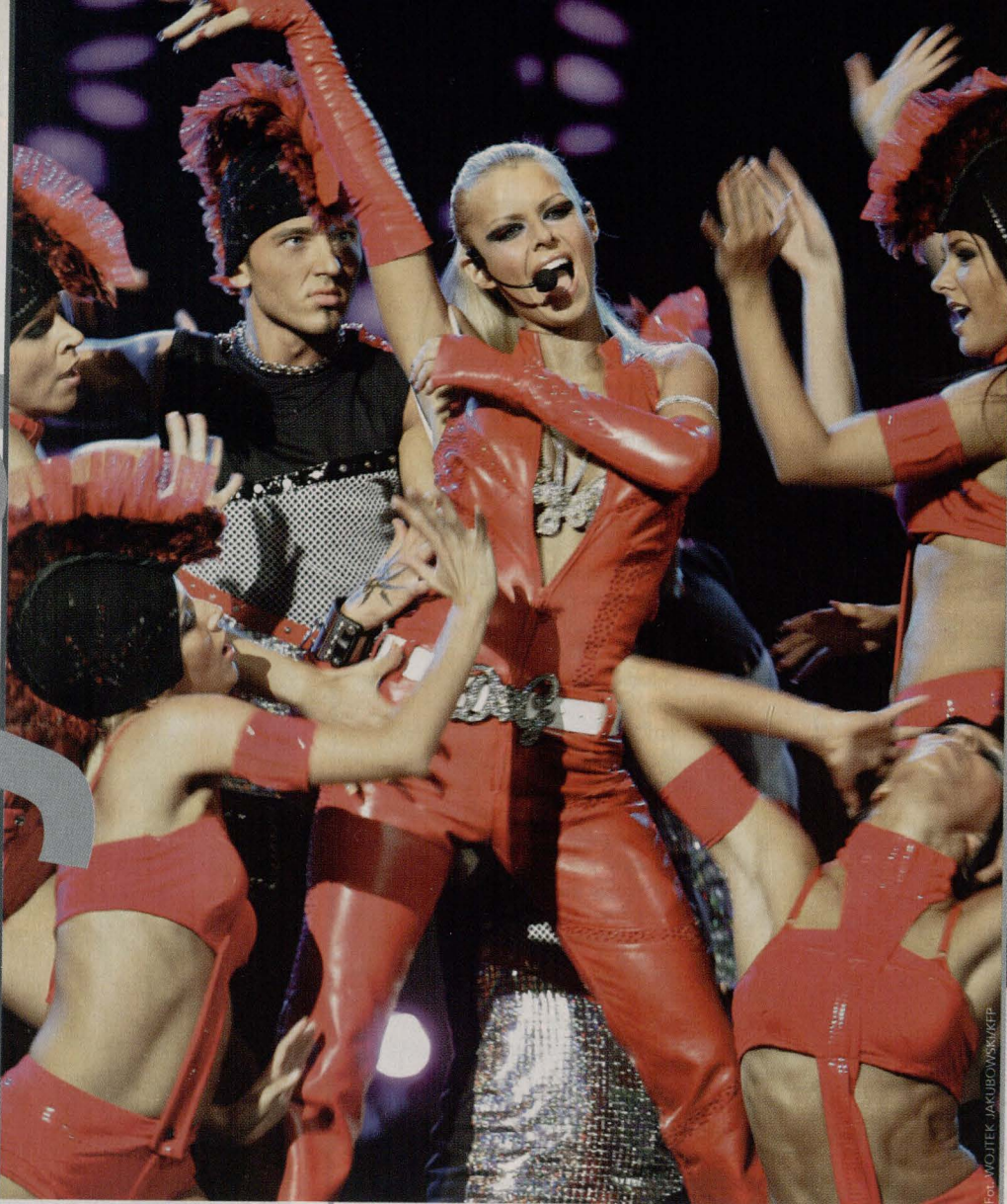
Regulamin konkursu dostępny jest w siedzibie Edipresse Polska S.A., ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa.



KONKURS

mistrzostwo na piątkę warto ujrzeć kiepskie dno

MANDARYNA BYŁA
JEDNĄ Z GWIAZD
KONCERTU „TOP” NA TOP
TRENDACH. TERAZ
WYSTĄPI W KONKURSIE
NA Sopot Festival.
W NASZEJ ZŁOŚLIWOŚCI
LICZYMY NA TO, ŻE TYM
RAZEM NIE ZAŚPIEWA
Z PLAYBACKU...



Fot. MAXPPP/FORUM

Fot. REX FEATURES/EAST NEWS

DEBBIE HARRY (BLONDIE)
BYŁA NAJPIĘKNIEJSZĄ
TWARZĄ POSTPUNKA.
PRZYNAJMIENIEJ
W LATACH 80.

Fot. WOJTEK JAKUBOWSKI/KEP

FESTIWAL, PROSZĘ, TRZY RAZY

Kiedyś był jeden letni
festiwal w Sopocie.
Teraz są trzy. Jak się
nie pomylić?

Jeśli to Mariusz Max Kolonko
wyglupia się w roli konferansje-
ra, to muszą być Top Trendy. Choć
mniej zorientowani mogą go jesz-
cze wziąć za pracownika TVP. Jeśli
to Wojciech Mann w roli prowa-
dzącego, to jesteśmy w Sopocie Te-
lewizji Polskiej. Choć można by to
pomylić z imprezą Polsatowską
– bo i tu w konkursie pojawiają się
te same nazwy: Sistars, Zakopo-
wer. A jeśli to realizacyjny wykop
w reżyserii Julii Knowles odpowie-
dzialnej za transmisję z gali nagród

europeskiej MTV, musi to być pre-
mierowy festiwal TVN, czyli Sopot
Festival 2005 pod opieką miasta.
Ale we wrześniu? Przecież Sopot
był w sierpniu! Nie jest łatwo od-
gadnąć, który Sopot jest tym wła-
ściwym. Wszystkie proponują
dzień występów dinozaurów
i dzień konkursu dla młodszych.
I wszyscy chcą udowodnić, że to
ich festiwal jest najlepszy.

Wszystko zaczęło się w ubie-
głym roku – nie dość, że Polsat za-
czął własny festiwal Top Trendy
w czerwcu, to jeszcze wygłosiła
10-letnia umowa TVP z miastem
Sopot i agencją Bart (to pierwsze
jest właścicielem Opery Leśnej,
a druga się nią opiekuje), właście-
cielami marki Sopot Festival. Stary
zarząd telewizji nie chciał przedłu-
żać umowy, więc pojawił się nowy
kandydat: TVN. A kiedy w TVP za-
rząd się zmienił i uznano, że warto
walczyć o Sopot, było już późno
i oferta TVN okazała się nie

do przebicia. TVN podpisał więc
umowę z miastem na pięć lat, a fe-
stiwal przeniesiono z sierpnia
na wrzesień. Ale w tym roku oka-
zało się, że TVP też ma pięcioletnią
umowę – na sierpniową imprezę,
którą najpierw nazwano Festiwal
Jedynki w Sopocie, teraz Festiwal
Jedynki Sopot.

– To był rodzaj przetargu – mó-
wi Adam Górko, dyrektor Sopot
Festival. – Mimo różnych dogry-
wek z udziałem TVP nasza oferta
wygrała. Trochę zaskoczyła nas
więc informacja o sierpniowym fe-
stiwalu TVP. Skoro się przegrało
przetarg, należałoby się z godno-
ścią z tym pogodzić. Teraz powstał
dysonans, ludzie będą się zastana-
wiać, który festiwal jest tym praw-
dziwym.

TVP tłumaczy bój o festiwal
40-letnią obecnością w Sopocie
i chęcią podtrzymania kontaktu
z widownią. – Prywatnie jestem
zdania, że im więcej takich festiwa-

lowych imprez, tym lepiej dla
miłośników dobrej muzyki –
mówi Dorota Szpetkowska,
dyrektor programowy tegorocz-
nej imprezy TVP. – Poza tym
większa konkurencja wpływa
na wyższy poziom.

Jest jednak parę warunków,
które trzeba spełnić. Po pierw-
sze, z gwiazdami w Sopocie jest
jak z mięsem na grillu. Najpierw
musi swoje odleżeć. Mięso
w marynacie – żeby skruszeć,
a gwiazdy – by trochę starzeć.
Tylko Polsat nie rzuca się na za-
graniczne gwiazdy. TVP propo-
nuje Blondie (średnia wieku:
50 lat, ostatnia płyta z nowymi
utworami: 1999 rok) i Bonnie
Tyler (głupio wymawiać wiek
kobiecie, szczególnie jeśli mało
kto o niej pamięta, ale ma po-
nad 50). TVN stawia na Scor-
pions (średnia wieku: 49 lat,
ostatni przebieg: 1989 rok) oraz
Gordona Haskella (59 lat).

Musi też być konkurs. Tu
każda z telewizji postępuje nie-
mal tak samo: wybiera 10 lub
więcej wykonawców (tylko Pol-
sat, który wybór przekazuje ze-
wnętrznej organizacji SMAP
– Stowarzyszeniu Menedżerów
Artystów Polskich), promuje

ich na antenie i urządza gło-
sowanie audiotele. Różnice są de-
likatne: Polsat pod uwagę bierze
raczej debutantów, TVN – też
przede wszystkim młodzież
i tylko TVP nie stawia barier.
– Założenie było takie, że bie-
rzemy do konkursu i znanych
wykonawców, jak Bracia czy Si-
stars, i nowych, obiecujących,
jak Button Hackers czy PIN –
mówi Szpetkowska. Podkre-
śla, że na Festiwalu Jedynki ple-
biat będzie miał klasyczny
charakter – nikt nie zostanie
wyeliminowany aż do końca
głosowania widzów. Inaczej niż
w Polsce i TVN.

Najprawdziwszym festiwalem
będzie z pewnością ten, który
za swój ulubiony uzna widow-
nia na miejscu. Ale ta często li-
czy się najmniej. Wizja i dźwięk
robione są pod telewizję, a nie
pod sopocką publiczność. Czy
powtórzy się sytuacja z tegorocz-
nego opolskiego koncertu Su-
perjedynek, na którym Kayah
i Krzysztof Kiljański – świetni
wokaliści – dwa razy z rzędu wy-
konywali przebieg „Prócz ciebie
nie” z pełnego playbacku, bo te-
lewizja nie zadbała o odsłuchy?

W żadnym z nadchodzących
sopockich festiwali nie chcą
playbacków. I może coś jest
na rzeczy z tą konkurencją, bo
gdyby nie ambicje trzech kana-
łów, to może letni festiwal odby-
wałby się w studiu telewizyjnym
z udziałem opłaconej widowni
i z pełnego playbacku, jak „Stra-
tosfera” czy „Hity na czasie”.
Oglądajmy więc Sopoty i rozli-
czajmy telewizje na prawach
wolnej konkurencji – bez litości
zmieniając kanały.

BARTEK CHACIŃSKI

KLAUS MEINE
(SCORPIONS,
57 LAT) ZAŚPIEWA
„WIND OF
CHANGE”
DLA TVN

TOP TRENDY 2005

Organizator: Polsat.

Kiedy:

już był, 24–25 czerwca.

Znaki szczególne:

Wyrazisty pomysł
na całość – Polsat oddaje
scenariusz imprezy listom
bestsellerów;
tu występują ci, których
płyty kupowano przez
cały rok.

Gwiazdy: Najlepiej
sprzedający się polscy
artyści 2004 roku.

W konkursie:

Zakopower,
Sidney Polak,
Car Is On Fire i inni.

Prowadzący:

Mariusz Max Kolonko
i Monika Luft.

FESTIWAL JEDYNKI SOPOT

Organizator: TVP1.

Kiedy: 19–20 sierpnia.

Znaki szczególne:

Stare i nowe gwiazdy
zaśpiewają piosenki z lat
80. jako znak solidarności
z nadchodzącą rocznicą
Sierpnia '80.

Gwiazdy: Blondie, Craig
David, Monika Brodka
i Blue Café.

W konkursie: Bracia,
Sistars, Zakopower,
Button Hackers i inni.

Prowadzący: Wojciech
Mann (dzień I), Tatiana
Okupnik (dzień II).

SOPOT FESTIVAL 2005

Organizatorzy: TVN, ITI,
BART, Miasto Sopot.

Kiedy: 2–4 września.

Znaki szczególne: Polscy
artyści będą śpiewać
w duetach
z zagranicznymi – Natalia
Kukulka
z Lemarem, Kasia
Skrzynecka z Gordonem
Haskellem itd.,
wskrzyszony konkurs
o Bursztynowego
Słowika.

Gwiazdy: Simply Red,
Scorpions.

W konkursie: Papa
Dance, Mandaryna, Łzy,
Virgin i inni.

Prowadzący: Nieznany
do tej pory.



SONS AND
DAUGHTERS.
SYNOWIE
W ŚRODKU

DZIEWCZyny KONTRA CHŁOPCY

●●●●●○

Z konwencji rockowych
można jeszcze sporo
wycisnąć

Singlowy przebieg „Dance Me In” po-
jawiał się na niedawnej składance
„Przekrój muzyki” z nowymi zespołami
rockowymi, ale wcale nie jest to najlep-
szy moment na „Repulsion Box”. Oka-
zuje się, że cała płyta jest równie hiciars-
ka! Krajanie gwiazd nowego rocka,
Franza Ferdinanda z Glasgow, łączą
styl klasyków alternatywy – przede
wszystkim Nicka Cave’a, PJ Harvey,
poza tym Talking Heads, Pixies – z mu-
zyką tradycyjną, elementami country
i folku. Energiczne kompozycje popa-
te są zawiadziakami wokalami Adele
Bethel i Scotta Pattersona, co przypo-
mina chwilami przyjacielski pojedynek
Franka Blacka i Kim Deal w utworach
Pixies. Sons And Daughters (muzycy
współpracowali wcześniej między in-
nymi z popularnym u nas szkockim Arab
Strap) zaskakują również na tle konku-
rencji. W chwili gdy tak zwany garażo-
wy rock za sprawą kolejnych kopii The
Strokes i Franza Ferdinanda okazał się
jeszcze jedną przemijającą modą, Sons
And Daughters (dwóch chłopaków
i dwie dziewczyny) z powodzeniem
splatają rockandrollowy żar z folkową
melancholią. I nawet w tym patencie
nie ma nic szczególnie odkrywczego
– byłby skuteczny już wiele razy. Trze-
ba tylko wiedzieć, jak go użyć. A Sons
And Daughters wiedzą.

PIOTR KOWALCZYK

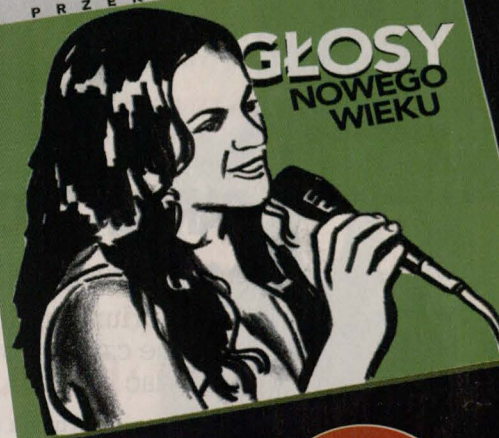


SONS AND DAUGHTERS
„THE REPULSION BOX”,
Domino

PRZE
KROJ

UNIKALNA KOLEKCJA PRZEKROJ MUZYKI

PRZEKROJ MUZYKI



Najmłodszy
mistrzowie
piosenki

NOWA
PŁYTA

NAJLEPSI
WYKONAWCY
WYJATKOWE
UTWORY
CENY
NIE DO POBICIA

(KAŻDA
PŁYTA
29,99 ZŁ,
W TYM
22% VAT)

PRZE
KROJ

pomaton
KOMPANIA MUZYCZNA

Music from EMI

Nadal w sprzedaży:

„SOUL BEZ POŚCIELI”, „NOWY ROCK”
i „KORZENIE HIP-HOPU”.

Szukaj w najlepszych sklepach muzycznych
na terenie kraju.



MAŁGORZATA SARAMONOWICZ
NAPISAŁA NAJLEPSZĄ DOTĄD
KSIĄŻKĘ. I TYLKO DUCHÓW
W NIEJ ZA DUŻO

PARADA DUCHÓW

„Sanatorium” pełne grozy
obiecuje czytelnikowi więcej, niż
może dać

Wreszcie – odetchnie z ulgą czytelnik po kilku stronach „Sanatorium” Małgorzaty Saramonowicz. – Wreszcie temat z prawdziwego zdarzenia! Jest rok 1947, w zapomnianym miasteczku rządzi demoniczny pełnomocnik władzy ludowej. Jego ludzie rozprawiają się z „leśnymi”, czyli z niedobitkami AK. Przyjeżdża też ksiądz, aby otworzyć zabity deskami kościół. Starcie między tymi dwiema postaciami obserwuje chłopiec, narrator tej historii. Wszystko to może nam przypomnieć tematy Andrzejewskiego czy opowiadań Iwaszkiewicza. Jednak im głębiej zanurzamy się w ten świat, im więcej nadprzyrodzonych zjawisk, tym bardziej się okazuje, że tutaj nastrój i aura są celem samym w sobie i dekoracją dla kryminalnej zagadki (zabójstwo pełnomocnika), w której maczają palce rzesze duchów. Nie ma żadnego konfliktu moralnego ani ciężaru czynów. Za to wchodzimy w świat ciemnej i potężnej wyobraźni dziewczęcej.

Nazwisko Małgorzaty Saramonowicz w połowie lat 90. stało się głośnie. Połączyło się bowiem z pierwszą w nowej Polsce agresywną kampanią promocyjną. Jej debiut, „Siostrę”, „Gazeta Wyborcza” ogłosiła wydarzeniem literackim, a potem krytyka nie zostawiła na nim suchej nitki, zarzucając tanią sensację i grafomanię. Kolejna powieść – „Lustra” – nie wzbudziła już takich emocji.

Na rynku pojawiało się coraz więcej literatury popularnej, a jej promocja nie zwracała już takiej uwagi. Jednak Saramonowicz zamilkła na sześć lat. „Sanatorium” podobnie jak poprzednie powieści przypomina thriller psychologiczny i jest niewątpliwie najlepszą jej książką.

Ów chłopiec po latach w tytułowym sanatorium spotyka śledczego, który prowadził sprawę zabójstwa pełnomocnika. Każdy z nich ma swoją wersję wydarzeń. Świadek opowiada o tym, jak na jego oczach ożywały obrazy w kościele i jak Jezus podał mu naboje do pistoletu, i o ukrytych w sadach trupach pozbawionych powiek. Z każdą stroną tekstu zjawisk nadnaturalnych jest więcej i więcej, ożywające obrazy (świetny pomysł filmowy) stają się już nużące, narasta atmosfera tajemnicy, która jednak rozmywa się w pochodzie atrakcji. I w rezultacie nie wiemy, o czym właściwie opowiada Saramonowicz. Czy o tym, że siły nadprzyrodzone mieszają w świecie, czy o ukrytym szaleństwie głównego bohatera? – Saramonowicz potrafi głębokie treści podawać w popularnej formie – powiedział jej pierwszy wydawca. Wydaje się, że jest dokładnie na odwrót – jej powieść sugeruje ukryte głębie, podszewkę, której tu nie ma. Za to z walizki bohatera w ostatniej scenie wysypują się landrynki, krówki i toffi dla dzieci-duchów. I to jest bardzo ładne zakończenie.

JUSTYNA SOBOLEWSKA



MAŁGORZATA SARAMONOWICZ „SANATORIUM”,
W.A.B., Warszawa 2005

USZY WSZECH CZASÓW



NAJBARDZIEJ EUROPEJSKI
Z JAPOŃCZYKÓW ZNÓW
CZARUJĄCO CODZIENNY

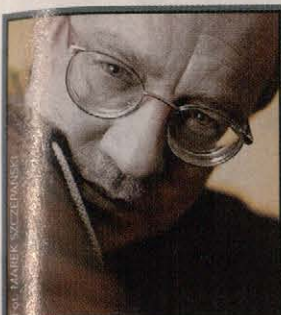
Niecodzienna codziennosc Murakamiego

Bycie przeciętnym jest takie przeciętne. Chociaż zarabiamy przyzwoite pieniądze, zona rzuca nas dla innego. Jeździmy zwykłym samochodem i mieszkamy w zwykłej dzielnicy. Tak też wygląda codzienność bezimiennego bohatera „Tańcz, tańcz, tańcz”. Ani przystojny, ani brzydki. Nie byłoby w nim nic interesującego, gdyby nie sny. Śni mu się hotel Delfin, a w nim dziewczyna Kiki, właścicielka najpiękniejszych wieszaków w świecie. W „Tańcz, tańcz, tańcz” będącym luźną kontynuacją „Przygody z owcą” Murakami miesza powieść obyczajową z fantastyką (w hotelu Delfin jest przejście do innego świata) i kryminałem. Czyni to po swojemu, z finezją i wyczuciem. Jednak obecne w „Tańcz, tańcz, tańcz” mroczne przejścia do innych wymiarów, zaginione kochanki i szafy z trupami stanowią jedyne barwne tło dla prawdziwej opowieści, w której autor sakralizuje codzienność. Tutaj jedzenie hamburgera, picie whisky i kochanie się z dziewczyną jest sakramentem, modlitwą oswajającą ze śmiertelnością.

ROBERT ZIĘBIŃSKI



HARUKI MURAKAMI
„TAŃCZ, TAŃCZ, TAŃCZ”,
PRZEL. ANNA ZIELIŃSKA-
-ELLIOT, Muza, Warszawa 2005



CZYTANIE NA TRAWIE...

...albo gdzie Tym
ma mamuta

Ułóż wcale nie ma go tam, gdzie myślicie. Tytuł „Mamuta tu mam” to tylko palindrom – tekst, który jednak się czyta w obie strony. Dla Stanisława Tyma takie zabawy językowe to zaledwie elementarz profesjonalnego satyryka. Jak państwo doczytacie książkę do strony 278, znajdziecie jeszcze parę tego typu wyznań. Po drodze zaś czeka was wiadro solennej uciechy, nierzadko okraszonych zdumioną grozą. Jest to bowiem zbiór pisanych i rysowanych opowiadań o Polsce w wykonaniu człowieka mającego świadomość życia w silnie podkręconym (k)raju. Kto widział „Rejs”, „Misia” albo „Rozmowy kontrolowane”, kto był w teatrze na „Rozmowach przy wycinaniu lasu” albo w dawnym STS-ie na którymś z satyrycznych programów, będzie wiedział, co mam na myśli. A kto był jeszcze na tyle przytomny, żeby czytywać w latach 90. tygodnik „Wprost”, przypomni sobie bez trudu, że lekturę tego pisma zaczynało się wtedy od jednej z ostatnich stron, gdzie Tym trzymał felieton pod wielce znaczącym tytułem „Pies, czyli kot”. Potem Tym się wypisał z tej współpracy ku wielkiemu żalowi resztek inteligencji polskiej. Ponieważ zaś „Wprost” rychno zamieniło się w ponury

organ pościgowy, jak wiadać, intuicja Tyma nie zawiodła. Krótko mówiąc, Tym Stanisław jest osobną instytucją umysłowo-artystyczną chadzącą po polskich drogach. I nie jest tam osamotniony, bo wespół z nim szło albo nadal idzie niezgorsze grono wesołych mizantropów postrzegających nasze życie w kategoriach zasłużonego nonsensu. Szedł Słonimski z Tuwimem jako autorzy „W oparach absurdu” i szedł Ildefons Gałczyński jako autor „Zielonej gęsi” i „Listów z fiołkiem”. Szli Wasowski z Przybora jako twórcy „Kabaretu Starszych Panów”, a także Skrzynecki z Dymnym jako świętej przeklętej pamięci piwnicznik krawcowy. Idzie nadal, choć już z lekką laską się podpierając, Mrozek ze wszystkim, co napisał i narysował. Idzie znacznie zgorzkniały Wojciech Młynarski z paroma przyjaciółmi z kabaretu Dudek. Towarzyszy im wytrwale trójka wojowników z niedgysiejszego Salonu Niezależnych. I jeszcze idzie sobie paru, parunastu, parudziesięciu, a może paruset podobnych piechurów uczulonych na Polskę prawą i lewą, czarną i czerwoną, nadmuchaną bądź wycwanioną. W „Mamuta tu mam” zebrano niewielką, ale wielce znaczącą część kilkudziesięcioletniego dorobku Tyma. Osobiście naliczyłem z 19 form literacko-plastycznych, jakimi się posługiwał, a nie ma tu bajek dla dzieci, scenariuszy filmowych, audycji telewizyjnych. Sam podtytuł już wiele mówi: „Utwory zebrane spod łóżka”. Może i one spod łóżka zebrane, ale najlepiej czytać je na łóżku. Skądinąd bez gwarancji, że się nie spadnie pod łóżko ze śmiechu.

TADEUSZ NYCZEK

WEŹ UDZIAŁ W KONKURSIE

WYGRAJ

jedną ze **150** rewelacyjnych nagród!

Zasady są proste:

- Szukaj w kiosku „Przekroju” z grą komputerową.
- Na tylnej okładce gry znajdziesz trzy pytania.
- Odpowiedzi na podane trzy pytania wyślij SMS-em pod nr 72702 (koszt SMS-a to 2 zł netto, 2,44 zł brutto), wpisując w treści wiadomości: PRK.GRA i podając po spacji numer pytania oraz literę przypisaną prawidłowej odpowiedzi, np.: PRK.GRA 1A 2B 3C.

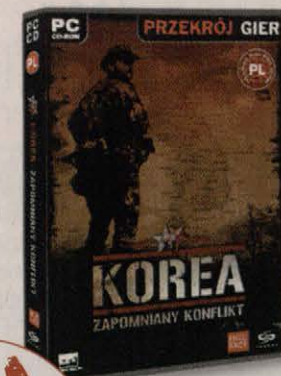
Wygrywa co 10. osoba – do wyczerpania nagród.
Musisz tylko poprawnie odpowiedzieć na trzy pytania!

A DO WYGRANIA: BILETY LOTNICZE WIZZ AIR, AKCESORIA KOMPUTEROWE, ODZIEŻ SPORTOWA BERGSON, PROGRAMY KOMPUTEROWE YDM, PROGRAMY ANTYWIRUSOWE, PODRĘCZNIKI PROGRAMOWANIA GIER, KARTY PAMIĘCI.

SZUKAJ W KIOSKACH:

18 sierpnia

„Przekrój” + gra
„Korea: Zapomniany
konflikt”



**CENA
12,90**

25 sierpnia

„Przekrój” + gra
„Spells of Gold”



Cena obejmuje „Przekrój” wraz z grą komputerową

Nagrody ufundowali m.in.:

ARCABIT
Producent programów antywirusowych

EURO PLUS
programy językowe

BERGSON

WIZZ
teraz wszyscy mogą latać



SUPERBOHATEROWIE SĄ ZMĘCZENI

Mogłoby być tak super, a jest jak zwykle – z zadęciem, po amerykańsku

Pewnego dnia Superman wycofuje się z życia publicznego i pełnienia funkcji obrońcy ludzkości. Idąc jego śladem, na emeryturę udają się także inni klasyczni bohaterowie w kostiumach. Jednak natura nie znosi próżni i na ich miejsce pojawia się nowe pokolenie superbohaterów. Często potężniejszych, lepiej uzbrojonych i skuteczniejszych. Brak im jednak tego, bez czego szybko stają się nie mniejszym zagrożeniem dla ludzi niż superzłoczyńcy – zasad. Stara gwardia bohaterów podczas potyczek z czarnymi charakterami nigdy nie krzywdziła postronnych obserwatorów, a pokonanym wrogom dawała szansę na resocjalizację. Nowi nie liczą się z ofiarami i nie znają litości dla przegranych. W końcu dochodzi do prawdziwej tragedii – podczas eksplozji towarzyszącej śmierci zasilanego energią nuklearną Kapitana Atomina giną miliony ludzi, Kansas przestaje istnieć. Nadszedł czas, by po 10 latach Superman opuścił swą pustelnię i ponownie zaprowadził porządek...

Tak zaczyna się „Kingdom Come”, epicka opowieść o świecie, w którym superbohaterowie żyją obok ludzi, by ich bronić oraz stać na straży prawdy i sprawiedli-

ści. A przynajmniej takie było zamierzenie, bo z biegiem lat, razem ze zmieniającym się światem, zmienili się herosi w kostiumach. Świadomi swych mocy poczuli się bezkarni. Scenarzysta Mark Waid i rysownik Alex Ross, pokazując z takiej perspektywy postacie znane od lat z kart komiksów, mieli szansę powiedzieć coś nowego o miecie superbohatera. Mieli szansę stworzyć dzieło równie porażające co wcześniejsi o 10 lat „Strażnicy” Alana Moore’a i Dave’a Gibbonsa z 1987 roku (do których „Kingdom...” w kilku miejscach wyraźnie nawiązuje). Nie mieli chyba tylko dość talentu.

Największą wadą „Kingdom Come” jest hermetyczność. „Strażnicy”, choć opowiadali o zamaskowanych bohaterach, skonstruowani byli tak, że czytelnikowi wystarczyło mgliste pojęcie o idei superbohaterstwa. Resztę załatwiał fantastyczny scenariusz pełen nawiązań do „kultury wysokiej” i popkultury, pełen fascynujących postaci i zwrotów akcji, wielopłaszczyznowy i wieloznaczny. W „Kingdom...” cytatów i nawiązań do innych komiksów nie sposób zliczyć, ale odsyłają one tylko do samych siebie. Radość z ich odnajdywania będą mieli maniaci superbohaterskich uniwersów, zwykli czytelnicy wrzuszają jedynie ramionami. A co gorsza, pod koniec 200-

stronicowego komiksu najzwyczajniej zasną znużeni klęską urodzaju.

Waid i Ross tak skupili się na inscenizowaniu pojedynków, na cyzelowaniu tryk-

tów, że zapomnieli o najważniejszym – o przekonującej i wciągającej historii, dramatach bohaterów, którymi czytelnik chciałby się przejąć. Natomiast finał „Kingdom Come” nieodparcie przypomina produkcje takich gigantów kina, jak Michael Bay („Armageddon”) czy Roland Emmerich („Dzień Niepodległości”). Dobry wygrał i w nagrodę serwują przemowę wyłuszczałą przesłanie tym czytelnikom, którzy choć przebrnęli przez tę cegłę, to jeszcze nie zrozumieli. I nawet rysunki Rossa, fotorealistyczne, pełne szczegółów, pieczołowicie odmalowane (z poświęceniem godnym lepszej sprawy), początkowo budzą podziw, ale z czasem nagromadzeniem patetycznych póz, widowiskowych eksplozji i malowniczych peleryn męczą.

Całość opasłego albumu trochę ratuje epilog. Clark Kent (Superman) w ślicznej koszuli w kratę, Diana Carter (Wonder Woman) z burzą przyprószonej siwizną włosów i jak zawsze elegancki Bruce Wayne (Batman) spotykają się w restauracji tematycznej poświęconej superbohaterom. Fantastycznie rozegrana scena pokazuje, czym mógłby być ten komiks, a nie jest.

SYMON HOLCMAN

„KINGDOM COME”, SCENARIUSZ MARK WAID, RYSUNKI ALEX ROSS, Egmont, Warszawa 2005



STYL W NOSIE

Najlepsze cartoony Mrożka z epoki „Szpilek”

Szósty, przedostatni, tom monumentalnej i perfekcyjnej edytorsko edycji „Rysunków zebranych” Mrożka zawiera blisko 400 prac. Gdy pomnoży się to przez liczbę tomów, okaże się, że autor „Tanga” nie jest bynajmniej niedzielnym rysownikiem. Zaczął publikować rysunki już w latach 50. Współpracował z „Przekrojem”, „Szpilekami” i już w latach 90. z „Gazetą Wyborczą”. Przez lata styl (minimalistyczny, celowo niestaranny, skrótowy, szkicowy) i tematyka rysunków nie ulegały zmianie. Najważniejsze są tu oddanie myśli i anegdota. Bohaterem Mrożka jest every man – najczęściej inteligent (z przerysowanym nosem) mający jakiś moralny problem. Tom „Epoka Szpilek 1974–1982” prezentuje prace z najlepszego okresu Mrożka oraz z niefajniejszych „Szpilek”. Gierkowskie „otwarcie na Zachód” w osobie redaktora naczelnego Krzysztofa Teodora Topolczyka zrobiło z nich nowoczesne pismo na wysokim poziomie. Obok Mrożka, który w świecie rysunków miał już wyrobioną pozycję, publikowali między innymi: Mleczko, Czeczot, Dudziński, Chodorowski, Lutczyn. Ostra brzytwa satyry cięła stereotypy, czarny humor tryskał. Dziś brakuje w piśmie takiego dobrego rysunku prasowego, czegoś między karykaturą a krótkim komiksem, co w amerykańskiej terminologii zwie się cartoon. Mrozek mówił kiedyś, że komiksów wprawdzie nie czyta, ale je lubi. Możemy mu odpowiedzieć, że wprawdzie nie jest w stu procentach komiksiarzem, ale na pewno byłby świetnym honorowym gościem festiwalu komiksu.

BARTOSZ KURC

SEAWOMIR MROZEK „EPOKA SZPILEK 1974–1982”, Słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2005



STRUMIEŃ TECHNIK

Autorska wizja komiksu, która pokazuje, że koszmarmy bywa fascynujący

Jakub Rebelka ma dar zarezerwowany dla elity komiksarzy – kadry składające się na ten album kryją w sobie hipnotyczną, uwodzącą moc, której nie sposób się oprzeć. Praktycznie każda plansza mogłaby z powodzeniem zawisnąć na ścianie galerii sztuki. Rebelka, mając zaledwie 23 lata, dysponuje już w pełni ukształtowanym i oryginalnym stylem. Zaskakuje bogactwem zastosowanych technik: planse stricte malarskie sąsiadują tu z grafikami, delikatny laserunek z dynamicznie kładzionymi plamami tuszu i rozchlapaną farbą, pojawiają się frotaze i kolaże, słowem: cały arsenał środków plastycznych, przy których jedynym narzuconym ograniczeniem jest przyjęcie czarno-białej konwencji kolorystycznej. Boleśnie zdeformowana fabuła jest traktowana swobodnie, podporządkowana kapryśnemu strumieniowi wyobraźni autora. To koszmarm, który jednocześnie przeraża i fascynuje, który działa przede wszystkim neurotycznie chorym nastrojem.

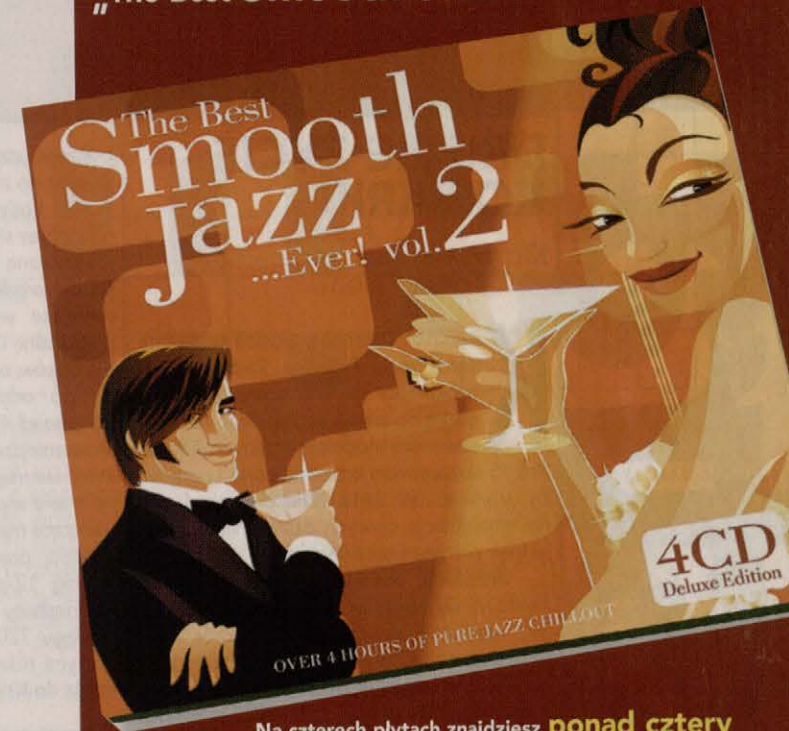
MATEUSZ SZLACHTYCY

„DOKTOR BRYAN – ARCHIPELAG DUSZY”, SCENARIUSZ I RYSUNKI JAKUB REBELKA, Kultura Gniewu, Warszawa 2005

MUZYCZNA PRENUMERATA

Zamów

roczną prenumeratę tygodnika „Przekrój”, a **otrzymasz wyjątkowy album** „The Best Smooth Jazz ...Ever!” vol. 2.



Na czterech płytach znajdziesz **ponad cztery godziny muzyki** określanej jako smooth jazz. Szeroki wachlarz wykonawców i znakomicie dobrany repertuar sprawiają, że „The Best Smooth Jazz ...Ever!” vol. 2 to doskonała składanka zawierająca utwory z pogranicza nastrojowego jazzu, współczesnego popu i soulu.

Cena rocznej prenumeraty „Przekroju”

206,70 + muzyczny album

„The Best Smooth Jazz ...Ever!” vol. 2.

Płyty wysyłane są w ciągu miesiąca od rozpoczęcia prenumeraty. W przypadku wyczerpania zapasów nagród gwarantujemy zwrot pieniędzy zadeklarowanych na zakup prenumeraty. Oferta promocyjna ważna od 18 sierpnia do 7 września 2005 roku.

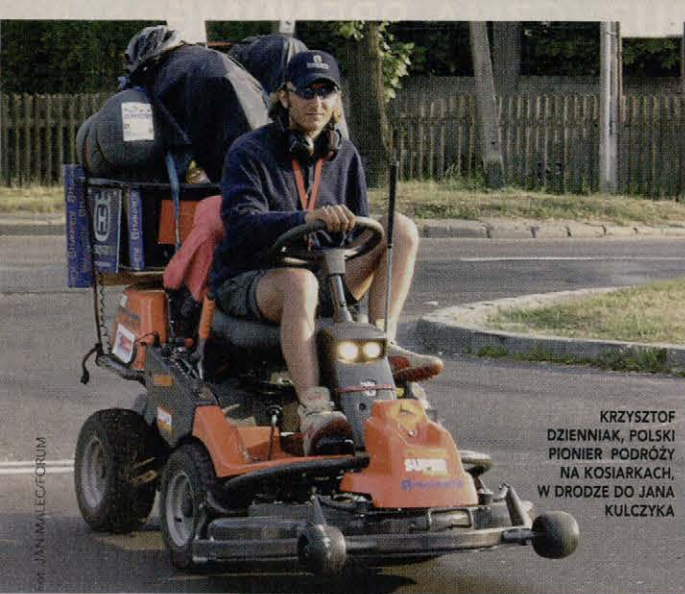
Wybierz jeden ze sposobów zamówienia prenumeraty:

Zamów przez telefon: (0-54) 236 55 28; pn.-pt. w godz. 8–16.

Zamów przez e-mail: prenumerata@edipresse.pl
W zamówieniu należy podać: dokładny adres dostawy prenumeraty, tytuł czasopisma oraz numer rozpoczęcia prenumeraty.
Jeżeli zamawiasz prenumeratę telefonicznie lub e-mailem, zapłacisz listonoszowi przy odbiorze pierwszego egzemplarza.
Uiszcisz także jednorazową opłatę pocztową w wysokości 3,50 zł.

Zamów na pocztę: Wypełnij blankiet pocztowy, wpisując: Edipresse Polska SA, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, Bank BISE 73 1370 1125 6505 0000 0000 0000, adres dostawy prenumeraty, tytuł czasopisma (Prenumerata „Przekrój”).

Zamów w banku: Złóż zlecenie w banku na rachunek: Bank BISE 73 1370 1125 6505 0000 0000 0000.
Na przelewie należy wpisać: adres dostawy prenumeraty, tytuł czasopisma (Prenumerata „Przekrój”) i numer rozpoczęcia prenumeraty.
Prenumeratę zamawiamy zawsze z czterotygodniowym wyprzedzeniem.



KRZYSZTOF
DZIENNIK, POLSKI
PIONIER PODRÓŻY
NA KOSIARKACH,
W DRODZE DO JANA
KULCZYKA



PODRAŚOWYCH
KOSIAREK W BRYTYJSKIM
LAUGHTON. JEDEN Z UCZESTNIKÓW

DRUGIE ŻYCIE KOSIARKI

Kto powiedział, że kosiarka służy do koszenia?

Krzysztof Dziennik podbił tego lata serca wielu Polaków. Swoją podróż z Gdańska do Warszawy odbył kosiarką do trawy. Jechał dość zaawansowanym modelem Husqvarna Rider Pro 15 służącym do koszenia boisk i parków, by uzyskać od Jana Kulczyka pieniądze na rehabilitację chorych dzieci. Nie była to jednak pierwsza taka wyprawa.

– Jeżdżenie kosiarką jest zabawne i pozwala mi się odprężyć – mówi George Herrin, najlepszy zawodnik Amerykańskiego Stowarzyszenia Wyścigów na Kosiarkach. Na świecie maszyny do koszenia wykorzystywane są do zabawy już od 1973 roku, kiedy grupa kumpli w jednym z brytyjskich pubów wpadła na pomysł zorganizowania pierwszego kosiarkowego rajdu. Uznali, że wiele osób wyjmie z garażu sprzęt do koszenia najwyżej raz w tygodniu do strzyżenia przydomowego trawnika, zaś resztę czasu maszyny stoją bezużytecznie.

W latach 90. pomysł podchwycili Amerykanie. – Pamiętam, jak podczas pierwszego rajdu zawodnik, który prowadził wyścig, na ostatnim okrążeniu zgubił silnik – wspomina początki kosiarkomanii w USA Bruce Kaufman, organizator rajdów. Prawdziwy boom rozpoczął się wraz z premierą filmu Davida Lyncha „Prosta historia”, w którym główny

bohater uczynił z wyprawy małym traktorem podróż do zrozumienia swojego życia.

Dziś kosiarkami jeżdżą wszyscy: od farmerów, przez studentów, po biznesmenów. Rajdy rozgrywane są w kilku kategoriach, w zależności od prędkości i wielkości maszyny. Te najmniejsze wyciągają około 10 kilometrów na godzinę i służą do koszenia przydomowych ogródków, te największe to traktory rozpędzane po odpowiednich przeróbkach nawet do ponad 100 kilometrów na godzinę. Najśmieszniejsze są wyścigi kosiarek ręcznych, które nie mają siedzenia. Zawodnicy ścigają się po trasie wyznaczonej belami siana, trzymając w ręku włączające maszyny w ruch i je popychając. Najbardziej prestiżowy jest natomiast coroczny wyścig 12-godzinny, odbywający się nocą w Brinsbury College w Anglii. Za pokonanie w ciągu 720 minut odcinka 504,7 kilometra drużyna riderów Extreme Headless Chickens trafiła do Księgi rekordów Guinnessa.

Blżej natury

Czy ten sport jest bezpieczny? – W ciągu roku tylko kilku zawodników łamie sobie kości, nic groźnego – uspokaja Bruce. Bezpieczniejsze i bardziej romantyczne od wyścigów są jednak na pewno kosiarkowe podróże.

– Kosiarka to bardzo wygodny pojazd, gdyby było inaczej, nie przejechałbym dwukrotnie wszędy Stanów – mówi Brad Hauter, trener piłki nożnej ze stanu Indiana. – Jadąc z prędkością 10 kilometrów na godzinę, możesz delektować się podróżą. Jesteś bliżej natury, inaczej niż podczas jazdy samochodem. – Dopiero wtedy oczy otwierają się na świat – dodaje Krzysztof Dziennik.

Długie podróże kosiarkami wyzwalały serdecznie uczucia ludzi i być może właśnie dlatego przyjęło się, że są wykorzystywane do wspierania dobroczynnych akcji. Chory 46-latek Gary Hatter dzięki swojej wyprawie zbierał sto tysięcy dolarów na operację kręgosłupa. Każdemu, kogo spotkał, wyczał białą-czarną flagę, za którą życzył sobie pięć dolarów. Pokonał ponad 23 tysiące kilometrów, co zajęło mu – bagatela – 260 dni.

Jeszcze lepiej poszło Bradowi Hauterowi, który podczas podróży z San Francisco do Nowego Jorku w 2003 roku zebrał 200 tysięcy dolarów na program ochrony środowiska prowadzony przez organizację charytatywną. Wzbudził taką sympatię, że na pewnych odcinkach eskortowała go policja, a gdy miał przejechać przez Manhattan, specjalnie dla niego zamknięto tunel Lincoln.

Prawdopodobnie pierwszym długodystansowcem był 12-latek Ryan Tripp, który w 1997 roku, gdy się dowiedział, że czteromiesięczna dziewczynka z jego rodzinnej miejscowości potrzebuje nerki do transplantacji, wyruszył w 42-dniową podróż do Waszyngtonu i zebrał 15 tysięcy dolarów.

Czy już niedługo pojawią się i polscy fani kosiarkowej zabawy? Dwa tygodnie temu pierwszą imprezę w tej dyscyplinie zorganizowali w Warszawie studenci, którzy dostali od jednej z firm pieniądze na skonstruowanie prototypu kosiarki. Najlepszy okazał się zespół z Politechniki Wrocławskiej, który zaprojektował... kosiarko-rower.

KRZYSZTOF SZCZEPANIAK

Podyskutuj o tym na **onet.pl**



czy
do rzeczy

TORBA BOJOWA

Utrać taką torebkę to odwaga



to torebka pełna sprzeczności. Z jednej strony wygląda jak narzędzie zbrodni, z drugiej jednak jej nazwa Peacekeeper sugeruje, że służy do utrzymania porządku i spokoju na ulicach. Jest klasycznie czarna, elegancka. Ale coś eleganckiego jest w kaskcie służącym tu jako uchwyt torebki? No i w końcu każdy się zgodzi, że właścicielka torebki zwróci na siebie uwagę, choć może nie taką, jakiej by sobie życzyła. Rewolucyjne jest to, że rabusie zastanowią się teraz dwa razy, zanim podbiegną do kobiety, by wyrwać jej peacekeeperkę. Bo przecież zawsze istnieje ryzyko, że wściekła dama w obronie portfela, telefonu i szminki użyje broni, którą właśnie trzyma w ręku. (KDJ)

listy

Niedobra, niedobra TVP

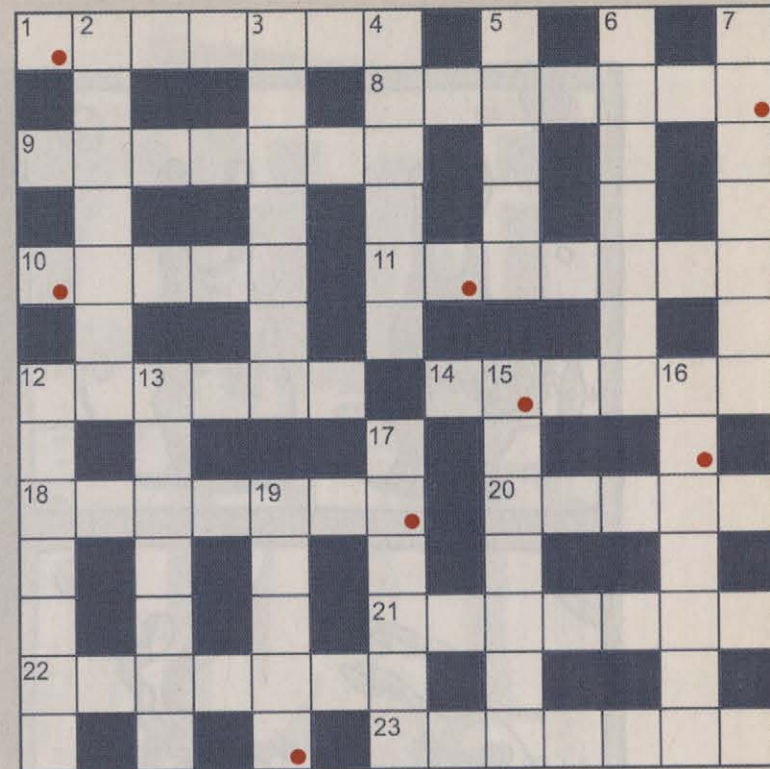
Wraz z dużą grupą moich przyjaciół i znajomych jesteśmy wdzięczni panu redaktorowi Cezaremu Łazarewiczowi za krytyczne słowa pod adresem TVP, która skandalicznie potraktowała panią Olgę Lipińską [patrz „Przekrój” nr 31]. Dwa miliony (minimum?) widzów – to mała oglądalność? Kabaret pani Oli był szczytem kunsztu reżyserskiego. Wszystko, absolutnie wszystko było w nim doskonałe: aktorstwo, piosenki, choreografia, światło, kostiumy, scenografia – to był nadludzki wysiłek Jej i Jej Aktorów, to było mistrzostwo. Jeśli część „publiki” woli „bigosowo niestrawną papkę”, to niech ją ma, ale „myślącym inaczej” też się coś należy (a że trzeba przy tym myśleć i znać literaturę, to już inna sprawa!).

Warto przeczytać „Mój pamiętnik potoczny”, żeby zrozumieć, ile w pani Lipińskiej jest krytycznego, zdrowego patriotyzmu, zatroskania, bólu, pasji i chęci walki z wszechogarniającą głupotą. I jeszcze jedno! Srebrny Konstany nigdy nie będzie nieaktualny, bo Ciemnogród u nas był, jest i będzie – tkwimy po uszy w nim za sprawą małych, głupich ludzi głoszących „misyjność” – pożałuj się Boże – no cóż, jakie czasy, taka „misyjność” i jej głosiciele. Klaniamy się nisko pani Oldze – „czapkę do ziemi”, a z nami zostają dziesiątki nagranych kaset Jej Kabaretu. A kiedy Aktoży grali do końca, przy pustoszących dekoracjach, to płakaliśmy razem z nimi... I tu pan Rewiński się myli, bronimy Jej, ale jesteśmy bezradni. Ukłony

J.O., D.S., A.Z. Z GLIWIC

PS Bardzo byśmy chcieli, żeby tekst się ukazał, ale jeśli ma się ukazać w skróconej formie (...), to raczej zrezygnujemy! Ale swoją drogą – w „Przekroju” „cięcia”? Chyba jednak nie!

KRZYŻÓWKA nr 34



POZIOMO:

1. PAN NA GABLOTACH
8. AUTASTOP
9. PRZEDZIERCA
10. WOKÓŁ PANAMY
11. WŁADCA PIERŚCIENI
12. ZAMKI NA PIASKU
14. NADLEŚNICZY
18. OBCHODZONY CODZIENNIE

20. LEŻY NA PLECACH
21. NIE DZIELI SIĘ
22. OKAZJA DO OBLANIA
23. KOBIETA Z KACZKĄ

PIONOWO:

2. MAO WYRÓŻNIĄCY SIĘ STRÓJ
3. KOŃSKA KOLKA
4. NA ZAWISZY

5. SRAK POKOJU
6. AUTOSTOP
7. MYLI SIĘ TYLKO RAZ
12. PARZY
13. TRZYDNIÓWKA LUB STUDNIÓWKA
15. ZUPA
16. STOSOWNIE UKARANY
17. JEZIORO NABĘDZIE
19. ZŻERA KACZORA

LITERY Z OZNACZONYCH PÓŁ CZYTANE POZIOMO UTWORZĄ WYRAZ-ROZWIĄZANIE.

Rozwiązanie krzyżówki nr 31: RECENZJA

Poziomo: 1.potrawa 8.reaktor 9.drożdże 10.szpic 11.zderzak 12.orszak 14.chwast 18.Olejk 20.rebus 21.związek 22.inwazja 23.toaleta

Pionowo: 2.ogryzek 3.audycja 4.areszt 5.lanie 6.wtyczka 7.trójkąt 12.opornik 13.szefera 15.heroina 16.student 17.skrzat 19.nędzia

Za poprawne rozwiązanie krzyżówki nr 29 nagrody wylosowali: Aneta Adamus, Radomsko; Irena Boratyńska, Kraków; Julia Cichopek, Kielce; Zofia Góźdz, Katowice; Franciszek Jawor, Słupsk; Ewa Józefowska, Warszawa; Czesława Kowalik, Pobierowo; Jacek Krawczyk, Ruda Śląska; Agata Nieścienik, Białystok; Grażyna Piskowska, Lubusz. Gratulujemy!

Rozwiązania możesz teraz przesłać szybciej i taniej SMS-em! Wyślij SMS o treści PRKK.HASLO KRZYZOWKI na numer 7135 (netto: 1 zł; brutto: 1,22 zł/SMS). Pomiedzy czytelników, którzy do niedzieli 28 sierpnia nadesłały prawidłowe rozwiązanie za pomocą SMS-a lub na kartkach pocztowych (decyduje data stempla), rozlosujemy 10 książek Phillipa Margolina „Śpiąca królowa” (Świat Książki).

„Przekrój”, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, z dopiskiem Krzyżówka 34



A NA JAKI KIERUNEK TY ZDAWAŁEŚ?



JA TEŻ NA PRAWO I SPRAWIEDLIWOŚĆ

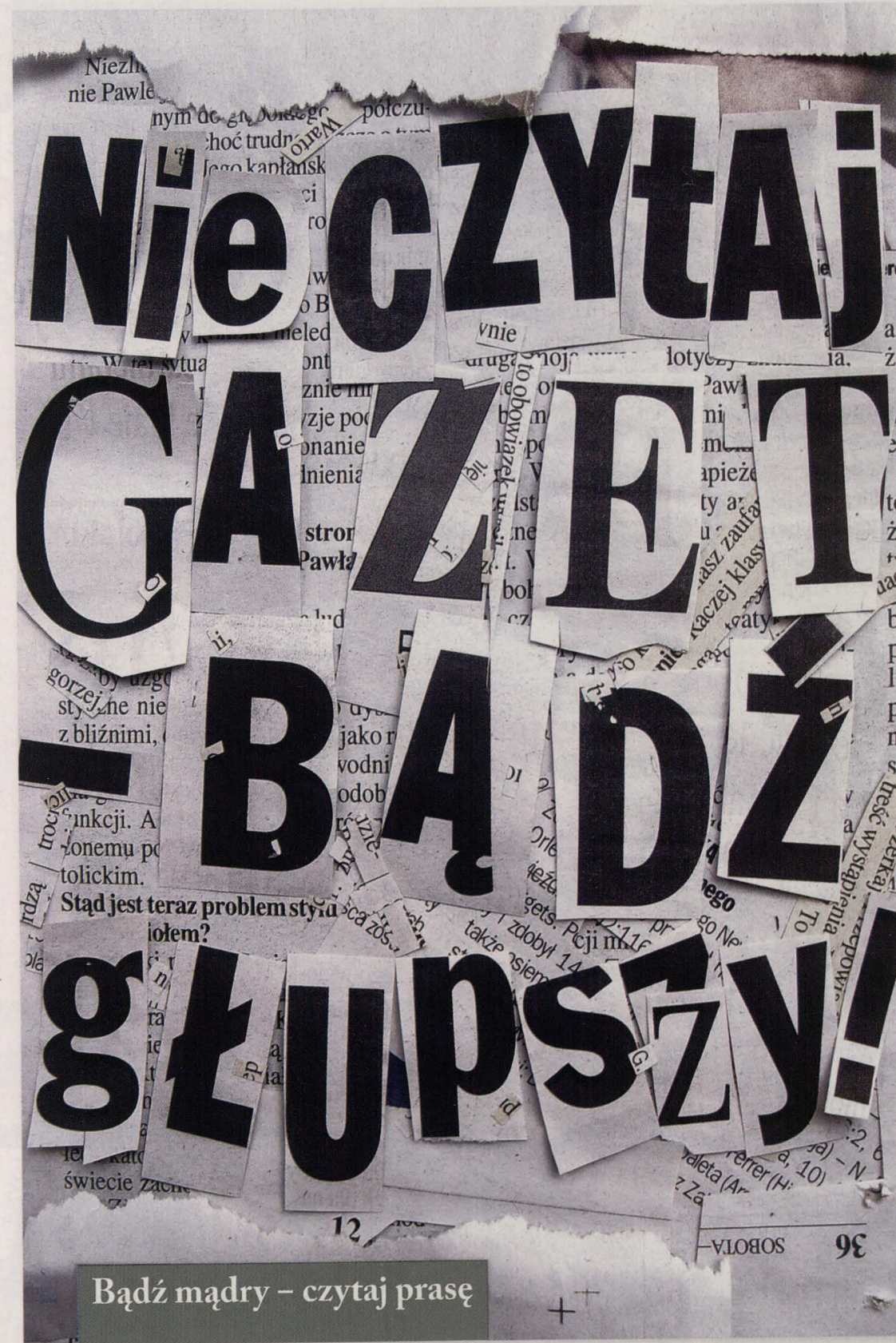


WILHELM SASNA

Fot. JAN BOGACZPAP



WYMYŚLIŁ I NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



Bądź mądry - czytaj prasę

Projekt Jerzy Skakun

PRZE KROJ Założony w roku 1945 w Krakowie. Redaktor: MARIAN EILE.

ADRES REDAKCJI: UL. WIEJSKA 19, IV P., 00-480 WARSZAWA, TEL. 584 25 25, FAKS 584 25 21
WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl

REDAKTOR NACZELNY: Piotr Najstubb **ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO:** Jacek Kowalczyk **PROJEKT GRAFICZNY:** Elżbieta i Bogdan Zochowscy
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: Małgorzata Laska **SEKRETARZ REDAKCJI:** Magda Gędziorowska, Marcin Sendek, Maria Świątklik (zastępca) **ASYSTENTKA:** Anna Romotowska
KULTURA: Bartek Chacinski (szef), Marcel Andino Velez, Tadeusz Nyczek, Małgorzata Sadowska, Justyna Sobolewska **KRAJ:** Wojciech Mazowiecki (szef), Magda Papuzińska (zastępca), Juliusz Cwieliuch, Marcin Fabjański, Joanna Gorzelinska, Cezary Lazarewicz, Rafał Madajczak, Michał Matys, Grzegorz Rzeczkowski, Max Suski, Paweł Wieczorek
ŚWIAT: Wawrzyniec Smoczyński (szef), Jakub Kumoch, Jakub Mielnik, Marek Rybarczyk. Stale współpracują: Jonathan Cook (Jeruzolima), Piotr Kowalczyk (Rzym) **NAUKA:** Olga Wozniak (szef), Piotr Stanisławski
ROZRYWKA: Marcin Pieszczyk **PRACOWNIA GRAFICZNA:** Piotr Gidlewski, Mateusz Hankala, Michał Janicki, Maria Klich, Agata Loth, Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski **PAN OD RYSUNKÓW:** Jacek Ziemiński
FOTOEDYCJA: Marcin Kapica (szef), Bogdan Kręgel (fotograf), Urszula Matusik, Olga Piłśniak, Marek Szczepański **KOREKTA:** Tatiana Hardej, Sylwia Raczyńska **ARCHIWUM:** Wanda Lacrampe (szef), Dominika Bok
REDAKTOR TECHNICZNY: Alan Jawor **OBROBKA ZDJĘĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU:** Jednostka Organizacyjna **SEKRETARIAT:** Iwona Chmielewska

WYDAWCA: EDIPRESSE POLSKA S.A., UL. WIEJSKA 19, 00-480 WARSZAWA, TEL. (0-22) 584 22 00, FAKS (0-22) 584 22 01

PREZES WYDAWNICTWA: Zbigniew Napierała **WICEPREZES:** Ewa Redel **DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY:** Izabela Bochenek **DYREKTOR FINANSÓW:** Paweł Satkowski
PUBLIC RELATIONS: Marcin Fedisz **DYREKTOR TYGODNIKA „PRZEKROJ”:** Iwona Zabielska-Stadnik **DZIAŁ DYSTRYBUCJI:** Grzegorz Barej - dyrektor
DZIAŁ PRODUKCJI: Danuta Kamińska - dyrektor **PRZYGOTOWALNIA:** Edipresse Polska - Zbigniew Szymański (dyrektor) **DZIAŁ PROMOCJI:** Dorota Rakowska - Product Manager
BIURO REKLAMY: Ewa Kozłowska - dyrektor, Artur Dudek, Grażyna Janiak, Anna Opszała, Małgorzata Skorupa, ul. Wiejska 19, 00-480 Warszawa, tel. (0-22) 584-295, -172, -311, -594
faks (0-22) 584 25 92 **DRUK:** Winkowski Sp. z o.o. - Radzymin **PRENUMERATA WYDAWNICZA** - zamówienia (płatność przy odbiorze przesyłki), tel. (0-54) 236 55 28 (pn.-pt., godz. 9-17).
Dodatkowe informacje i reklamacje (Izabela Mroczek, Agnieszka Bogdańska) TEL. (0-22) 584 22 29 LUB 584 22 30 (PN.-PT., GODZ. 9-17).
PRENUMERATA@PRZEKROJ.PL, PRENUMERATA.KONKURSY@EDIPRESSE.PL **PRZEZ POCZTĘ** - PRZEDPŁATY PRZYJMUJĄ URZĘDY POCZTOWE NA TERENIE CAŁEGO KRAJU
PRZEZ RUCH SA - informacja tel. (0-22) 532 87 31, faks (0-22) 532 87 32

ARTYKUŁÓW NIEZAMÓWIONYCH NIE ZWRACAMY. REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN I SKRÓTÓW W NADESŁANYCH ARTYKUŁACH I LISTACH.

Ogłoszenie własne wydawcy, uczestnika akcji informacyjnej, zorganizowanej przez podmioty zrzeszone w Izbie Wydawców Prasy przy współpracy z Galerią Plakatu AMS

Pięknie o kretenach

Zbigniew Machaj
Na skalistej taczce
wysoko nad morzem
stoi sobie osiot
bo dalej nie może
stoi biedny osiot
na stońcu w upale
dalej już nie może
iść wcale ach wcale
motyl polatuje
przekwita rumianek
myśli sobie osiot
już tu pozostane
już tu pozostane
wszak nie jestem koza
już się stąd nie ruszę
chyba że mnie zwiozą
stoi osiot na warcie
nie ma biedny osiot
jak żołnierz stoi
już tu pozostane
powtarza uparcie
nie ma kapelusza
jego smutna dola
nikogo nie wzrusza
chyba tylko dzieci
przechodzące droga
osła dola trochę
powzruszać się mogą
mewa polatuje
bak złośliwie buczy
czy czegoś od ośa
można się nauczyć?



PRZEMKA DUNA

„Madagaskar”

Występują:
HANNA GUCWIŃSKA – kandydatka do parlamentu
ZWIERZĘTA – spoko koleś i koleśki

HANNA GUCWIŃSKA: – Tu, we wrocławskim zoo, zwierzęta są szczęśliwe i najedzone. Gdyby mogły głosować, na pewno oddałyby na mnie swój głos. Albo na mojego męża.

ZWIERZĘTA (chorem): – No jak nie, jak tak? [przypijają pionę z Gucwińskiej].

(Czad, luz, w porzo klimaty).
THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

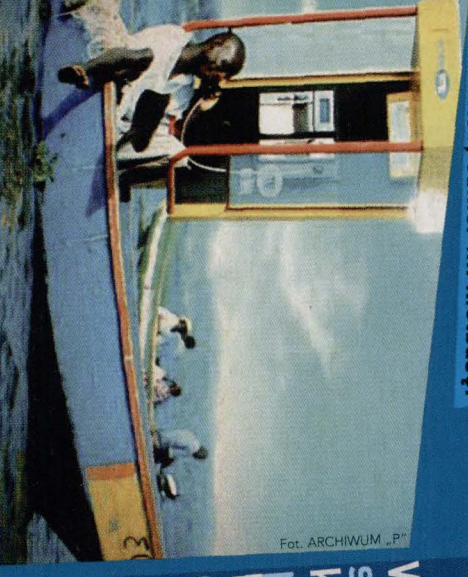
THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

THE END/KURTNA
(Opada na okrzyk: „Spadówka!”).

Jacek Klejff Impresje biatoruskie

Nie ma światła na terenie, bo jest takie zarządzanie. Żadna praca nie jest łatwa, gdy w zakładzie zbraknie światła.

Raz kietbasa prostą drogą szła, machając jedną nogą; napotkata salcesony, które też chadzały czasem wykupywać swe talony na chleb, cukier i... kietbasę.



Rodzina Obty KATUZA

W drodze ze szkoły syn Obty skacze przez katuże, które deszcz pozostawił po sobie. Podczas kolejnego skoku chłopak wpada do katuży i w niej znika.

– Ale głęboka – myśli o katuży i opada coraz niżej. W katuży jest ciepło, ale nieciekawie, dlatego syn Obty czeka niecierpliwie, kiedy katuża wyschnie. Dopiero wtedy się z niej wydostanie. Tymczasem siedzi na dnie i czeka, a katuża schnie i zamienia się w piasek.

Rys. MAREK RACZKOWSKI



„Starsza pani”
Serce się wyrzywa
HAJDU DO PRZODU
BRZOSKI
Dariusz Brzosiński
Nie takie głupie



patryk pajak

AST
MINUTE
Krzysztof Pyta